

POLSKA – BIAŁORUŚ

**Sławomir Cenckiewicz
ostro o granicach zdrady**



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 7,90 zł (w tym 8% VAT)

NR 49/454 6-12 GRUDNIA 2021



**Media kurdyjskie zaczęły
odstraszać migrantów
od wyprawy do Polski**

**FRAGMENT
NOWEJ KSIĄŻKI
PAWŁA LISICKIEGO
– „SYSTEM DIABŁA.
BLOG Z PIEKŁA RODEM”**



**Jakie podatki
i budżetowe wydatki
obniżyłaby Konfederacja**

NA ŚMIERĆ I ŻYCIE

Wojna Michnika z Agorą

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład: 55 600 egzemplarzy



40 • LECIE

STANU WOJENNEGO
W POLSCE OPISANE
TWÓRCZOŚCIĄ
PRZEMYSŁAWA
GINTROWSKIEGO

13.XII.21

MECENASI:



PARTNERZY GŁÓWNI:

PARTNERZY:

Antynarodowy **resentyment**



PAWEŁ LISICKI

Z pewnego punktu widzenia, powiedzmy socjologicznego, reakcja polskich celebrytów i szerzej, dużej części elit na inwazję migrantów, przysyłanych tysiącami przez Alaksandra Łukaszenkę, jest wyjątkowo pouczająca. Badając ją, z łatwością można zauważyć stopień wykorzenienia lub też narodowego nihilizmu. Wydawałoby się bowiem, że w sytuacji, w której zagrożone są podstawowe interesy państwa i narodu, niezależnie od sympatii politycznych obowiązkiem wszystkich powinno być wspieranie integralności państwa. Dlatego poparcie, wyrazy sympatii i solidarności w pierwszej mierze powinny się należeć tym, którzy bezpośrednio granicy bronią: żołnierzom, członkom Straży Granicznej, przedstawicielom służb porządkowych. Poparcie dla nich to nie kwestia widzimisię, ale wręcz psi obowiązek. Spoczywa on na tych, którzy chcą być członkami polskiej wspólnoty narodowej. Tam bowiem, gdzie zagrożone są wartości dla państwa podstawowe – a tym jest z pewnością obrona i zachowanie własnych granic – podziały polityczne i ideowe powinny zejść na drugi plan. Otóż trudno nie zauważyć, że tak nie jest. Ba, przeciwnie, można odnieść wrażenie, że dla wielu dziennikarzy, polityków, a także, niestety, duchownych nienaruszalność państwa przestała być niekwestionowaną zasadą. Ci, którzy jej bronią, miast zasługiwać na szacunek, stają się ofiarami wyzwisk, oskarżeń, kampanii dyfamacyjnej.

Najbardziej szokuja radykałowie. Jak zwykle można było liczyć na Martę Lempart, liderkę Strajku Kobiet. „Obrońcy tych pier... morderców w mundurach, co wyrzucają dzieci do lasu, odgrazali się,

że będą na nas składać na nas zawiadomienie do prokuratury i że będą nas pozywać. Proszę k... bardzo” – pokrzykiwała przed Sejmem aktywistka [pisownia oryginalna – przyp. red.]. Nie mam zamiaru dalej cytować bluźgów – to wystarczy. Żeby była jasność: nie chodzi tu jedynie o skrajny przypadek. Skrajny? Mowa przecież o publicznych wypowiedziach osoby, która przez brytyjski, prestiżowy i znany dziennik „Financial Times” została zaliczona do najbardziej wpływowych kobiet 2020 r.! Ba, nie tak dawno na łamach „FT” (najważniejszego pisma światowej finansjery) ukazał się tekst jej autorstwa, w którym Lempart pisze o prześladowaniach przez rząd i grupy neofaszystowskie. „FT” wyróżnił Lempart obok Ursuli von der Leyen, szefowej Komisji Europejskiej. Zresztą, nie tylko „FT” – Lempart została też wybrana kilka lat temu Człowiekiem Roku „Gazety Wyborczej” i, niedawno, Superbohaterką „Wysokich Obcasów”. W podobnym duchu wcześniej, używając jeszcze większej liczby wyzwisk, atakowała polskich żołnierzy aktorka Barbara Kurdej-Szatan. (Chwała prezesowi TVP Jackowi Kurskiemu, że się jej z telewizji pozbył). Nie tak ostro, w końcu nie każdy umie posługiwać się rynsztokowym slangiem, o polskich żołnierzach mówią inni przedstawiciele lewicowego i liberalnego salonu. Dla jednych żołnierze to „osoby w polskich mundurach”, dla drugih „bestialskie twarze”. Widać, że dla znaczącej grupy polskiego społeczeństwa Polska nie jest żadną pozytywną wartością. Najchętniej pozbyliby się granic i państwa, co zresztą niektórzy z nich, jak choćby prof. Magdalena Środa, otwarcie deklarują.

Jakie są tego źródła? Jeśli chodzi o aktorów i celebrytów, to zapewne dominują głupota i dążenie do bycia dostrzeżonym za wszelką cenę. Plotą, co ślina przyniesie im na język, byle tylko chociaż na chwilę przyciągnąć uwagę mediów. Ważniejszym jednak źródłem ataków na żołnierzy wydaje się nienawiść do rządzących. Atak na żołnierzy czy Straż Graniczną to dla wielu publicystów czy autorytetów lewicy liberalnej forma wyładowania frustracji, kompensacja. Plując na żołnierzy, odreagowują na najstraszliwsze dziejowe zło, które ich dotknęło: to, że się ich nie słucha i nie poważa. Wrogość wobec własnego narodu, który miał czelność nie wybrać tych, których oni chcieli, sprawia, że gotowi są na wszystko. Skoro na nikim nie robią już wrażenia tyrady o upadku demokracji, o reżimie kaczystowskim, o autorytaryzmie, to frustraci muszą iść dalej. Muszą uderzyć głębiej – w armię, wojsko, granice, flagę biało-czerwoną. Histeryczność ma być znamię powagi zagrożenia.

Jest to zjawisko nowe, w historii Polski na taką skalę niespotykane. Urażona ambicja i dotknięta miłość własna przemieniają się w nienawiść do własnego narodu. W sposób negatywny wyraża się ona w napaściach (na razie słownych) na wojsko, w sposób pozytywny – w miłości do abstrakcyjnego obcego i innego. Nienawiść do ojczyzny najpełniej pokazuje się zatem w sentymencie do tych, którzy są jej najbardziej kulturowo obcy. W tej roli najlepiej sprawdzają się muzułmańscy migranci z Afryki czy Bliskiego Wschodu.

Do tej pory na chorobę resentymentu nie znaleziono dobrego lekarstwa. ©©

TEMAT TYGODNIA

18 KAMILA BARANOWSKA
AGORA KONTRA „WYBORCZA”

Kiedy liberalnych ideowców
dopada kapitalizm

21 PIOTR SEMKA
„WY NIE WIECIE, KIM JA JESTEM”



KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POLSKA ODSAMOTNIONA?
Czy Polska dobrze rozegra nową
koniunkturę polityczną

26 SŁAWOMIR CENKIEWICZ
POLITYKA KONIA TROJAŃSKIEGO

30 MACIEJ PIECZYŃSKI
PRZYSTANEK POLSKA

32 WITOLD REPETOWICZ
MEDIALNE ODSTRASZANIE

34 TOMASZ ROWIŃSKI
MINA POLITYCZNA

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
EMOCJE NA ŚMIERĆ I ŻYCIE

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
SPRAGNIENI MIŁOŚCI
Nowy film twórczyni „Fortepianu”

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 ROZMOWA Z ANNA MARIĄ SIARKOWSKĄ
OPOZYCJA LICZY NA ZAMIESZKI
Segregacja wyprowadzi ludzi na ulice

52 JAN POSPIESZAŁSKI
COVID? TO SIĘ LECZY!

54 ŁUKASZ WARZECHA
CZESKI GRANAT

56 PAWEŁ LISICKI
SYSTEM DIABŁA

HISTORIA



60 GRZEGORZ MAJCHRZAK
ATAK NA SZKOŁĘ POŻARNICZĄ
Pacyfikacja WOSP – 2 grudnia 1981 r.

64 MAREK KLECEL
ŚMIERĆ NA BIAŁORUSI

ŚWIAT

68 MACIEJ SZYMANOWSKI
POLIGON: WĘGRY
Historyczna ranga
wyborów nad Dunajem

70 TERESA STYLIŃSKA
**BURZA
NAD KANAŁEM LA MANCHE**

72 PIOTR WŁOCZYK
USA KONTRA UAP

EKONOMIA

76 ROZMOWA
Z ARTUREM DZIAMBOREM
**ROZDAWNICTWO
MUSI SIĘ SKOŃCZYĆ**
Trzeba ludziom obniżyć
podatki, a nie dawać gotówkę

80 JACEK PRZYBYLSKI
ĆWIERKAJĄCA ZMIANA

SPORT

82 ŁUKASZ ZBORALSKI
PIŁKA Z TOMBAKU
Robert Lewandowski
bez nagrody

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (12), GMYZ, GOCIEK (16), ZYCHOWICZ, KOPER (67), PRZYBYLSKI (74), GABRYEL, WARZECHA (79), KOMUDA (86), KARWELIS, POSPIESZAŁSKI (87), JASTRĘBOWSKI, WOŁCZYK (88), ROSZKOWSKI (89), CEJROWSKI (90)

TYGODNIK LISKIEGO
DO
RZECZY
ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

 Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cielkowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadziński, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz
Kucharczyk, Tomasz Lenkowski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Błażej Torajski, Szezech Weiss, Piotr Włoczyk,
Marcin Wolski, Małgorzata Wólczyk, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski,
Igor Zaleski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca,
 także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja),
Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Gryzowicz, Dawid
Sienikowski, Maciej Strug, Paweł Zdziański, Łukasz Zygado

 Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (kierownik),

Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski

 Fotoedytka: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

 Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczak-Stefaniak**

 Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa**

 Okładka: **Bartłomiej Zborowski/PAP, Adobe Stock, oprac. graf. Sunday/JAN**
WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: Piotr Pech tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 55 600 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

 Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Naród śmieci”?

[...] Pamiętamy haniebne i wyjątkowo podłe słowa obelg pod adresem żołnierzy Wojska Polskiego i Straży Granicznej. Porównywanie tych, którzy służą Rzeczypospolitej Polskiej i dbają o bezpieczeństwo Polaków, do „śmieci” (Władysław Frasyniuk) lub mówienie, że to „mordercy” (Barbara Kurdej-Szatan) jest czymś, co czynili jedynie najwięksi wrogowie naszej ojczyzny, o czym poniżej. Wydaje się, że przywołane osoby są reprezentantami dużo większej grupy, która myśli podobnie. W powyższym kontekście słowo „śmieci” jawi się więc jako synonim zniesławiania, oczerniania, szkalowania, nienawiści, dehumanizacji, szczydzenia z Polski, a także wulgarnych haseł politycznych (osiem gwiazdek) oraz antypolskiej propagandy i różnych form ojkofobii. Licytują się w tym stosunkowo liczni politycy części opozycji, przedstawiciele różnych grup zawodowych, celebryci, środowiska medialne.

Błogosławiony prymas Stefan Wyszyński przywołał w dniu 30 kwietnia 1977 r. wydarzenie z życia jednego z wybitnych twórców polskiej kultury, który znalazł się w więzieniu za protest przeciwko określaniu naszego narodu jako „narodu śmieci”. Prymas Wyszyński wspominał wówczas, że ów człowiek napisał na ścianie w więzieniu słowa: „Śmiecie mówić, że my śmiecie? – My nie śmiemy, a wy – śmiecie” (S. Wyszyński, „Jedna jest Polska”, Warszawa 1989, s. 46). Słowa te zostały wypowiedziane podczas III Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej. W tym samym kontekście padły też słowa ks. kard. Wyszyńskiego wyzywające do kształtowania tożsamości narodowej: „Musimy mieć ambicję, bo nie jesteśmy narodem

śmieci”. Choć minęło od tamtego wydarzenia ponad 40 lat, to – jak widać współcześnie – mentalność pewnej grupy osób w stosunku do Polski jest podobna do tej z czasów minionych. Słowa Prymasa Tysiąclecia są ciągle aktualne, a troska o tożsamość narodową poważnym wyzwaniem.

Jako wspólnota narodowa stajemy przed znaczącym problemem dotyczącym pewnej grupy obywateli z mentalnością niewolników. Te osoby są niezdolne do wyrażenia oceny rzeczywistości i rozważania prawdy i dobra, są niezdolne do podjęcia samodzielnych wyborów. Inni nimi kierują i za nich decydują. Za Cyprianem Kamilem Norwidem wypada powtórzyć: „Niewolnicy wszędzie i zawsze niewolnikami będą – daj im skrzydła u ramion, a zamiatać pójdą ulice skrzydłami”. Modelowanie mentalności niewolnika dokonywane jest na szeroką skalę poprzez szczególnie rodzaj manipulacji społecznej – przez tzw. inżynierię społeczną (behawiorystyczna metoda modyfikacji człowieka).

„Troska o imigrantów”, która była powodem wypowiedzenia słów przywołanych we wstępie, jest raczej pozorna, bo miarą miłości bliźniego jest miłość siebie. Można tu przywołać słowa biblijne o miłości bliźniego jak siebie samego. Czy może ktoś kochać autentycznie obcych, gdy nienawidzi swoich?

Przeciwstawą tego zagrożenia jest kształtowanie „posługi myślenia”, o której mówił św. Jan Paweł II w czasie jednej z pielgrzymek do Polski (8 czerwca 1997 r.). Choć słowa te były wypowiedziane do ludzi nauki, to są one aktualne w życiu każdego człowieka. „Niewiele jest rzeczy równie ważnych w życiu człowieka i społeczeństwa, jak posługa myślenia. »Posługa myślenia«, o której mówię, to w swej istocie nic innego jak służba prawdzie w wymiarze społecznym [...]. Nie wystarczy bowiem troska o logiczną, formalną poprawność procesu myślenia. Czynności umysłu muszą być konieczne włączane w duchowy klimat niezbędnych cnót moralnych, jak szczerość, odwaga, pokora, uczciwość oraz autentyczna troska o człowieka. Dzięki wrażliwości moralnej zachowana zostaje bardzo istotna dla nauki więź pomiędzy prawdą a dobrem. Tych dwóch spraw nie można bowiem od siebie oddzielać!”

Wydaje się, że dziś ta posługa myślenia, czyli odkrywanie prawdy i dobra w życiu społecznym, jest szczególnie potrzebna w naszej polskiej rzeczywistości.

Z wyrazami szacunku
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nietykalny z Krakowa

Ksiądz Kazimierz Sowa nie jest już kapłanem archidiecezji krakowskiej. Od kilku miesięcy jego zwierzchnikiem jest metropolita warszawski – poinformował portal LoveKraków.pl. Jak wyjaśnił ks. Łukasz Michalczewski, dyrektor biura prasowego archidiecezji krakowskiej, ks. Kazimierz Sowa sam złożył do metropolity krakowskiego wniosek o zmianę diecezji.

Cztery lata temu TVP Info opublikowała nagrania z rozmów w restauracji Sowa i Przyjaciele. W biesiadach polityków Platformy uczestniczył także ks. Sowa. Wykazywał się w nich nietuzinkowym znanstwem rosądz w obsadzie spółek Skarbu Państwa i sywał wulgarnymi tekstami. „Upublicznić słowa nagranej rozmowy, której uczestnikiem był ks. Kazimierz Sowa, nawet jeśli zostały wypowiedziane podczas prywatnej konwersacji, nie licują z powołaniem kapłańskim. Ksiądz Kazimierz Sowa przed rokiem został pisemnie upomniany przez ówczesnego metropolitę krakowskiego kard. Stanisława Dziwisza” – stwierdził w 2017 r. ks. dr Piotr Studnicki, ówczesny rzecznik krakowskiej kurii.

W ramach prób przywołania ks. Sowy do porządku kolejny arcybiskup krakowski, Marek Jędraszewski, nakazał kapłanowi podjęcie pomocy duszpasterskiej w kościele św. Floriana w Krakowie. O sukcesach duszpasterskich we floriańskiej parafii nie wiadomo zbyt wiele, za to ks. Sowę widywano wciąż w Warszawie. W mediach społecznościowych krytykował Episkopat, ganił dziennikarzy symetrystów. W październiku 2020 r., gdy feministki ze Strajku Kobiet maszerowały pod urząd Rady Ministrów i dom Jarosława Kaczyńskiego, ks. Sowa pisał: „Jeden tchórz symuluje, drugi ukrył się za wysokimi murami i ochroniarzami. Nie uciekniecie. Znajdziemy was”. Poparł też Kongres Katolików i Katoliczek i brylował na słynnym platformerskim Campusie Polska w Olsztynie.

W kręgach kościelnych krążą legendy o niezwykłym talencie ks. Sowy do omijania kontroli ze strony kościelnych zwierzchników. Naiwni urzędnicy kurialni od wielu lat dają się robić w konia, a Sowa króluje w celebryckich salonach stolicy. W Krakowie

wśród księży nazywano go „nieformalnym kapłanem Platformy Obywatelskiej”. Jego brat Marek Sowa jest wpływowym politykiem PO. W 2005 r. mówiono, że ks. Sowa był typowany na kapelana Donalda Tuska w razie jego prezydenckiej wygranej. Nie widział nic złego w zamieszczaniu swoich tekstów w platformerskim biuletynie partyjnym. A jednocześnie ks. Sowa grzmiał na Episkopat za sojusz ołtarza z PiS-owskim tronem. I zawsze znajdował wśród hierarchów Kościoła moźnych protektorów.

Jeśli abp Jędraszewski podjął się misji skłonięcia ks. Sowy do jakiejś refleksji nad swoim stylem życia, to nie odniósł zbyt dużego sukcesu. Mistrz salonowego życia załatwił sobie wyjazd do Warszawy i przejście pod kuratelę kard. Kazimierza Nycza. W podwawelskiej kurii przy ul. Franciszkańskiej pewnie odetchnięto, że kłopoty z księdzem celebrytą mają już z głowy. Za to opowieści ks. Sowy o tym, jak sprawnie okiwał metropolitę krakowskiego, bawić będą platformersów do łez na najbliższym świątecznym opłatku. ©

JOANNA SIEDLECKA I PIOTR SEMKA NAGRODZENI

Związana z tygodnikiem „Do Rzeczy” Joanna Siedlecka otrzymała Nagrodę Mediów Publicznych 2021 w kategorii „Słowo”. Z kolei publicysta „Do Rzeczy” Piotr Semka został laureatem tej nagrody w kategorii „Idea”.

Joanna Siedlecka została doceniona za konsekwentną i bezkompromisową wierność w swej pracy pisarskiej dewizie Józefa Mackiewicza głoszącej, że „tylko prawda jest ciekawa”. – Interesowało ją to, co nieraz pokrywała z mowa milczenia, o czym mówiło się ściszym szeptem albo i nie mówiło się wcale – powiedział podczas laudacji Krzysztof Masłoń, przewodniczący kapituły w kategorii „Słowo”.



FOT. DO RZECZY (X2)

Z kolei Piotr Semka został doceniony za bezkompromisowe dziennikarstwo, bezbłędne diagnozy społeczne i wierność wyznawanym wartościom. – Nielatwo być dziennikarzem



w świecie, gdzie ład medialny został już ustalony i ogłoszono już, która prasa, które media są jedynie słuszne – mówił w laudacji prezes Radia Rzeszów Przemysław Tejkowski. © (kg)

8-lecie **WcN** WSZYSTKO CO NAJWAŻNIEJSZE

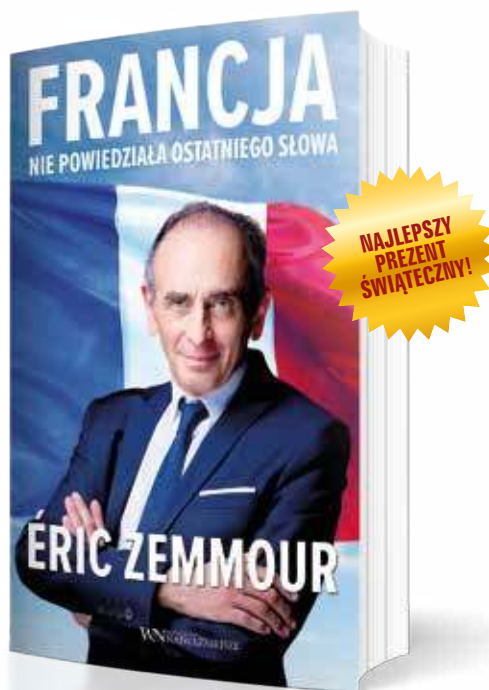
Najnowsza książka Érica Zemmoura do nabycia wyłącznie w świątecznej przedsprzedaży z prenumeratą miesięcznika „Wszystko co Najważniejsze”

**Zrozumieć Francję.
Zrozumieć Europę.
Jeśli taki jest cel,
to tylko z tym Autorem.**

Eryk Mistewicz

Świąteczna promocja:

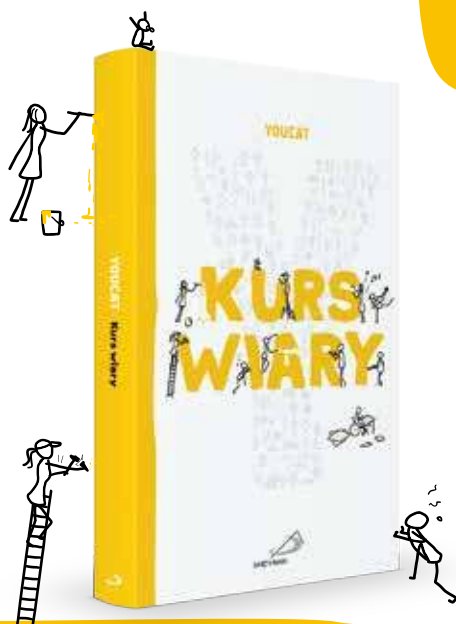
- 6 numerów miesięcznika + książka: **86 zł**
- 12 numerów miesięcznika + książka: **129 zł**



Zakup dla odbiorców w kraju: **www.SklepIdei.pl/wcn** | Zakup dla odbiorców za granicą: **infolinia +48 58 679 00 00**

www.WszystkoCoNajwazniejsze.pl

Odkryj piękno Ewangelii



„YOUCAT Kurs wiary. Zrozumieć chrześcijaństwo”:



- Y** Wyjaśnia istotę wiary katolickiej i zachęca do refleksji i dyskusji.
- Y** Jest uzupełnieniem katechizmu młodych YOUCAT, ale można go również czytać samodzielnie.
- Y** To zbiór najbardziej istotnych pytań dotyczących wiary, jak: „Co wiemy o Bogu?”, „Po co potrzebny jest Kościół?”, „Jak powołuje Bóg?”, „Jak powiedzieć Bogu «Tak»?” i odpowiedzi przygotowanych przez zespół specjalistów.



-20%

na „YOUCAT Kurs wiary”, kod rabatowy: **DoRzeczy**

Zapraszamy do księgarni internetowej Edycji Świętego Pawła: **www.edycja.pl**, tel.: 605 313 543.

Promocja trwa do 31.12.2021 r. lub do wyczerpania zapasów.



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Rewolucja sutenerów

Uniwersytet Jagielloński od dawna już nie zasługuje na miano instytucji szacownej, dotąd jednak ofiarą rewolucyjnej czujności padali tam przedstawiciele szeroko rozumianej „konserwy”. Rewolucja posuwa się jednak nieubłaganie, nawet jeśli ogranicza się do kilkuprocentowej „bańki”, i po rozprawie z „reakcją” przychodzi kolej na mieniszewików, eserów i trockistów, słowem – na odstęp-ców we własnym obozie.

Doktor Magdalena Grzyb, feministka (co, jak się okazało, przed niczym już nie chroni) i publicystka „Kultury Liberalnej”, zaproszona została tam na wykład w ramach Dni przeciwko Przemocy ze Względu na Płeć. Wykład jednak odwołano, bo Sekcja Psychologii Sądowej, która ją zaprosiła,

oświadczyła, że zapraszając, „nie była świadoma poglądów, które pani doktor reprezentuje” (już to samo w sobie jest niezłym popisem głupoty), i że UJ „nie wyraża zgody na żadne przejawy transformaty w przestrzeni uniwersyteckiej”, ponieważ „chce być przestrzenią inkluzywną dla wszystkich osób studiujących”.

Trudno orzec, czy „scancelowanie” dr Grzyb jest wynikiem faktu, że napisała kiedyś, iż zastępowanie w prawie płci biologicznej „płcią odczuwaną” „jest dla kobiet niekorzystne i szkodliwe”, czy tego, że jako kryminolog głosi tezę, iż prostytutka niesie kobiecie zło. Oba te poglądy stały się herezją – zwłaszcza ten drugi, bo pochwała seksworkingu, o czym w naszym normalnym, prawnym świecie mało kto wie,

stała się jednym z głównych haseł „nowej lewicy” (patrz: usunięcie z partii Urszuli Kuczyńskiej). Ten ostatni wątek jest szczególnie ciekawy, bo pozwala się domyślić, że do grona światowych sponsorów „tęczowej rewolucji” dołączył potężny, bogaty i na poły mafijny seksbiznes i tak jak poprzedni sponsorzy zrobiło to po to, by skierować ją na korzystne dla siebie tory.

Rewolucja, wiadomo, pożera własne dzieci, pani Grzyb nie jest pierwszą feministką, która tego doświadcza, ani tą doświadczaną najboleśniej – w sumie żadna tam historia. Szkoda tylko tego uniwersytetu, który, jak wiele innych, z centrum mądrości zmienia się w siedlisko agresywnej, ideologicznej głupoty. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Msza przyszłości

Po wydarzeniach w Łodzi (gdzie spotkanie Arena Młodych Reset zmieniło się nagle w pontyfikalną Mszę) sięgnąłem po „Notes” ks. Adama Bonieckiego. Redaktor „Tygodnika Powszechnego” napisał tę książkę 44 lata temu, pod koniec pontyfikatu Pawła VI, w czasie podróży do Francji i Włoch, jako swego rodzaju kronikę mutacji katolicyzmu. Opisuje tam na przykład Mszę w paryskiej wspólnotce z Avenue Émile Zola.

„Tuż przed rozpoczęciem Eucharystii przyszedł Daniel z wielkim bochenkiem chleba. [...] Daniel wejdzie do liturgii – w czasie ofiarowania ksiądz będzie prosił: »Przyjmij, Panie, ten chleb, który jest symbolem pracy

ludzkiej, który jest owocem trudu Daniela i innych ludzi pracy...«. [...] Ludzie siedzą na dywanie, w kręgu. Ksiądz na niskim dziecinym krzeselku. Na środku świeca, talerz z chlebem przygotowanym przez gospodarza i dwa kubki z winem. Kilka osób pali papierosa, ksiądz też. Wymiana informacji, co kto ciekawego, ważnego, dobrego zobaczył czy przeżył w ciągu ostatniego miesiąca. [...] Potem dziewczyna przeczytała fragment Ewangelii. [...] Potem była liturgia ofiarowania, improviseda bardzo trafnie, prefacja bez wstępu z wezwaniami [...]. Po przemienieniu chleba talerz podano sobie z rąk do rąk [...], przyjęto komunię, potem ksiądz znów modlił się wokół tematów:

sól i światło, konsekracja wina, komunie [...], śpiew »Ojciec nasz«, błogosławieństwo i koniec”.

Lódzką Arenę opinia katolicka w Polsce potraktowała jako przekraczający wyobraźnię eksces. Oburzenie jest reakcją zrozumiałą, bo reakcja jest objawem życia, w tym wypadku – działania zmysłu wiary. Ale konsternacja świadczy często o niedostatku innego zmysłu – orientacji, w tym wypadku orientacji w kryzysie Kościoła. To bowiem, co większość komentatorów odebrała jako wydarzenie wyjątkowe, tak naprawdę jedynie zobrazowało horyzont zmian liturgicznych, pragnienia tych, dla których zmiany przeprowadzone pół wieku temu to dopiero początek. ©©

**NASZĄ ROLĄ
SILNA POLSKA**



POLSKI ŁAD

dla polskiej wsi

Rolniczko, Rolniku!

- Polski Ład dla Polskiej Wsi to **dla Ciebie realne korzyści**
- Dbamy o Twoją przyszłość i **wspieramy Twoje inwestycje**
- Troszcząc się o **rozwój i innowacje** na wsi – ułatwiamy Ci pracę
- Wspólnie **pielęgnujemy tradycje**



MINISTERSTWO
ROLNICTWA
I ROZWOJU WSI

SOLIDARNI  ROLNIKAMI

Zawsze aktualnych informacji o programie szukaj na
www.gov.pl/polski-lad

ROSJA SZYKUJE SIĘ DO WOJNY Z UKRAINĄ I OSTRZEGA ZACHÓD PRZED KONFRONTACJĄ

Stany Zjednoczone wezwały w ubiegłym tygodniu Rosję do wycofania swoich wojsk z ukraińskiej granicy. Władimir Putin rozmieścił już wzdłuż granicy rosyjsko-ukraińskiej ponad 90 tys. żołnierzy. Waszyngton ostrzegł, że rosyjska inwazja na Ukrainę wywoła sankcje, które dotkną Moskwę mocniej niż jakiegokolwiek z nałożonych do tej pory. – Nie wiemy, czy prezydent Putin podjął już decyzję o inwazji. Wiemy, że tworzy możliwość do przeprowadzenia ataku w krótkim czasie, jeśli tak zdecyduje – powiedział w Rydze szef amerykańskiej dyplomacji Antony Blinken. Podczas spotkania z Blinkenem szef rosyjskiego MSZ Siergiej Ławrow ostrzegł Zachód przed powrotem do „koszmaru konfrontacji wojskowej”.

Rosja, która od 2014 r. okupuje ukraiński Półwysp Krymski, oficjalnie zaprzecza, by szykowała się do kolejnej inwazji. Jednocześnie Moskwa wzywa Zachód do ustępstw i przekonuje, że ruchy wojsk są jedynie reakcją na „groźne zachowanie NATO i Ukrainy”. – W dialogu ze Stanami Zjednoczonymi i ich sojusznikami będziemy nalegać na wypracowanie konkretnych porozumień wykluczających wszelki dalszy postęp NATO na wschód i rozmieszczenie zagrażających nam systemów uzbrojenia w bezpośredniej bliskości granic Rosji – oznajmił w tym tygodniu prezydent Władimir Putin. Rosja kolejny raz domaga się zablokowania możliwości członkostwa Ukrainy w sojuszu północnoatlantyckim. NATO nie pozostawia jednak złudzeń, podkreślając, że decyzja w sprawie poszerzenia na pewno nie będzie należała do Kremla.

Po stronie Moskwy jasno opowiedział się z kolei prezydent Białorusi. Alaksandr Łukaszenka podkreślił, że w razie działań wojennych w Donbasie na wschodzie Ukrainy „jest jasne, po której stronie będzie Białoruś” (*jap*) © ©

FOT. SATELLITE IMAGE © 2021 MAXAR TECHNOLOGIES/APPIST NEWS



RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

BTagam... tym razem
powiem prawdę...



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O inkluzywnej komunikacji

Wróg u bram, COVID szaleje, podobnie jak inflacja i ceny energii, a Komisja Europejska wydaje wytyczne: „Unia Równości. Wytyczne w sprawie inkluzywnej komunikacji”. Wszak nie ma to jak jasne określenie priorytetów. Publikacja, 37 stron koszmarniej nowomowy i obrazków, to nic innego jak brutalna i prymitywna, motywowana ideologicznie ingerencja w język i obrazowanie. Poucza, jak pracownicy Unii mają się komunikować z ludźmi. „Wytyczne...” irytują, śmieszają, bawią i przerażają.

Można odnieść wrażenie, że publikację popełnili nawiedzeni ludzie Jasnej Pani von der Leyen, którzy wszędzie widzą, tropią – wypalając gorącym żelazem – wszelkiego rodzaju dyskrymi-

nację: płciową, rasową, religijną, kulturową i z powodów kalectwa. W efekcie wiele słów i terminów zmienia znaczenie albo ląduje na śmietniku, tak jak to się przydarzyło Bożemu Narodzeniu. Podano przykład zdania niedopuszczalnego: „Okres Bożego Narodzenia może być stresujący”. Powinno być, tłumaczy KE z Brukseli, „Okres świąteczny może być stresujący”. Wszystko po to, żeby przypadkiem nie urazić wyznawców innych religii.

Nie wolno mówić: „Afrykańscy imigranci mogą szukać jedynie pracy niewymagającej kwalifikacji”. Trzeba mówić: „Aspekty strukturalne, takie jak brak równych możliwości, doprowadziły do tego, że afrykańscy migranci są nadreprezentowani pośród tych, którzy wykonują pracę niewymagającą

kwalifikacji”. Ładne, prawda? Koniec też z tytułowaniem: „Panie i Panowie”, bo przecież już zdiagnozowano istnienie kilkudziesięciu płci. Lepiej „Drogie koleżeństwo”. I mamy nowość. Adresując listy, nie piszemy już: Miss, Mrs, Mr, ale Mx. To „x” reprezentuje bowiem wszystkie mniejszości seksualne. Nie wolno przedstawiać pań wykonujących prace domowe, szczególnie na tle aktywnych i przedsiębiorczych mężczyzn.

Jeśli zaś chodzi o kretynstwo wybitne, pomnikowe, to nie wolno używać terminu „kolonizacja Marsa” ani „osadnictwo na Marsie”, bo się źle kojarzy. Trzeba mówić o „wysyłaniu ludzi na Marsa”. Osobiście wysłałbym na Marsa „Wytyczne...” wraz z autorami. Byłoby nam trochę lżej. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Pracodawco, promuj postawy prozdrowotne w firmie!

Już od jakiegoś czasu mówi się o rynku pracowników. Wykwalifikowane osoby mogą przebierać w ofertach, a w tej sytuacji o wyborze nie decydują już tylko finanse. Ludzie szukają czegoś, co stoi za firmą – idei, dodatkowych benefitów, niestandardowych rozwiązań, elastyczności, rozwoju. Chcą wiedzieć, że pracodawca o nich zadba. Jak zatem sprawić, by pracownicy wybrali twoją firmę?

WPROWADŹ POZYTYWNE ZMIANY...

Ludzki aspekt w pracy, w której spędzamy jedną trzecią dnia, jest bardzo istotny. Dobry pracodawca to taki, który wykazuje się troską i zaangażowaniem. Chcemy wiedzieć, że w razie potrzeby przełożony wykaże się w stosunku do nas empatią. Dziesięć minut spóźnienia z powodu korków czy wyjście z pracy 20 minut wcześniej, na wizytę u dentysty, nie powinno wpływać na ogólną ocenę pracownika. Dobry pracodawca to również taki, który wykazuje się inicjatywą, także prozdrowotną. Koszty niezdolności do pracy z powodu choroby ponosi nie tylko ZUS, lecz także firma. W 2019 r. z zakładowych funduszy pracy wypłacono prawie 7,5 mld zł, co w porównaniu z 2015 r. stanowi wzrost o ponad 37 proc.

Jakie dobre praktyki propagować w zakładzie pracy? Przede wszystkim programy profilaktyczne. Badania wykonane w ich zakresie są bezpłatne i łatwo dostępne. Dobrym rozwiązaniem będą plakaty rozwieszane w miejscach ogólnodostępnych czy ulotki dotyczące profilaktyki nowotworowej (ulotki można pobrać ze strony www.planujedlugiezycie.pl, która została stworzona na potrzeby kampanii społecznej „Planuję długie życie”, realizowanej przez

Ministerstwo Zdrowia) oraz newslettery informujące o darmowej cytologii, mammografii czy badaniach przesiewowych raka jelita grubego. Przynajmniej raz w roku należy zadbać o badania profilaktyczne, zaproponować pracownikom przynajmniej pół dnia wolnego na ich wykonanie.

Podczas spotkań firmowych możecie zrezygnować z cukru: zamiast ciasteczek i słodzonych napojów postawcie na owoce i świeżo wyciskane soki. Jeśli w budynku znajduje się palarnia – warto zostawić tam broszury informujące o szkodliwości palenia wraz z numerami telefonów do Telefonicznej Poradni Pomocy Pałącym (801 108 108, 22 211 80 15).

Jeśli praca, z powodów epidemiologicznych, odbywa się w trybie zdalnym, należy zadbać o odpowiednią komunikację. Rozmowy telefoniczne czy spotkania wideo, na których opracowane zostają bieżące problemy, zmniejszą codzienny stres pracowników i dadzą poczucie wspólnoty.

Jako pracodawca możesz wykazać się także wyborem miejsca spotkania integracyjnego. Standardową restaurację warto zamienić na wyjście sportowe. Świetnie sprawdzą się tutaj trampoliny, parki linowe czy gra w bilard lub kręgle. Wspólne uprawianie sportu zacieśni więzi pracowników, pozwoli zapomnieć o codzienności, a przy okazji wpłynie pozytywnie na kondycję.

I ZOSTAŃ PRACODAWCĄ ZDROWIA!

Korzyści z promowania postaw prozdrowotnych jest wiele, jednak ta najważniejsza – zdrowie pracowników – przebija wszystkie. Wartością naddaną może być certyfikat „PracoDawca Zdrowia”, który zauważa i nagradza zaangażowanie pracodawców. Celem programu będącego jednym z elementów kampanii Ministerstwa Zdrowia „Planuję długie życie” jest promocja profilaktyki zdrowotnej w miejscu pracy oraz zwiększenie zgłaszalności pracowników na badania profilaktyczne pod kątem wykrywania chorób cywilizacyjnych (w szczególności nowotworów). W programie mogą wziąć udział wszystkie firmy, niezależnie od liczby pracowników czy rodzaju wykonywanej działalności. Zgłoszenie jest bezpłatne, a certyfikat przyznawany na trzy lata.

Kampania społeczna „Planuję długie życie” realizowana w ramach Narodowej Strategii Onkologicznej na lata 2020–2030, finansowana ze środków ministra zdrowia.

Jesteś pracodawcą? Dbasz o zdrowie swoich pracowników? Weź udział w programie „PracoDawca Zdrowia”.

Więcej informacji na stronie: planujedlugiezycie.pl, zakładka PracoDawca Zdrowia.

Chcesz wiedzieć więcej? Szukasz informacji na temat bezpłatnych badań? Wejdź na www.planujedlugiezycie.pl lub zadzwoń na bezpłatną infolinię 800 190 590. Infolinia jest czynna 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

Jak sprawić, by pracownicy
wybrali twoją firmę?

#PracoDawcaZdrowia



PLANUJĘ DŁUGIE ŻYCIE



BEZ RAKA
NA ASiP

ZMĘCZONA JAK CELEBRYTKA



FOT. JUSTYNA KOLEK/DIDIM/EAST NEWS

Biedna celebrytka Agnieszka Włodarczyk żali się na trudy macierzyństwa. – Notorycznie zapominam wyjąć prania – narzeka, zalegając przed pralką, którą właśnie reklamuje. Przypomnijmy, że Włodarczyk pomieszkuję obecnie w hiszpańskiej Marbelli, gdzie uciekła przed polską jesienią i zimą. – Nie jestem perfekcyjną panią domu. Ciężko jest wszystko ogarnąć w dzisiejszych czasach, szczególnie gdy się ma małe dziecko, nie ma się niani ani pomocy domowej. Staram się „normalnie funkcjonować”, staję czasami na głowie, by ogarnąć wszystko, co trzeba – żali się celebrytka. I trudno się dziwić. Zapozować do sponsorowanego materiału z pralką tak, by wyglądać na zmęczoną, może zmęczyć każdego!

PROBLEMY Z PRANIEM

Wpis Agnieszki Włodarczyk wywołał lawinę komentarzy – głównie prześmiewczych i krytycznych, sprowadzających się do tego, że ot, celebrytkom się w głowach poprzewracało. „A co by to dopiero było, jakbyś chodziła do pracy na osiem godzin?” – pytała jedna z fanek. „Jeśli to są pani problemy, to gratuluję” – dodała kąśliwie inna. „Zrozumieć tego nie mogę, jak można mówić, że jest ciężko, mając każdy sprzęt domowy i jedno dziecko” – brzmiał jeszcze inny komentarz. Nam najbardziej przypadł do gustu ten wytykający, że „ciężko to miała twoja babcia, ale nie ty, kobieto!”. No właśnie wychodzi na to, że w świecie Agnieszki miała lepiej! Nie miała pralki, więc nie miała problemów z zalegającym praniem!

LEPIEJ NIE MYŚLEĆ

Agnieszka Kaczorowska, znana szerzej jako Bożenka z „Klanu”, a ostatnio najbardziej z tego, że okazała się być wielką estetką i krytykowała powszechnie panującą, jej zdaniem, modę na brzydotę. Teraz Bożenka w ramach promocji piękna postanowiła pokazać, jak wyglądają jej brzuch i figura cztery miesiące po urodzeniu drugiego



FOT. RAMEL GROMADA

dziecka. Cały świat na to czekał i się doczekał. A więc Kaczorowska wygląda bardzo ładnie i atrakcyjnie, bo gdyby było inaczej, to nic by przecież nie pokazała. W każdym razie, zbierając pochwały, postanowiła zdradzić, jak osiągnąć taki efekt. – Czy moje ciało jest idealne? Jasne, że nie. Jest jednak wyjątkowe, bo jest MOJE. Oczywiście, że po brzuszku widać, że jest po dwóch ciążach, aczkolwiek kocham go BARDZO za wszystko, co przeszedł, i na razie nie męczę go specjalnymi ćwiczeniami. [...] każdego dnia jestem wdzięczna za to, że moje ciało jest sprawne, zdrowe, dało dwa nowe życia i pięknie się ze mną komunikuje [...] – oznajmia celebrytka. I radzi, by nie zajmować się myśleniem o swoim ciele, lecz skupić na emocjach. – Może Was zaskoczę, ale moim zdaniem nie warto o tym za wiele myśleć – obwieszcza. Tak, sama Bożenka jest najlepszym dowodem na to, że myślenie jest mocno przereklamowane.

UPOJENIE VIOLI

Tymczasem w rzeczywistości równoległej, w której żyje Viola Kołakowska, czołowy antyszczepionkowiec polskiego show-biznesu (przepraszamy, jeśli Edzia Górniak czuje się urażona, ale przyznajemy, że ona też jest w czołówce), gdzie pandemia to spisek, a w szpitalach leżą statyści. Teraz Viola podzieliła się swoim szczęściem, a uznała za nie fakt, że jej dziecko złapało rotawirusa. – W życiu nie pomyślałabym, że będę się cieszyć z tego, że moje dziecko ma rotawirusa. W świecie, gdzie mamy tylko jedno schorzenie,

nagle pojawia się on... Jesteśmy uratowani. Natura wciąż odpowiada na życie.

Po nieprzespanej nocy szczęśliwa, że moje dziecko ma szansę budować naturalną odporność – napisała Kołakowska. – Wdzięczność za wszystkie doświadczenia, wirusy, bakterie, grzyby, mikro- i makroświat, dzięki którym w ogóle żyjemy. Wdychajcie prawdę, niech was upaja i uwalnia – dodała. Cieszyć się z choroby własnego dziecka, jakiegokolwiek, to trzeba być naprawdę dobrze upojonym. Bynajmniej nie prawdą.

DOKTOR IZABELA RADZI

Viola Kołakowska świetnie dogadałaby się z inną celebrytką i aktorką – Izą Miko. Ciekawe, czy się znają. Jeśli nie, to powinny się poznać, to byłaby piękna przyjaźń! Otóż Małgorzata Rozenek wrzuciła na Instagram zdjęcie dokumentujące fakt przyjęcia trzeciej dawki szczepionki na koronawirusa i zwróciła się do antyszczepionkowców, pisząc: „To wy jesteście po złej stronie mocy”. Zgodnie z zasadą „uderz w stół...”, odezwała się Miko Izabela. – To nie jest zwykła szczepionka i osoby, które mają obawy, nie powinny być oceniane jako „po złej stronie” [...]. Jest wiele statystyk i liczb, które nie są pokazywane w mediach, więc trzeba samemu szukać, i uważam, że osoby, które są docieklive i nie wierzą ślepo w to, co jest pokazywane w TV, akurat naprawdę dbają o swoje zdrowie i bardzo świadomie podchodzą do tego ryzyka – rozprawia celebrytka. Iza jest bardzo świadoma i bardzo dociekliva, dlatego co rusz dzieli się z nami swoimi medycznymi poradami. Kiedyś na przykład radziła „okadanie” swojego ciała, by „oczyścić organizm ze złej energii” i „jak najlepiej przysłużyć się matce Ziemi”. Przekonywała, że najlepiej zacząć od miejsc intymnych. – Ludzie! Zdecydowanie zacznijcie okadzać szatnię wasze waginy! – apelowała. Szczepionki złe, okadanie waginy dobre. Takich ekspertów od zdrowia nam trzeba! ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, niby Unia Europejska, a jednak wyszło trochę mentalne Podkarpacie. Otóż wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej wystosowała pismo, w którym zachęcała do „komunikacji inkluzywnej” wokół tematu Winter Holidays, na Wschód od Krakowa wciąż jeszcze nazywanych Bożym Narodzeniem.

Miało to wyglądać w ten sposób, aby pracownicy Komisji unikali wszelkich religijnych odniesień dotyczących zimowych wakacji. Oczywiście wszystko w trosce o to, aby w ramach takiej komunikacji każdy czuł się dobrze, może z wyjątkiem chrześcijan, którzy tradycyjnie zawłaszczają sobie ten okres.

No i niestety sprawa się wysypała, iż europejska prawica, która gdzieś tam jeszcze podnosi swój kosmaty łeb, się o niej dowiedziała, wyśmiała ją i wyszydziła. Czyli zrobiła dokładnie to, co robi prawica wobec spraw, których nie rozumie i których się boi.

Wogóle, kochani, to piszemy do Was z bunkra szczelnie zapakowani w kombinezony z obawy przed potężnym Omikronem. Jak pewnie wiecie, iż media rozpaczliwie próbują zwrócić na tę sprawę Waszą uwagę, jest to najnowsza, wyjątkowo zmutowana, postać koronawirusosoby.

Tak sobie więc śledzimy, co piszą i mówią czołowi dziennikarze oraz liderzy opinii, i po prostu nie możemy się



nie bać, skoro mądrzejsi od nas się boją, ostrzegają i apelują.

Na szczęście mało kto przywiązuje wagę do słów lekarki z RPA, iż Omikron daje objawy łagodne i podobne u zaszczepionych i niezaszczepionych.

Pewnie przy tej okazji się zastanawiacie, skąd wzięliśmy bunkier. Otóż może to trochę na wyrast, ale babcia naszego team leadera ma piwnicę, no i po prostu siedzimy w tej piwnicy, trochę tylko wzmocniliśmy zamki i drzwi od szafy na przetwory, żeby nie wyskoczył nam z nich jakiś dziennikarz albo influencer i nie apelował o wprowadzenie dalszych restrykcji z uwagi na Omikrona.

Ukrzywdzono Jasia Kapełę. Został przez nienawistnych ludzi nominowany do Biologicznej Bzdury Roku, iż stwierdził, że wilki głównie są roślinożerne.

No, kochani, co do zasady to może i nie są. Ale czy my mamy prawo oceniać, jakie wilki w swoim życiu poznał Jaś Kapeła? A co więcej – czy możemy się z pewnością wypowiadać na temat ich diety?

Łatwo nam wszystkim przychodzi ocenianie, wyśmiewanie, negowanie faktów. Ale jakby się tak głębiej zastanowić, to naprawdę nie możemy ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że Jaś nie ma racji.

Dlatego domagamy się wycofania jego kandydatury i skupienia się np. na prawakach, którzy nazywają płody dziećmi xD

Robert Lewandowski nie otrzymał Złotej Piłki – czyli nagrody dla najlepszego piłkarza na świecie. Zdecydowały tak demokratyczne wybory.

A co na to Polacy? No a jak – oczywiście trwa podważanie legalnego wyboru najlepszego piłkarza świata, jakim okazał się w tym roku Lionel Messi.

Zwycięzcy składamy serdeczne gratulacje i chcemy podkreślić, iż szanujemy demokratyczne zasady wyborów, a od stopnia naszego poszanowania prawa wyższe jest tylko oburzenie na postawę podkarpackich januszy, którzy znów plują z nienawiścią na wolne wybory. ☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Zaszczyt

Marta, musimy jakieś wyjście znaleźć z tej afery ze sprzątaczką. Klementyna, ale jakie wyjście? Babsko wstrętne ze ścierą nie będzie mi tu podsłakiwać, jak ja o ważne sprawy walczę. A ta mi tu jeszcze wulgarnie, pisowska ściera...

Ty na jej wulgarność to się lepiej nie skarż nikomu, bo nam zaraz wyciągną nasze hasło. Ale to jest całkiem co innego!

Ja wiem, ale wiesz, że musimy się ścierać z homofobicznym patriachatem. Właśnie dlatego jakoś trzeba załagodzić. Bo wyszło niby, że lewica bez szacunku dla ludzi pracy... Jak ktoś ze ścierą lata dla Kaczora, to ja go nie szanuję!

Oj, dobra, ale my politykę robimy. Pomyśl, co by można dla tej baby zrobić. Że niby chcemy się porozumieć i przeprosić.

Wiem! Pozwolę jej u siebie w domu posprzątać.

Ale zapłacisz jej jakoś uczciwie? No bez jaj. Zaszczyt jej zrobić i jeszcze mam płacić? ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Będziemy współpracować w kampanii wyborczej, mając bardzo ważny cel: aby Węgry i Polska w 100 proc. wróciły do demokratycznej rodziny”.

DONALD TUSK, szef PO, na konferencji po spotkaniu z liderem węgierskiej opozycji

Listopad – niebezpieczna to dla Polaków pora. Ledwie z COVID wykaraskał się szef jednej z cywilnych służb, a innego szefa służby specjalnej – tym razem wojskowej – dopadła równie ciężka przypadłość. Chodzi o problemy sercowe. To zresztą ostatnio plaga. Przypomnijmy, że z powodu serca na zwolnienie musiał się udać szef dyplomacji. I powiedzcie nam, że bycie ministrem to nie jest stresująca robota. Gwoli wyjaśnienia – szefowie służb specjalnych są tytułowani ministrami.

Kolejnego szefa służby dopadła inna przypadłość. Nie wiemy, jak ją nazwać, może: czasowa dysgeneracja? Na 11 listopada miał on dostać na pagony wężyki generalskie. Nie dostał, bo na wniosku zabrakło kontrasygnaty premiera. Następna okazja nadarzy się dopiero 3 maja lub 15 sierpnia.

Wracając do kłopotów sercowych. Ale takich metaforycznych. Jeden z najbardziej prominentnych polityków obozu rządzącego zakochał się. Nie chodzi o romans, uczucie jest prawdziwe. Jest i problem. Wybranka polityka postawiła twardy warunek: albo małżeństwo, albo nic. Jednak ów zakochany jest już żonaty. I dzieciaty. Cóż. Nie będziemy przypominać historii Marcinkiewicza czy posła Pięty. Wszyscy mają je w pamięci, choć woleliby ich nie mieć. No więc wychodzi na to, że kolejny kryzys w obozie władzy wywołany będzie przez miłość.

Zmiany, zmiany. Niektórzy pytają: A jak już Grzegorz Kucharczyk zostanie tym nowym ambasadorem w Berlinie, to co będzie z dotychczasowym? Odpowiadamy: będzie dobrze, gdyż czeka na niego odpowiedzialne stanowisko wiceministra w resorcie spraw zagranicznych. I my to w pełni rozumiemy.

Awracając do prof. Kucharczyka – podpowiadamy niemieckim przyjaciółom, by czym prędzej wydać w Berlinie jedną z jego najciekawszych książek: „Długi kulturkampf. Pruskie i niemieckie wojny kulturowe przeciw Polsce w latach 1795–1918”. Temu facetowi frazesami o odwiecznej współpracy w głowie łatwo nie zamieszacie.

Przestajemy się dziwić, że reforma Sądu Najwyższego zbliża się wielkimi krokami. Posłuchajcie, co dzieje się ze

sprawą uchylenia immunitetu sędziemu stanu wojennego Józefowi Iwulskiemu. Otóż zasadniczo po zapadnięciu orzeczenia Iwulski powinien dostać szlaban na wstęp do gmachu SN i mieć obcięte uposażenie o połowę. Jednak prezes Manowska do tej pory nie wydała odpowiedniej decyzji. Ograniczyła się jedynie do poinformowania, że być może w przyszłości Iwulski będzie musiał zwrócić kasę. A jego przepustka do SN wciąż działa.

Teraz o prokuratorach. Zdawać by się mogło, że pion prokuratorski w IPN w Warszawie nie podstawia nogi dobrej zmianie. Niekoniecznie. Prokuratorzy z IPN w Szczecinie poprosili kolegów z Warszawy, żeby w ich imieniu przeprowadzili czynność wobec dwóch sędziów, którzy orzekali w stanie wojennym, tak jak Iwulski. Niby drobnostka, bo przesłuchanie zakończyłoby się zapewne odmową składnia wyjaśnień przez delikwentów. Jednak nie w tym rzecz. Odmawiając wykonania czynności, warszawscy prokuratorzy powołali się na orzecznictwo TSUE. To już jawny sojusz!

Tymczasem w europarlamencie. Jak wiecie, Roberta Metsola z Malty została oficjalną kandydatką Europejskiej Partii Ludowej na nowego szefa PE.

Smutek – nagle się okazało, że jej małżonek pojawia się w kwitach znanych jako Pandora Papers, którą to wiadomość EPL przyjęło z dumą – bo tak traktujemy zamieszczenie sprawy pod dywan i podtrzymanie kandydatury Metsoli. Jaka partia, takie powody do dumy.

Tymczasem do wyścigu o miano kandydata na kandydata na prezydenta Polski włączyła się nowa postać. I jest to kolejna kobieta. O dziwo – nie z PiS. Opowiadamy o tym z lekkim zażenowaniem, bo rzecz jest tyleż zabawna, ile smutna. Ruch poparcia kandydatury własnej osoby do Belwederu organizuje Izabela Leszczyna, za czasów PeŁo wiceminister finansów. Leszczyna najbardziej znana jest z tego, że nie jest z niczego znana. Co uważamy za atut.

Szok! Zgadza się z postanką PeŁo Klaudią Jachirą! Tak, żarcie w sejmowej stołówce jest zbyt tanie. Dziwi nas natomiast wściekłość, jaką wywołało to oczywiste stwierdzenie w klubie PeŁo. Żarcie jest tanie, przypomnijmy, bo dotowane. A PeŁo jest strasznie przeciw dopłatom, zwłaszcza ogłaszanym przez rząd PiS. Koledzy Jachiry powinni więc poprzeć jej wniosek o podniesienie cen: precz z tanizną! Ale jakoś nie popierają. Nie wierzymy, że to z powodu hipokryzji.

Taniocha w polskim Sejmie to i tak nie w porównaniu z ostatnim skandalem w stołówce dla asystentów europosłów w Brukseli. Otóż zabrakło tam sztuczków i pół setki głodnych ludzi nie wiedziało, co robić: jeść łapami czy ssać z głodu łapę. Szczęście, że to tylko asystenci. Podobna sytuacja w restauracji dla eurodeputowanych ani chybi skończyłaby się poważnymi konsekwencjami. Na przykład sankcjami na Polskę. Dłaczego na Polskę? A dlaczego, właściwie, nie?

Na koniec opowieści o naszych lekturach. Ponieważ w księgarniach nudy, czytamy z zaciekawieniem rozmaite ujawnione e-maile obozu rządzącego. Zwróciło naszą uwagę jedno z ulubionych powiedzonek premiera Mateusza: „Panowie, czy ja śnię?”. Otóż mało kto wie, że premier Mateusz, człowiek nienagannie wychowany i unikający przekleństw oraz alkoholu w sierpniu, wypowiada w ten sposób własny odpowiednik stwierdzenia „noż k.... mać!”. I z kontekstu wynika, że często ma rację. Lektury kształcą. ©©

dwaj panowie



Pierwsze w Polsce stacjonarne hospicjum wiejskie pilnie potrzebuje naszej pomocy

Trwa walka z czasem. Nie pozwólmy jej przegrać!

Od kilku lat grupa zaangażowanych społecznie ludzi prowadzi na Podlasiu hospicjum domowe. Docierają tam, gdzie mało kto dociera. Dzięki darczyńcom budują też unikalne w kraju wiejskie hospicjum stacjonarne. Są już na ostatniej prostej, żeby otworzyć je wiosną. – Wtedy mamy szansę na kontrakt z NFZ – mówi dr Paweł Grabowski. – Gdy przepadnie, przepadnie nam pięć lat



Jest nadzieja na miejsce pełne *miłości* ❤️

EMPATIA, PROFESJONALIZM I INNOWACYJNOŚĆ

Pomysł na powołanie hospicjum stacjonarnego jest efektem wieloletnich doświadczeń, które zebrała ekipa Fundacji Hospicjum Proroka Eliasza, prowadząc hospicjum domowe na podlaskich wsiach.

Hospicjum domowe działające na terenie kilku gmin wiejskich obejmuje obecnie opieką paliatywną 40 pacjentów. Od 2011 r. pomogło już ponad 600 osobom i ich rodzinom. Dojeżdżają tam, gdzie nikt inny nie dojeżdża.

– Staramy się nie tylko walczyć z bólem, lecz także zadbać o psychiczny stan umierającego. Żeby nie czuł się upokorzony swoją bezradnością i zdaniem na opiekę innych – mówi doktor Grabowski, prezes fundacji.

Inspiratorem tych działań i założycielem fundacji jest doktor Paweł Grabowski – chirurg szczękowo-twarzowy, specjalista medycyny paliatywnej, bioetyk, który pewnego dnia rzucił Warszawę i przyjechał na

Podlasie. Szukał głębszego sensu swojej pracy, chciał zmieniać ludzi i świat wokół siebie. Do doktora szybko dołączyła ekipa kilkunastu innych zapaleńców: lekarki, pielęgniarki, fizjoterapeuci, psycholog, opiekunki i dietetyczka. Docierają do swoich podopiecznych mieszkających często w miejscach bardzo odległych od placówek medycznych, niosąc pomoc chorym i wsparcie ich rodzinom. Zauważyli jednak, jak często takie wizyty to za mało. Niektórzy nasi podopieczni to osoby samotne, niektórym rodzina nie jest w stanie już pomóc i choć wiemy, że chorzy chcieliby umierać we własnych domach, to nie zawsze jest to możliwe. A szpital z kolei jest ogromnym dyskomfortem dla umierającego, który przecież potrzebuje empatii i miłości do ostatniej chwili.

W Makówce pod Narwią, w budowanym od 2019 r. obiekcie stacjonarnym, ma stanąć 36 łóżek dla osób, którym rodziny nie są już w stanie pomóc. W budynku oprócz pokoi chorych z dostępem

do ogrodu znajdą się sale pozwalające na zjedzenie obiadu z rodziną, sale rehabilitacyjne i terapeutyczne, wypożyczalnia sprzętu i ekumeniczna kaplica.

Będą się tu także odbywać warsztaty i szkolenia pokazujące, czym jest opieka paliatywna.

PASJA SPOŁECZNIKÓW I HOJNOŚĆ DARZYŃCÓW ZMIENIAJĄ RZECZYWISTOŚĆ

Koszt realizacji hospicjum oceniany jest na ok. 16 mln zł. Budowa od początku oparta jest na hojności darczyńców. – Obecnie montujemy instalacje elektryczne, hydrauliczne oraz sanitarne. Potrzebujemy jeszcze ok. 3 mln zł do ukończenia i wyposażenia hospicjum – ocenia dr Grabowski. I wyjaśnia: – Naszym celem jest uruchomienie obiektu na wiosnę 2022 r. Wtedy rozpocznie się kontraktowanie z NFZ. Kolejna możliwość będzie dopiero za pięć lat! A przecież dla naszych chorych liczy się każdy dzień opieki, jaką moglibyśmy im tu zapewnić. Dlatego ważna jest każda złotówka.

Więcej informacji na: www.hospicjumeliasz.pl



Darowiznę można przekazać na konto budowy:

Fundacja Hospicjum Proroka Eliasza,
ul. Szkolna 20, 16-050 Michałowo.
ING Bank Śląski, o. w Białymstoku
Nr konta:
81 1050 1953 1000 0090 3150 6141
Tytuł wpłaty:
pomagam wybudować hospicjum
**Lub dokonać wpłaty on-line przez
stronę: hospicjumeliasz.pl/pomagam**

Agora

kontra „Wyborcza”



Kamila Baranowska

Publiczne pranie brudów, wzajemne obrzucanie się błotem, a wszystko podlane sosem z patosu, którego pełno w kolejnych listach i oświadczeniach. Konflikt „Gazety Wyborczej” z Agorą to już prawdziwa wojna atomowa

FOT. ANDRZEJ STOK

AGORA SA

ta
ZA.P.L

Zaczęło się jak u Hitchcocka. Najpierw trzęsienie ziemi, a później napięcie tylko rośnie. I rośnie nadal. Choć zamiast straszniej, robi się momentami coraz bardziej groteskowo.

„Podłe sponiewieranie pracownika”, „zjadła mściwość”, „głupota”, „czasy PiS-owskiej opresji”, „opluskwanie adwersarzy”, „łajdak i kanalia, pazerna na pieniądze”, „chwyty z czarnej propagandy, znane z Marca '68”, „seanse nienawiści”, „podłe metody”, „pożyteczni idioci”, „niszczyciele”, „kłamstwa i manipulacje”, „lizusostwo”, „traktowanie jak śmiecia”, „dezinformacja i insynuacja”, „obrzucanie błotem” – wszystkie te sformułowania pochodzą z kilku ostatnich oświadczeń „Gazety Wyborczej” w ramach otwartej wojny, którą prowadzi kierownictwo redakcji ze swoim wydawcą, czyli spółką Agora. Jak doszło do tego, że zwykły spór wewnątrz korporacji – jak się zdawało – przeszedł w fazę wojny atomowej, wizerunkowo dewastującej dla obu stron, do tego prowadzonej przy podniesionej kurtynie?

ŁĄCZENIE PAPIERU Z INTERNETEM

Pierwszą odsłonę konfliktu mogliśmy obserwować latem. W czerwcu zarząd Agory podjął decyzję o połączeniu portalu „Gazety Wyborczej” z portalem Gazeta.pl. Pomyśl spotkał się ze sprzeciwem kierownictwa papierowej „Wyborczej”. Już wtedy poszło na noże, odejściem miał wówczas zagrozić sam Adam Michnik. Branżowe media (m.in. „Press”) podawały, że zarząd Agory chciał, by połączone redakcje podlegały portalowi Gazeta.pl, co wiązałoby się ze zwolnieniami w kierownictwie „Wyborczej”. Już wtedy mówiło się o możliwym zwolnieniu Jerzego Wójcika, wydawcy „GW”, odpowiedzialnego za internetowe subskrypcje.

W tamtym czasie jednak mimo silnych napięć panowało przekonanie, że obie strony są na tyle rozsądne, iż się dogadają. Wydawało się, że po wielkiej burzy będzie spokój, bo zarząd Agory poinformował, że w związku z towarzyszącymi całej sprawie emocjami wstrzymuje połączenie portali. „Naszym priorytetem jest rozwiązanie sporu wewnątrz firmy i przystąpienie do rozmów z redakcją o przyszłości „Gazety Wyborczej” – napisał zarząd w specjalnym oświadczeniu. Pokłósiem tamtej odsłony konfliktu było zerwanie przez sieć kin Helios współpracy reklamowej z redakcją „Wyborczej”. Ta odebrała

tę decyzję jako pewnego rodzaju karę, a Jarosław Kurski, pierwszy zastępca redaktora naczelnego dziennika, stwierdził, że „cała sytuacja jest smutna”.

WÓJCİK I FURIA

Po smutku z tamtego czasu nie ma dziś śladu. Zastąpiła go bowiem furia, która ogarnęła kierownictwo „Gazety Wyborczej”, gdy zarząd Agory – nie uprzedzając nikogo – zrobił to, co od dawna planował, czyli zwolnił (i to dyscyplinarnie) Jerzego Wójcika. Informacja o jego wyrzuceniu była szokiem, wojna wybuchła więc ze zdwojoną siłą, już bez niuansów i krygowania się tekstami o „smutnej sytuacji”.

„Wyborcza” rozpoczęła publikację serii apeli i oświadczeń, przy okazji informując, że przywraca Wójcika do pracy i że zatrudnia go jako wicenaczelnego (na jakiej podstawie prawnej, nie wiadomo, bo to zarząd spółki odpowiada za zatrudnienie). Agora nie pozostawała dłużna. Zarząd w liście do pracowników (który oczywiście od razu wyciekł do mediów) ujawnił, że w czasie pandemii Jarosław Kurski i Jerzy Wójcik negocjowali lepsze warunki pracy, ale... tylko dla siebie – mieli zażądać m.in. 12-miesięcznych okresów wypowiedzenia, dodatkowych 12-miesięcznych odpraw, dodatkowych urlopów zdrowotnych, samochodów i pełnej opieki medycznej dla rodzin. Agora twierdzi dziś, że właśnie to stało się zarzewiem dalszej eskalacji konfliktu.

W tym samym czasie „Wyborcza” rozkręciła całą akcję wspierania samej siebie, przekierowując konflikt na tory polityczne. Spór redakcji z zarządem o model funkcjonowania biznesu stał się więc wojną o demokrację, wolność słowa i niezależność. Stąd też wyrażane niemal wprost sugestie, że zarząd Agory działa (świadomie czy nie, to bez znaczenia) w interesie PiS.

„Jestem wszakże przekonany, że w kręgach PiS trwają modły, by Bartosz Hojka i inni się nie przeziębili, ponieważ lepszych dla siebie niszczycieli „Gazety Wyborczej” łatwo nie znajdą” – pisze w swojej odezwie Adam Michnik. W innym oświadczeniu, podpisanym przez Michnika i Kurskiego, czytamy: „Agresja partii rządzącej na naszą broniącą demokracji gazetę była i jest przewidywalna. Partia ta uznaje nas za wrogów i jest naszym wrogiem. Gorzej z ludźmi, którzy podają się za naszych przyjaciół, deklarując pomoc i troskę. Strzeż nas, Panie,

od przyjaciół, bo z wrogami poradzimy sobie sami”.

PIENIĄDZE I ETOS

Patos, który wylewa się z kolejnych listów i tekstów publikowanych w „Wyborczej”, jest nieznośny, ale czytelny. „Czy »Wyborcza« będzie nadal domem polskiej demokratycznej inteligencji? Czy ma być generatorem wyżyłowanego zysku dla spółki?” – pytają Michnik i Kurski. „Czy, wreszcie, będzie to nowoczesna gazeta konkurująca z innymi doinwestowanymi przez światowych gigantów mediami? Czy może – jak to ujął szef rady nadzorczej Agory – jedynie »13 procentami wartości spółki«, czyli konglomeratu rozrywkowo-medialnego stawiającego na fast food i popcorn?” – ciągną. I konkludują: „Wiedźcie więc, Drodzy Czytelnicy, przyjaciele spod sądów, uczestnicy protestów w obronie konstytucji i ze Strajku Kobiet, obrońcy praw prześladowanych mniejszości, obrońcy Unii Europejskiej, obrońcy naszej planety, działacze społeczni i samorządowi – Wasza »Wyborcza« jest dziś zakładnikiem ludzi o mentalności »13 proc.«” – czytamy.

„Jesteśmy zdumieni, że w historycznym tytule, jakim jest »Gazeta Wyborcza«, używa się wielkich słów, by bronić pozycji jednego kolegi” – odpowiada zarząd Agory, tak jakby właśnie urwał się z choinki. Przecież od lat „Wyborcza” stosuje dokładnie tę samą metodę wobec każdego, z kim się nie zgadza. Dobrze opisał ją Rafał Woś, publicysta sam dawniej z „Wyborczą” współpracujący, obecnie związany z portalem Salon24.pl: „To, co zawsze w Michniku irytowało najbardziej (i co zdołał po sobie w DNA »Wyborczej« pozostawić), to ich groteskowa wręcz świętoszkowatość. Ta nieznośna łatwość, z jaką sięgało się i sięga nadal na Czerskiej po najświętsze wielkie słowa. I lekkość, z jaką wchodzi na najwyższe C. Większość powiedziałaaby »nie zgadzam się« albo »jestem innego zdania«. Ale nie oni [...]”.

Zarząd, który ze zdumieniem odkrył, że metoda, która dotąd działała na innych, właśnie została zastosowana wobec niego, przekonuje też, że spór idzie nie o wartości, lecz o coś dużo bardziej przyziemnego. „Spór między kierownictwem »Gazety Wyborczej« a zarządem nie jest sporem o wartości i niezależność redakcji. To spór personalny, a jego osi są sukcesja, władza, pieniądze i oczekiwanie zwiększonych przywilejów dla wybranych osób” – piszą członkowie zarządu.

Agora ze względu na pandemię ma za sobą niełatwy biznesowo czas. Wielomiesięczne zamknięcie kin Helios, trudna sytuacja na rynku reklamy i rynku medialnym sprawiły, że spółka szuka nowych rozwiązań. Padło na papier, który jest relatywnie łatwą ofiarą, bo wiadomo, że media przenoszą się do Internetu i to tam trzeba inwestować. Stara gwardia „Wyborczej” ma z takim podejściem duży problem, bo dla niej papierowa gazeta to świętość. To poniekąd także spór pokoleniowy – i tak patrzy na niego całkiem spora część pracowników obu medialnych segmentów i „Wyborczej”, i Gazety.pl.

– Michnikowi i reszcie nie mieści się w ogóle w głowie, że ktoś mógł wpaść na pomysł, żeby coś im mieszać w ich królestwie. Byli przekonani, że są nie do ruszenia, bo są ważni i niezbędni. I nagle zarząd dość brutalnie i bez sentymentów mówi im, że nie ma ludzi nie do zastąpienia, że trzeba zredukować zatrudnienie i że nie są w tej firmie najważniejsi – mówi nam jeden z dziennikarzy pracujących w Agorze.

Potwierdzeniem tych opinii są choćby te słowa, skierowane do Agory przez Michnika: „Agora powstała po to, aby być zapleczem materialnym dla »Wyborczej«, a nie po to, by nią rządzić. Ingerencje osób z zarządu w pracę »Wyborczej« i jej funkcjonowanie zostały odebrane z wielkim niepokojem przez Radę Redakcyjną »Gazety Wyborczej« i przez jej kierownictwo. Jeśli autorzy manifestu, Bartosz Hojka i inni, mają choćby krztynę honoru i kroplę oleju w głowach, to powinni wyciągnąć z tego wnioski [...] I nie będzie zgody na to, by o losie »Wyborczej« decydowali ludzie o kompetencjach i kwalifikacjach moralnych autorów manifestu” – pisze Michnik.

Obecnie zarząd Agory składa się z pięciu osób: prezesa Bartosza Hojki, Anny Kryńskiej-Godlewskiej, Tomasza Jagiełły, Agnieszki Siuzdak-Zygi i Tomasza Grabowskiego. To menedżerowie z pokolenia 40–50-latków, którzy ani do Michnika, ani do „Wyborczej” sentymentu raczej nie mają. Nie tylko zarząd jest w tej układance ważny. Kluczowi są także udziałowcy, zwłaszcza piątka z nich, dysponująca tzw. złotymi akcjami i tworząca Agora-Holding. To Seweryn Blumsztajn, Helena Łuczyno, Wanda Rapaczyńska, Barbara Piegoń oraz Bartosz Hojka. „Udziałów w Agora-Holding nie można kupić, sprzedać ani odziedziczyć. Wejść do spółki można tylko przez kooptację. Odejście oznacza umorzenie udziału” – tłumaczy na swoim blogu Wojciech Orliński, wieloletni

dziennikarz „Wyborczej”, szef agorowej Solidarności, który odszedł z redakcji w lutym wskutek konfliktu z zarządem. Orliński wie, co pisze, gdy konstatuje, że „prezes Agory ma więc władzę większą niż w typowej korporacji, w której CEO jest tylko najemnikiem akcjonariuszy”.

Piątka kluczowych udziałowców zachowuje się w całej sprawie dość wstrzemięźliwie, praktycznie nie zabierając głosu. Orliński zauważa, że przebija się wyłącznie stanowisko prezesa Hojki. „[...] ma 47 lat i jest młodszy o pokolenie od pozostałej czwórki (trzy osoby są mocno po siedemdziesiątce). Moim zdaniem te liczby wyjaśniają wszystko. W co gra prezes, dlaczego ten konflikt ostatnio się tak zaostrzył, skąd ten pat decyzyjny. Ja te odpowiedzi widzę w PESEL-ach, ale to już spekulacje, więc na tym poprzestane” – pisze Orliński.

Gdy pytamy pracowników Agory o nastroje w firmie i o to, po której stronie są sympatie pracowników, słyszymy, że większość ludzi jest zniesmaczona stylem tego konfliktu i faktem, że jest on prowadzony publicznie. – To odbiera powagę nam wszystkim i jest żenujące. Piaskownica. Bez względu na to, jak to się skończy, straty, wizerunkowe i nie tylko, poniesie cała firma – mówi nasz rozmówca.

Pytanie nie tylko, jak się skończy, lecz także kiedy, bo na razie obie strony okopały się na swoich pozycjach i nie widać ani woli, ani nawet pola do kompromisu. Jest raczej kurs na zaozgonienie sytuacji niż gaszenie pożaru. Bo jak inaczej interpretować przygotowanie przez Wojciecha Czuchnowskiego raportu na temat... wszystkich nieudanych inwestycji Agory? Czyli dziennikarz śledczy „Wyborczej” sporządził raport na temat tego, jak biznesowo nieudolna jest firma, której on sam i jego tytuł jest częścią! Trudno o bardziej kuriozalną sytuację. I choć on sam mówi, że zrobił to na własną rękę, to zaraz dodaje, że raport został przez redakcję i jej kierownictwo bardzo dobrze przyjęty. Zarząd oświadczył, że wszystko, co napisał Czuchnowski, „nie ma odzwierciedlenia w faktach ani też podstaw prawnych”. I zagroził, że spółka podejmie kroki „mające na celu ochronę renomy Agory i jej organów statutowych”.

JAK TO SIĘ SKOŃCZY?

Czy jest zatem sposób, by przerwać ten konflikt tak, by obie strony mogły wyjść z niego z twarzą (choć po tych wszystkich oświadczeniach, kwiecistych aktach strzelistych i wzajemnych oskarżeniach nie będzie to łatwe)?

Dla „Wyborczej” gra idzie o to, by zachować obecną autonomię i nie dać się połączyć z pionem Gazeta.pl. Zarząd zaś chce oszczędności i optymalizacji zysków, a szansa na to upatruje w zwiększeniu atrakcyjności reklamowej swoich portali. Do niedawna rozważanym pomysłem było wydzielenie „Gazety Wyborczej” do osobnej spółki zależnej od Agory. Redakcja „Wyborczej” podbiła jednak stawkę, żądając powołania do zarządu Agory własnego przedstawiciela, który miałby tam pilnować jej interesów. Pojawił się także jeszcze dalej idący pomysł – zmiana struktury właścicielskiej, w myśl której „Gazeta Wyborcza” stałaby się osobnym podmiotem z osobowością prawną. O tym jednak zarząd też nie chce słyszeć. Niedawno prezes Hojka poinformował, że prace nad wydzieleniem „Wyborczej” do odrębnej spółki zostały całkiem zawieszone. – „Wyborcza” jest Agorze potrzebna choćby do celów marketingowych. Zarząd może sobie mówić, że gazeta to mały procent zysków całego koncernu, ale bez „Wyborczej” nie miałby tego efektu synergii, który ma dzisiaj – wskazuje nam jeden z pracowników.

O tym, jak ważny to efekt, redakcja „Wyborczej” postanowiła pokazać zarządowi w sposób demonstracyjny. Od października „Wyborcza” wstrzymała publikację swoich treści na stronach portalu Gazeta.pl, co do tej pory było normą i działało na korzyść obu portali. Jak ten eksperyment wpłynął na klikalność i popularność serwisów, będzie pewnie wiadomo dopiero za jakiś czas, sygnał jednak był dość czytelny.

Nie wiadomo, czy którakolwiek ze stron ma sensowny pomysł na zażegnanie sporu. Wiadomo, że nie ma go redakcja „Wyborczej”, która choć nie składa broni, to wydaje się nieco zrezygnowana. Bo bez względu na to, ile listów i oświadczeń by opublikowała, ile głosów wsparcia by pozyskała, to piłeczka i tak jest po stronie zarządu. To on podejmuje decyzje: i te personalne, i te biznesowe.

„Jedynie, co ludzie z zarządu mogli by zrobić, to nie wtrącać się, wydzielić »Wyborczą« w osobną spółkę albo odejść. Nie robią ani pierwszego, ani drugiego, ani trzeciego. Oświadczamy więc: kierownictwo »Gazety Wyborczej« całkowicie utraciło do Zarządu Agory zaufanie i składa wobec niego wotum nieufności” – napisali Michnik z Kurskim. Wotum nieufności, z którego poza tym, że groźnie brzmi, kompletnie nic nie wynika. Trudno o bardziej rozpaczliwe świadectwo bezsilności i niemocy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



„Wy nie wiecie, kim ja jestem”



Piotr Semka

Każdy opromieniony dawnymi sukcesami mistrz trafia prędzej czy później na młodszego, ale sprawniejszego rywala. Czy na takiego właśnie trafił Adam Michnik?

Ten dość pyszałkowaty okrzyk, z którego uczyniłem tytuł tego tekstu, pojawiał się w wielu przedwojennych filmach. Ilustrując sytuację, w której ktoś próbuje w groteskowy sposób wykorzystać swoje stanowisko. Ktoś, kto przecenia swoje znaczenie albo korzysta z prawdziwych zasług, ale używając ich w banalnych konfliktach, ośmiesza sam siebie. Ten motyw ze starych komedii przyszedł mi na myśl, gdy zacząłem obserwować spór między redakcją „Gazety Wyborczej” a spółką

Agora. Być może stanie się on kiedyś szkolnym przykładem przytaczanym przez autorów książek o problemach zarządzania w biznesie medialnym. Mam wrażenie, że podobnego sporu nie było w świecie zachodnim od wielu lat. Nie chcę wchodzić w rozważania, jaki jest stopień winy i złej woli w pojedynkach na oświadczenia, które prowadzi zarząd Agory pod wodzą prezesa Bartosza Hojki, z Adamem Michnikiem i kierownictwem niegdyś największego dziennika w Polsce. Na pewno konflikt można

byłoby rozwiązać już dawno, gdyby obie strony postarały się o samoograniczenie swoich żądań. W każdej zarządzanej rozsądnie firmie czynnikiem, który wpływa na ostudzenie emocji, jest świadomość, że publiczne pranie brudów niszczy powagę obu stron sporu.

Na razie jednak obie strony idą na totalne zderzenie. Oskarżenia o kłamstwa i bardzo mocne w wypadku środowiska „Wyborczej” oskarżenie o kopiowanie metod komunistycznej propagandy z marca 1968 r. wskazują, że trudno będzie o jakiś kompromis.

Cała ostrość tej awantury wymaga jednak sięgnięcia do przeszłości „Gazety Wyborczej” i osobowości Adama Michnika. Spór ten wiele nam mówi o metodach działania naczelnego „GW”, które przynosiły mu jak dotąd zawsze sukces. Na dodatek pewne elementy tego sporu dobrze ilustrują logikę wojny polsko-polskiej, która toczy się od 2005 r.

CUDOWNE DZIECKO

Sprawczość Adama Michnika – najpierw w opozycji, potem w polityce, a wreszcie skuteczność w rządzie dusz nad elitami III RP – wynikała z niezwykle rzadkiego skumulowania się rozmaitych wyjątkowych cech. Bardzo szybko nauczył się on być liderem swoich kolejnych środowisk. Na początku była to rola lidera w środowisku rówieśników w Hufcu Walterowskim – komunistycznej organizacji młodzieżowej, potem w środowisku studentów kontestujących system PRL z pozycji marksistowskich, jeszcze później w środowisku komandosów, którzy zainicjowali rewoltę marca ’68, i wreszcie w opozycji lat 70. i środowisku KOR. Stąd była już prosta droga do symbolu solidarnościowego oporu z lat 80. i wygranej wyborczej solidarności w 1989 r. Na koniec była wreszcie najbardziej wyrafinowana rola władcy dusz w postaci szefowania „Gazecie Wyborczej”.

Michnik dzięki swojej inteligencji, ale i urokowi osobistemu, zawsze był tym, który przykuwał uwagę innych, a z czasem zaczął nawet mieć nad nimi wręcz hipnotyczną władzę. Miał powodzenie u kobiet, zyskiwał sympatię u znanych nazwisk w kraju i za granicą. I miał wpływ na swoje środowisko. Komunizm był systemem, który dążył do jak największej atomizacji ludzi. Władze dbały, by nie powstawały żadne więzi poza oficjalnymi organizacjami, w które wpłano społeczeństwo. Michnik wykorzy-

stał fenomen Hufca Walterowskiego do przeniesienia więzi, które silnie łączyły młodych ludzi już w wieku dziecięcym i powodowały podejmowanie wspólnej aktywności w działaniu opozycyjnym.

Adam Michnik był niekwestionowanym liderem, który jedyny wyjątek w swoim przewodnictwie robił dla Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego, którzy – starsi o jedno pokolenie – wypełniali rolę patriarchów lewicy laickiej. Ale jedno drugiemu nie przeszkadzało. Kuroń i Modzelewski zazwyczaj zapewniali Michnikowi sankcje cudownego dziecka opozycji, a on w zamian chylił czoła przed ich pionierską rolą w kontestacji PRL z pozycji lewicowych.

Oskarżenia o kopiowanie metod komunistycznej propagandy z marca 1968 r. wskazują, że trudno będzie o jakiś kompromis

Dominacja Michnika w środowisku komandosów może jawić się dziś jako coś zdumiewającego. Skuteczność mechanizmu, w którym skrzywienie brwi Adama Michnika i ogłoszenie przez niego, że ktoś „nie jest już jednym z nas”, była ogromna. Miała swoje głębokie korzenie jeszcze w praktyce drużyn walterowskich. W książce zawierającej wspomnienia wychowanków tego środowiska jest bardzo charakterystyczne wspomnienie: opowieść o tym, jak w wypadku najpoważniejszych przekroczeń dyscypliny czy zasad walterowskich karą wyznaczoną winowajcy było publiczne odebranie czerwonej chusty przed frontem całej drużyny. Autor wspomnień odnotowuje, że kara ta wywoływała na młodych harcerzach walterowskich efekt o wiele bardziej wstrząsający niż jakiegokolwiek kary praktyczne, takie jak oddelegowanie do obierania ziemniaków czy szorowania mezażek kolegom i koleżankom.

Oczywiście do skuteczności takiej władzy „wygnania ze środowiskowego raj” potrzebna była specyficzna sytuacja dystryktów w PRL. Po marcu 1968 r. ludzie, którzy przeszli więzienia i wyrzucenia z pracy, mogli liczyć tylko na koleżeńską pomoc i emocjonalne wsparcie. A kiedy już w tym kręgu się znaleźli i poculi się w miarę bezpiecznie, byli siłą rzeczy

wystawieni na nieformalną psychiczną władzę Adama Michnika jako lidera tego środowiska. Od jego werdyktów moralnych jedyną instancją odwoławczą byli ojcowie założyciele środowiska, wspomniani już Kuroń i Modzelewski.

Obóz dysydencki w Polsce Ludowej w latach 70. balansował na cienkiej linii między groźbą represji SB a pragmatyzmem ekipy Gierka. Polskim komunistom zależało wówczas na wizerunku liberałów „w oczach Zachodu”. Opozycjoniści, aby przetrwać, musieli nauczyć się perfekcyjnej gry propagandowej. Z jednej strony używać moralne poparcie znanych pisarzy, artystów i naukowców, a z drugiej strony odwoływać się do zachodnich instytucji i lewicowych partii, takich jak np. Włoska Partia Komunistyczna. Ponieważ komunistyczna władza notorycznie kłamała, opinia takich ludzi jak Michnik, którzy wzbudzali podziw swoją odwagą, przyjmowana była na zasadzie autorytetu. W większości wypadków działało to na rzecz słusznych spraw, takich jak np. walka o uwolnienie robotników Radomia i Ursusa. Michnik jednak używał tego autorytetu także do dyskredytowania tych, których uważał za przeciwników politycznych w łonie opozycji. Tak było w wypadku Leszka Moczulskiego, który został uznany przez Michnika za prowokatora, antysemitę i moczarowca. Ponieważ opinie takie krążyły w kręgach opozycyjnych na zasadzie głuchego telefonu towarzyskiego, ofiarom takich oskarżeń trudno się było bronić.

CIĄGLE NOWI PRZECIWNICY

To, co było nawykiem Michnika w czasach opozycji, stało się niestety jego nawykiem także po 1989 r. Tyle że bohater tego tekstu miał już nowe narzędzie do prowadzenia swojej polityki walki z kolejnymi wrogami. Zamiast uświadomić sobie, że w normalnej demokracji różnice poglądów i aktywności politycznej są czymś normalnym, szef gazety z ul. Czerskiej nadal ogłaszał co pewien czas, kto jest aktualnym wrogiem demokracji. W wygodny dla siebie sposób deklarował, że Polska dzieli się na tych, którzy przyznają się do dziedzictwa prezydenta Gabriela Narutowicza, skrytobójczo zamordowanego w Zachęcie w 1922 r., oraz na tych, którzy są duchowymi spadkobiercami zabójcy Narutowicza. Podział był bardzo komfortowy dla Michnika, bo po swojej stronie sytuował wszystko, co szlachetne i piękne, a po stronie przeciwników to, co podłe i nikczemne.

I ten nawyk powodował, że najpierw to Lech Wałęsa stawał się zagrożeniem dla polskiej demokracji, potem był nim Andrzej Lepper, dekomunizatorzy bracia Kaczyńscy, ludzie pamiętający o Smoleńsku, a po 2015 r. – PiS jako absolutna emanacja zła. We wszystkich tych wypadkach Adam Michnik lubił mobilizować zagraniczne autorytety, międzynarodowe organizacje, jak np. Reporterzy bez Granic, czy – szeroko mówiąc – całą polską inteligencję. Co pewien czas powracała ostateczna klątwa: „Marzec mi się przypomina”. Obserwatorzy życia publicznego w Polsce tak bardzo przyzwyczaili się do tej retoryki, że te rytualne polowania na nowego przeciwnika stały się czymś banalnym.

To, co zaczęło zaskakiwać i dziwić przynajmniej w perspektywie ostatniego roku, to wojna Adama Michnika z zarządem Agory i portalem Gazeta.pl. I w tym konflikcie wyszły w wyjątkowo jaskrawej formie arbitralność i tromtadacja kampanii Michnika. Nagle synonimem wszystkiego złego, co jest w dziennikarstwie, zaczął być „wroóg wewnętrzny”. Z portalu Gazeta.pl – który należy do spółki Agora SA i który Bogiem a prawdą niewiele różni się od „Gazety Wyborczej” – zrobiono nagle organ niemalże propisowskich janczarów. A z zarządu pod wodzą Bartosza Hojki zrobiono podłych kłamców wchodzących w buty komunistycznej propagandy marca 1968 r.

Nie chcę wchodzić w szczegóły sporu między Agorą a „Wyborczą”, ale z wielu wypowiedzi analityków rynkowych wynika, że poszło o kwestie czysto ekonomiczne. Dziennik Adama Michnika, jak podejrzewa wielu obserwatorów, generuje po prostu za duże koszty, zatrudnia zbyt wielu ludzi i zbyt pochlebnie dla siebie ocenia liczbę abonentów elektronicznych. Taka opinia jest na tyle dominująca w świecie biznesu, że poważne gazety ekonomiczne z zakładaniem unikają opisywania tego sporu. Nie chcą ani zadzierać z Michnikiem, ani też krytykować zarządu.

Jednak Michnik w tym sporze, który można by było rozładować na drodze mediacji, ruszył do ataku pod hasłem: „Wy nie wiecie, kim ja jestem!”. I użył w swojej obronie metod, którymi posługiwał się od lat 70. Odwołał się do autorytetów i zagranicznych instytucji. Dobrym przykładem tej perswazji jest list otwarty Krystyny Zachwatowicz, wdowy po Andrzeju Wajdzie, która przy-

znaje, że nie zna się na ekonomicznej stronie sporu, mimo to wyraża głębokie przekonanie, że trzeba w nim jednoznacznie poprzeć Adama Michnika.

Każdy dzień przynosi nowe, coraz bardziej zdumiewające elementy sporu. Oto Wojciech Czuchnowski, rewolwerowy dziennikarz z Czerskiej, ogłasza, że sporządził raport, który oskarżycielsko wylicza wszystkie nietrafne decyzje zarządu. Czy gdzieś na świecie wydarzyło się coś podobnego? Znowu Michnik wykorzystuje przewagę gazety codziennej nad zarządem spółki, która ją wydaje. Wie, że zarząd, choćby z powodu przepisów prawnych, nie może ujawniać wielu wskaźników ekonomicznych, które decydują o jego polityce.

Tak więc spór trwa w najlepsze. Tyle że nastąpił jeden ważny element zmiany. Oto Wanda Rapaczyńska, która jest członkiem zarządu, weszła w konflikt z Michnikiem i – co więcej – uzyskała w tej rozgrywce wsparcie Heleny Łuczywo, bliskiej współpracownicy Michnika, jeszcze z czasów KOR, podziemnego tygodnika „Mazowsze” i wreszcie od maja 1989 r. zastępcy redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”. Rzucenie wyzwania przez duet Rapaczyńska-Łuczywo musiało być dla Michnika wyjątkowo nieprzyjemnym wstrząsem. Być może z tego powodu jego ostatnie reakcje są tak nerwowe i furiackie. Wynikać to może z tego, że obie panie wywodzą się ze środowiska komandosów i przez ostatnie 50 lat były wiernymi towarzyszami broni naczelnego „Wyborczej” we wszystkich kolejnych bataliach. Obie wiedzą też bardzo wiele o Michniku. Ta zmiana wynika w wypadku Rapaczyńskiej z czysto pragmatycznego rachunku ekonomicznego, a w wypadku Heleny Łuczywo – z jej osobistej solidarności z Wandą Rapaczyńską.

KAŻDA BROŃ JEST DOBRA

Ostatnia batalia pomiędzy Adamem Michnikiem a zarządem Agory ma parę szerszych wymiarów. Po pierwsze, pokazuje, że Adam Michnik potrafi z każdego zrobić wroga. Bartosz Hojka nie miał nigdy żadnych związków z prawicą, a jednak czytelnicy „Wyborczej” w komentarzach snują podejrzenia, że musi on być czyjąś piątą kolumną. Czytelnik podpisujący się pseudonimem Clicquot pisał 25 listopada w rubryce Komentarze: „Wygląda na to, że macie wśród ekonomiczno-rachunkowych decydentów postaci raczej niechętne linii programo-

wej »GW«. Biorąc pod uwagę, kiedy się zaczęło zwracanie sprzedawcy gazety, jaki miało zasięg, można by pomyśleć, że to nie tyle PiS, ile inna instytucja sięgająca do każdej wsi”. Czytelnikowi „Clicquot” spór z zarządem Agory jawi się jako efekt długich macek Kościoła katolickiego w Polsce. I opinia ta umieszczana jest na stronie „Wyborczej” bez żadnej refleksji nad tym, jak ośmiesza to organ Adama Michnika.

Po drugie, pokazuje jeszcze siłę ślepej wiary elit III RP w słuszność czegokolwiek, co powie naczelny „GW”. Oto Stowarzyszenie Sędziów Polskich Iustitia zabiera głos w obronie redakcji przy Czerskiej, zdradzając przy okazji, że nie ma w tej sprawie żadnej wiedzy czysto ekonomicznej. A mimo to sypie gromy na zarząd, bo „ufa Adamowi Michnikowi”. Tak samo jest z rozmaitymi zagranicznymi organizacjami, które też trzymają się zasady: „Skoro Michnik mówi, że ma rację, to oczywiście jest, że musi mieć rację”. Niekiedy autorzy takich tekstów czują, że konflikt jest dosyć niejasny, więc już z własnej inicjatywy dodają do swoich analiz sugestię, że za całą sprawą musi stać Jarosław Kaczyński. Autor tekstu na temat kłopotów „Wyborczej” na portalu austriackiej telewizji ÖRT rozwiązał ten kłopotliwy dylemat, pisząc: „Jedni oskarżają o kryzys Agorę, a inni są przekonani, że może chodzić o nacisk PiS-owskiej władzy”. Gdzie, jakimi narzędziami, już się nie dowiadujemy.

Najbardziej pojawia się sugestia, że cała sprawa może też mieć tło pokoleniowe. Bartosz Hojka, który objął szefostwo spółki Agora w 2014 r., to rocznik 1974. Jest o 28 lat młodszy od Adama Michnika. W 1989 r., gdy Michnik został szefem „Gazety”, Hojka miał 15 lat. Wiele wskazuje, że zdecydował się na ostre posunięcie i zwolnił bliskiego współpracownika Michnika, Jerzego Wójcika, mając wsparcie ze strony głównego zaplecza finansowego Agory, czyli spółek emerytalnych z USA. Można się domyślić, że inwestorom zza oceanu „nie jest wszystko jedno”, czy Agora ma zyski czy nie. Jest to determinacja silniejsza od autorytetu niedysydyskiej legendy polskiej opozycji.

Każdy opromieniony dawnymi sukcesami mistrz trafia prędzej czy później na młodszego i sprawniejszego rywala. I każdemu ze starych mistrzów grozi przecenienie swojej siły. I to jest nauka, która nasuwa się przy obserwowaniu wielkiej wojny domowej przy Czerskiej.



Polska odsamotniona?



Rafał A. Ziemkiewicz

Premier i prezydent dawno nie spędzali tak wiele czasu na zagranicznych podróżach. Czy za podwyższoną aktywnością dyplomatyczną kryje się jakiś plan? Czy to tylko przypadkowe spiętrzenie z dawna zaplanowanych spotkań i doraźne poszukiwanie sojuszników w obliczu konfliktu z Białorusią i Rosją?

W sześć dni odwiedziłem 11 krajów, rozmawiając z kilkunastoma czołowymi przywódcami i politykami UE. Rząd Prawa i Sprawiedliwości robi wszystko, aby zapewnić bezpieczeństwo naszej wschodniej granicy, Polsce i całej Unii Europejskiej – pochwalił się premier w mediach społecznościowych. Na liście odwiedzonych stolic dominują kraje środkowoeuropejskie, ale są też Niemcy, Francja i Wielka Brytania. W tym samym czasie prezydent brał udział w naradach głów państw grupy V4 w Buda-

peszcie, przy okazji odwiedzając Słowację, Czarnogórę i Macedonię Północną, pojawił się też, kilka dni przed premierem, z „roboczą” wizytą u swego odpowiednika w Paryżu. A jeśli plany się nie zmieniły, to w chwili, gdy Państwo czytają te słowa, prezydent Duda jest w Katarze.

Jeżeli prawdziwe są informacje się tego numeru „Do Rzeczy” politycy zagraniczni, choć nie tak wysocy rangą, pojawili się z kolei w Warszawie, żeby ogłosić powstanie nowej, prawicowej frakcji w Parlamencie Europejskim. Mają w niej uczestniczyć, oprócz PiS i Fideszu, włoska Liga Północna, francuski Front Narodowy, niemiecka AfD, austriacka FPÖ oraz hiszpański VOX. Jeśli ten sojusz partii odrzuconych i potępianych przez obecny europejski establishment, o którym spekulowano od dawna, dojdzie – pomimo sprzeczności pomiędzy nimi – do skutku, to powstała frakcja będzie trzecią co do wielkości. Oczywiście poza rozdziałem parlamentarnych funduszy i funkcji (a i tu można się spodziewać ze strony dominujących frakcji obstrukcji) niewiele to w bieżącej arytmetyce europarlamentu zmieni – jedynymi w głosowaniach chadecy, socjaldemokraci i liberałowie nadal będą seryjnie przegłosowywać ideologiczne rezolucje, często do tego stopnia niechlujne, że odnoszące się z powagą do oczywistych fake newsów. Ale wiadomo,

że połączenie sił eurosceptyków nie jest pomysłem na teraz, tylko na przyszłość.

WOJNA IDEOLOGICZNA

Podczas spotkania w Budapeszcie prezydent Duda, zapytany o konflikt z Komisją Europejską, zdefiniował go jako „wojnę ideologiczną”. O tym, że wstrzymanie funduszy z KPO nie ma związku nie tylko z żadnymi konkretnymi zastrzeżeniami do polskiego Planu Odbudowy, lecz także z oficjalnie deklarowaną troską o praworządność, ale jest próbą obalenia z zewnątrz polskiego rządu, tak jak udało się to kiedyś w wypadku Włoch, mówią już wprost nie tylko politycy Solidarnej Polski, lecz także coraz wyżsi rangą politycy PiS – w tym współprzewodniczący dotychczasowej europarlamentarnej frakcji PiS, Ryszard Legutko. Ostatnie posunięcie Komisji – dziwny, nieprzewidywany w procedurach list formułujący rozmaite zarzuty i warunki, ewidentnie służący przedłużaniu biegu sprawy – uprawdopodobniło doniesienia mediów niemieckich, że decyzja o – jak ujęła to swego czasu Katarina Barley – „załodzeniu” rządów Polski i Węgier już zapadła i funduszy ze wspólnego europejskiego długu nie otrzymamy.

Warto przypomnieć, że operacja włoska (wymiana Berlusconi na całkowicie powolnego wobec eurokracji Maria Montiego) powiodła się dzięki operacji finansowej, w której główną rolę odegrały

Prezydent Andrzej Duda na spotkaniu
głów państw krajów Grupy Wyszehradzkiej
w Budapeszcie FOT. ELIZA RADZIKOWSKA-BIAŁOBRZEWSKA/KPRP

Thatcher zasady „dopóki nie rozwiążemy problemu, dopóty wetujemy wszystko” oraz wyjście z układu NGUE, tworzącego mechanizm wspólnego europejskiego długu – z którego, jak się okazuje, w przeciwnym razie nic nie otrzymamy, ale będziemy musieli go kiedyś spłacać.

Oczywiście podejmując takie działania, trzeba znaleźć sojuszników – i mamy nadzieję, że zagraniczna aktywność premiera i prezydenta służy bardziej temu niż pozyskiwanie wsparcia dla naszych starań o obronę granicy, z natury przecież raczej symbolicznego.

Do wszystkich niepokojących znaków, które w polityce europejskiej przyniósł koniec roku, dodać trzeba jeszcze powstanie nowego rządu w Niemczech – rządu, w którego umowie koalicyjnej znalazły się bardzo jasno sformułowane zapowiedzi wsparcia procesu budowania federalnego, unijnego oberpaństwa kosztem suwerennych jeszcze w tej chwili kompetencji państw członkowskich oraz zwiększenia nacisku na inne kraje europejskie, aby podporządkowywały się korzystnym dla Niemiec restrykcjom gospodarczym „ratującym klimat”. Jedno i drugie, po oczyszczeniu z propagandowego lukru i eufemizmów, oznacza tyle, że niemiecka pokuta uznana została za zakończoną i kraj ten wraca już zupełnie otwarcie do ambicji zdominowania Europy – wedle starej koncepcji Bismarcka, w oparciu o sojusz z Rosją.

PRZECIW NIEMIECKIEJ HEGEMONII

To nie może podobać się zarówno w krajach naszego regionu, jak i we Francji, spychanej do roli junior partnera Niemiec. Z naszego punktu widzenia szczególnie znaczenie ma tutaj francuskie przebudzenie, dotyczące energetyki jądrowej. Polityka niemiecka, wykonywana rękami eurokracji i „pożytecznych idiotów” przejętych „katastrofą klimatyczną”, jako jeden z głównych celów postawiła sobie bowiem całkowite wyeliminowanie z Europy energetyki jądrowej – mimo iż jest ona jedynym sposobem pozyskiwania energii bez spalania, całkowicie bez emisji CO₂, oraz jedyną możliwością uzyskiwania masowo „zielonego” wodoru. Nie ma jednak możliwości, by Niemcy stały się kiedykolwiek europejskim hegemonem, kontrolującym dopływ do Europy importowanego paliwa dla siłowni nuklearnych, natomiast „ratowanie planety” rosyjskim gazem umożliwia im sięgnięcie po pozycję

dominującego na kontynencie mocarstwa. Nawiasem mówiąc, nigdzie chyba indziej cynizm i hipokryzja „walki z globalnym ociepleniem” nie ujawniają się z taką siłą jak w tej właśnie sprawie.

W każdym razie prezydent Macron, który latami biernie przyglądał się zamieraniu francuskiej energetyki jądrowej i rugowaniu atomu z „ekologicznych” źródeł pozyskiwania energii w europejskich regulacjach, zmuszony był zmienić swą politykę – choćby dlatego, że wszyscy jego konkurenci w zbliżających się wyborach prezydenckich postawili tę sprawę bardzo wysoko. Większość z nich składa również bardzo mocne deklaracje propolskie. Nie wynika to, nie mamy złudzeń, z jakiegoś przyływu miłości do Polski i Polaków nad Sekwaną, ale ze świadomości, że trzeba się przeciwstawić niemieckiej hegemonii, i Polska jest w tym dla podupadającej Francji ważnym sojusznikiem. Co więcej, świadomości, że Niemcy czerpią siłę z sojuszu z Putinem, mimo całej jego nieobliczalności, zaczyna nieco tępić bezrefleksyjną prorosyjskość potencjalnych eurosceptycznych koalicjantów PiS w polityce unijnej, jedną z głównych przeszkód w nawiązywanej współpracy.

Pojawia się więc polityczna koniunktura, którą przy umiejętnej grze Polska może wykorzystać. Czy aktywność premiera i prezydenta RP służy takiej właśnie grze? Na razie zbyt mało wiemy o szczegółach rozmów, zwłaszcza tych kulisowych, by mieć taką pewność. Polskie media, zajęte rytualną młócką anti-PiS vs. PiS, jeśli się tą aktywnością zainteresowały, to głównie w kontekście polityki wewnętrznej. Sama w sobie zaprzeczyła ona bowiem jednej z głównych propagandowych tez liberalno-lewicowej opozycji, że „z rządem PiS nikt nie chce w Europie rozmawiać”, podczas gdy jakoby Donald Tusk czy Rafał Trzaskowski mogą o dowolnej porze zadzwonić do każdego ze światowych przywódców i telefon zostanie odebrany. Tyle że poza załatwieniem prezydentowi Warszawy zdalnego wysłuchania przez jedną z podkomisji Kongresu USA na razie w żaden sposób tej teorii potwierdzić się nie udało – na tle dyplomatycznej ofensywy PiS i własnej fanfaronady opozycja wypada tu słabo.

Ale miejmy nadzieję, że tym razem polityka zagraniczna nie zostanie znowu, jak już bywało, zredukowana do roli dostarczycielki argumentów dla zmagania polityki krajowej.

instytucje unijne – niektóre szczegóły tego spisku ujawnił w swej książce, omówionej także w polskich mediach, ówczesny sekretarz stanu USA, Timothy Geithner. Można domniemywać, że obecne kłopoty Polski z inflacją, w połączeniu z kosztownymi dla naszego państwa zmaganiem na wschodniej granicy, odebrano w Brukseli jako niepowtarzalną okazję do powtórzenia w pewnym stopniu tamtego sukcesu. Stąd, wbrew niedawno jeszcze artykułowanym oczekiwaniom rządzących, wzmaganie nacisku na broniącą „wschodniej granicy Unii” Polskę i odmowa jakiegokolwiek wsparcia finansowego dla naszych działań, wyjąwszy ewentualne wspomaganie „akcji humanitarnych” na rzecz nasyłanych przez wschodnie reżimy migrantów. Pojawiły się już nawet głosy, że polityka europejskich instytucji finansowych obliczona jest na celowe spotęgowanie impulsów inflacyjnych w Europie Środkowej: w świetle wspomnień Geithnera nie można ich z góry odrzucać jako „teorii spiskowych”.

Cytowane wyżej wypowiedzi prezydenta i innych polityków PiS dają jednak asumpt do ostrożnego optymizmu. Wygląda na to, że w sferach władzy zdano sobie sprawę, że starcie z eurokratami jest nieuchronne i trzeba przygotować się do odpowiedzi na brutalny atak w bardziej niż dotąd zdecydowany sposób. Na stole jest kilka opcji: najsilniejsze z nich to skopowanie zastosowanej kiedyś przez Margaret

Polityka

konienia trojańskiego



Sławomir Cenckiewicz

Szukający artykuł Sergiusza Najara nazywający polskie granice tylko „liniami na mapie” jest dowodem na to, że służby specjalne wciąż niedostatecznie dostrzegają zagrożenie ze strony ludzi, których kariery zaczynały się w PRL

Polskie granice nie są świętością, lecz liniami na mapie” – przeczytałem 17 listopada na łamach „Rzeczpospolitej”. Szukając autora tych dość szokujących słów, które jakby dla podkreślenia zostały w dodatku wybite przez redakcję w leadzie, okazało się, że skreślił je Sergiusz Najar – były polski wiceminister spraw zagranicznych z lat 2003–2005.

Główną myśl autora krótkiego tekstu zatytułowanego „Nacjonalistyczne trąby”, który w zadziwiający sposób przeszedł bez echa w debacie publicznej, streszczono w dwóch zdaniach, podkreślając przy tym jego związki z naszą dyplomacją: „Polskie granice nie są świętością, lecz liniami na mapie. I nie skutkiem krwi przelanej przez pokolenia Polaków, lecz porozumienia potęg zwycięskich w drugiej wojnie światowej – twierdzi były wiceminister spraw zagranicznych”.

PO TRZYKROĆ... ZDRADA!

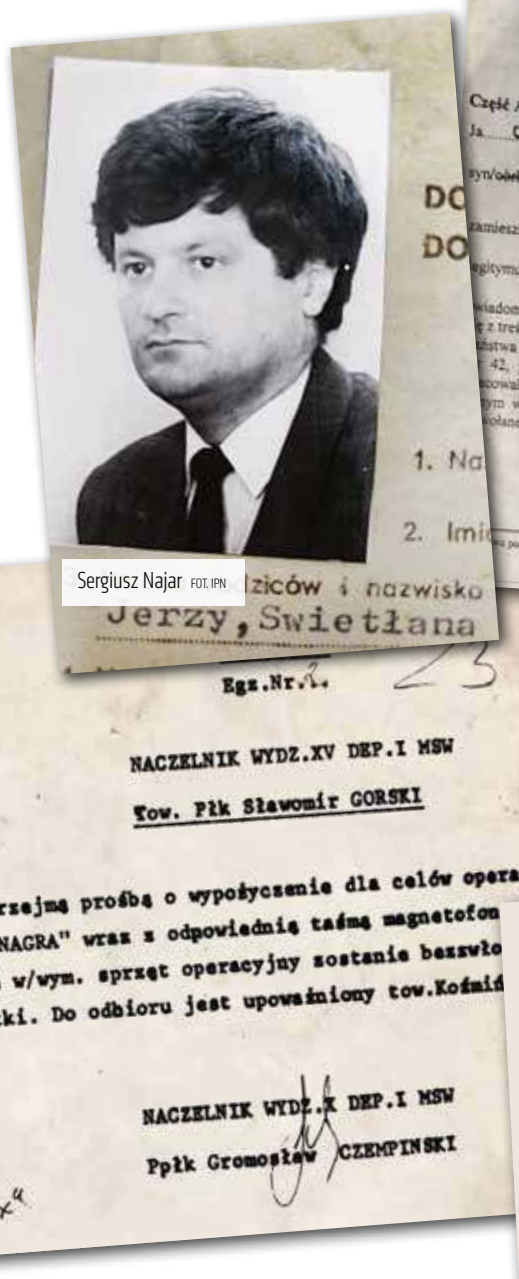
Po pierwsze, trzeba przyznać, że w tym dwuzdaniowym podsumowaniu-leadzie zawiera się wszystko, co chciał wyrazić Sergiusz Najar: granice Polski – w całości – są jedynie „liniami na

mapie”, więc jako takie „nie są świętością”, a w domyśle mają raczej charakter umowy i tymczasowy. Po drugie, nasze granice są jedynie łaską Sowietów i ich brytyjsko-amerykańskich sojuszników, którzy wspólnie w Teheranie, Jałcie i Poczdamie umówili się co do kształtu nowej Polski. Tym bardziej zatem nie mogą być nasze współczesne granice traktowane jako „świętość, za którą przelewały krew pokolenia Polaków”, jak mówił ostatnio premier Mateusz Morawiecki, bo jest to – jak pisze Najar – tylko świadectwem nieuzasadnionego historycznie „dmuchania w nacjonalistyczne trąby”.

Po trzecie wreszcie, mamy prawo publicznie, politycznie i czynnie (zbrojnie) bronić jedynie tych granic, na których

ostateczny kształt mieliśmy bezpośredni wpływ, wykuwając zbrojnie ich linie. Za takową jednakże uznaje Najar ostatecznie jedynie granicę zachodnią ze względu na udział Ludowego Wojska Polskiego (1. i 2. Armia WP) w wojennym marszu Armii Sowieckiej na Berlin. Całość tego osobliwego wywodu wieńczy apel byłego wiceszefa polskiej dyplomacji, byśmy traktowali nasze granice państwowe „jak linie na mapie, aby nam nie przeszkadzały”... w rozwoju, pracy, handlu, przemieszczaniu się...

Należy od razu podkreślić: napisać o Polsce w ogóle, a dziś tym bardziej, że w tej specyficznej geopolitycznej strefie zgniotu i galimatiasie narodowo-kulturowym na płycie bałtycko-czarnomorskiej mamy prawo bronić jedynie granic przez nas samych ustanowionych i wywalczo-



Dnia 30.08.2002

Oświadczenie
o pracy lub służbie w organach bezpieczeństwa państwa lub współpracy z nimi
w okresie od dnia 22 lipca 1944 r. do dnia 10 maja 1990 r.

SERGIUSZ NAJAR
(imię i nazwisko, nazwisko rodowe, inne nazwisko używane w latach 1944-1990)
urodzony/urodzona: 28.02.1919 MOSKWA
(data i miejsce urodzenia)

zamiennik: **UTERAWA**
(nazwa i adres)

świadoma odpowiedzialności za złożenie niezgodnego z prawdą oświadczenia, po zapoznaniu z ustawą z dnia 11 kwietnia 1997 r. o ujawnieniu pracy lub służby w organach bezpieczeństwa lub współpracy z nimi w latach 1944-1990 osób pełniących funkcje publiczne (Dz. U. z 1999 r. poz. 428, Nr 57, poz. 618, Nr 62, poz. 681 i Nr 63, poz. 701), oświadczam, że nie współpracowałem, nie pełniłem/pieczętnie pełniłem służby ani nie byłem współpracownikiem organów bezpieczeństwa państwa

Najar oświadczał nieprawdę na temat współpracy ze służbami bezpieczeństwa. FOT. IPN

nym naszym orężem, oznacza faktycznie odmówić Polsce prawa do obrony jakiejkolwiek granicy – zarówno historycznej, jak i współcześnie.

O NIEPODLEGŁOŚĆ I GRANICE

Wystarczy zauważyć, że całe nasze ostatnie 200-lecie zmagania w obro- nie niepodległości i walki

ności małego Księstwa Warszawskiego czy później połączonego z Rosją unią personalną Królestwa Polskiego zamyka- ły się w strukturze granicznej narzuconej nam kolejno przez Napoleona i mocar- stwa dobijające politycznego targu na kongresie wiedeńskim w 1815 r. Mało tego – nawet granice Polski odrodzonej w 1918 r., niezależnie od wysiłków po- wstańców śląskich i wielkopolskich czy wojny z Rosją bolszewicką i „buntu Że- ligowskiego”, nie były w całości efektem naszego militarnego wysiłku i zostały

w części również narzucone Polsce przez mocarstwa – czy to w rozstrzygnięciach traktatowych, czy w plebi- scytach i decyzjach Rady Ambasadorów. Nie oznacza to przecież, że powinniśmy uznać linię graniczną wy- tyczoną pokojowo (przy- kładowo międzywojenny dostęp Polski do morza) za jedynie „linię na mapie”, gdyż w samej istocie walki o nie- podległy byt Polski zawierają się także walka i obrona jej granic, gdziekolwiek i kiedy-

Nacjonalistyczne trąby



SERGIUSZ NAJAR

Polskie granice nie są świętością, lecz liniami na mapie.

I nie skutkiem krwi przelanej przez pokolenia Polaków,

rozumienia potęg zwycięskich w II wojnie światowej
zi były wiceminister spraw zagranicznych.

Fragment artykułu Najara
w „Rzeczpospolitej” FOT. ARCHIWUM AUTORA

o niepodległość wiąże się z narzucaniem Polsce przez mocarstwa ościenne i te niegraniczące z nami bez- pośrednio takiego kształtu granic, które najczęściej nie tylko nie spełniały naszych aspiracji, lecz także nie były jakąkolwiek realizacją poglądów polskich elit politycznych.

Jeśli spojrzymy na kur- czące się kontury granic i terytorium Rzeczypo- spolitej Obojga Narodów po kolejnych aktach rozbiorowych (1772, 1793 i 1795) przeprowa- dzonych wspólnie przez Austrię, Prusy i Rosję, to bez trudu zauważymy, że każda kolejna wojna w obronie niepodległości i całości Rzeczypospolitej toczyła się o istnienie niepodległego państwa, choćby w narzucanych przez zaborców grani- cach. Również odrodze- nie się i obrona formuły ograniczonej suweren-

kolwiek były one prowadzone.

Polska współczesna jest – co oczywiste – dziedzictwem Polski Ludowej, a więc w aspekcie terytorialnym jest owocem polityki Stalina, który metodą faktów dokonanych za sprawą Armii Sowieckiej w latach 1943–1945 narzucił swoją wizję graniczną obrzeży imperium (w tym kształtu Polski Ludowej) Amerykanom i Brytyjczykom w Teheranie, Jałcie i Pocz- damie. Braterstwo broni armii Berlinga/ Żymierskiego z Sowietami w „wyzwala- niu” (a raczej rewindykacji) „ziem zachod- nych” nie ma tu nic do rzeczy.

PERSPEKTYWICZNY STALIN

W kontekście przywołanej przez Ser- giusza Najara argumentacji warto jednak zauważyć, że z operacyjno-perspekty- wicznych i kombinacyjno-historycznych powodów (nie do końca zresztą jasnych) Stalin w 1944 r. podjął strategiczną decyzję: etnicznie polskie większe miasta między Bugiem a Wartą wyzwala spod okupacji niemieckiej niemal samodzielnie Armia Sowiecka (Fronty Białoruskie i Ukraińskie), co nie oznacza, że jednostki I i II Armii WP nie brały udziału w po- szczególnych walkach, a w przypadku ziem i miast należących w 1939 r. do Nie- miec (w tym tych, które staną się tzw.

37

NOTATKA
personalna kontaktu operacyjnego

1. Nazwisko i imię: **NAJAR Sergiusz**
2. Imięna rodziców: **Jawny, Rodziców**
3. Data i miejsce urodzenia: **28.02.1919 Moskwa**
4. Pseudonim: **A.B.B.I.H.X.X** krypt. i nr. sprawy: **39335**
5. Miejsce zamieszkania: **Warszawa ul. Raymonta 21 m 319 w Warszawie**
6. Miejsce pracy i zajmowane stanowisko: **Wiceprezident**
7. Wykształcenie: **Wyższe**
8. Zależność personalna: **Wiceprezident**
9. Wykaz pracowników znajomych spraw: **Wiceprezident**
10. Adres najbliższej rodziny/osoby/rodzina: **Warszawa ul. Raymonta 21/319 tel. 355624**
11. Sprawdzanie i stopień pewności: **Wiceprezident**
12. Notatka personalna KO „Sfinx”

FOT. IPN

rekompensatą za utratę przez Polskę ziem wschodnich) znaczenie, aktywność bojowa oraz wysiłek „wyzwoleńczy” jednostek I i II Armii WP zostały znacznie zwiększone.

Czytając artykuł „Nacjonalistyczne trąby”, pomyślałem sobie, że po 77 latach, które minęły od momentu, kiedy sowiecka armia znalazła się w obecnych granicach Polski, Najar retorycznie skonsumował decyzję Stalina, zauważając, że przecież jedynie „zachodnia granica była okupiona krwią żołnierzy I i II Armii Wojska Polskiego, zdobywających Berlin i terytorium przyszłej NRD”, więc ta wschodnia, jako ta, o którą Polacy nie prowadzili „żadnej krwawej wojny z sąsiadami ze Wschodu”, jest tylko mało znacząca „linia na mapie” darowana z łaski Stalina i jego zachodnich sojuszników. Pomyślałem też o tym, że trudno byłoby pokusić się o lepszą egzemplifikację i autoryzację intencji Stalina, skoro już nie tylko Putin woła na cały świat, że „ZSRS wyzwolił Polskę!”, lecz także przypomina o nich były – ale jednak – wiceminister spraw zagranicznych i wiceminister infrastruktury dwóch rządów Polski niepodległej.

„SFINX”

Tak odważne, a nawet do pewnego stopnia szokujące opinie wygłaszane przez byłego wiceszefa polskiej dyplomacji w czasie apogeum białorusko-rosyjskiej prowokacji wymierzonej w Polskę musiały wymusić pytanie: Kim jest Sergiusz Najar?

Pytanie okazało się zasadne o tyle, że jego internetowy życiorys w Wikipedii jest tak zredagowany, by ukryć w nim to, co najważniejsze. Dowiadujemy się, że Najar (rocznik 1959) przyszedł na świat w Moskwie, ale nie wiemy z biogramu, że jego matka Swietłana była rodowitą Rosjanką (o polskim nazwisku Leszczyńska) i obywatelką Związku Sowieckiego, która w 1958 r. wyszła w Moskwie za studiującego tam Jerzego Najara (jego drugą żoną została później Nadjeżdża Carkowa, również mieszkanka Moskwy i obywatelka ZSRS). Z kolei drugim mężem Swietłany został Henryk Jędrzejewski, związany przez lata z centralami handlu zagranicznego. Całe wymienione grono osób na różnych etapach swoich zawodowych karier znalazło się w czynnym zainteresowaniu tajnych służb PRL.

Sergiusz Najar całą swoją karierę związał z ruchem komunistycznym, bo

już na studiach na Wydziale Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego wstąpił do Zrzeszenia Studentów Polskich i PZPR (mając 18 lat!), a będąc na piątym roku studiów, został członkiem egzekutywy Podstawowej Organizacji Partyjnej. Piął się w strukturach zrzeszenia i partii, aby zostać etatowym pracownikiem Wy-

się na Tomka w sprawie odkurzacza”), przekazano tajny numer telefonu i fikcyjne nazwisko, pod którym występował oficer prowadzący „Sfinxa”. Nie wchodząc w szczegóły relacji Najara z wywiadem PRL, warto zwrócić uwagę na jeden istotny szczegół – otóż w czasie rozmów werbunkowych przeprowadzonych

Po 1989 r. Najar pracował m.in. w PKOl i Banku Handlowym. Był też potem w resorcie infrastruktury, a następnie w MSZ

działu Zagranicznego ZSP, dzięki czemu z kolei (i bieglej znajomości czterech języków obcych) oddelegowano go do pracy w Międzynarodowym Związku Studentów w Pradze.

Międzynarodowe kontakty Najara i to, że został wiceprzewodniczącym MZS (który miał status konsultacyjny przy UNESCO i Radzie Gospodarczo-Społecznej ONZ), przez co podróżował po krajach Zachodu (zwłaszcza do Francji), w 1987 r. zwróciły na niego uwagę kontrwywiadu zagranicznego PRL (zastępcą, a później naczelnikiem Wydziału X Departamentu I MSW był wówczas ppłk Gromosław Czempiński). Zainteresowanie operacyjne (Najar „przechodzi” w różnych sprawach prowadzonych przez wywiad na poziomie rezydentury wywiadowczej w Paryżu) i nieformalizowany dialog ostatecznie skonsumowany został w marcu 1989 r., kiedy podczas dłuższej rozmowy z ppor. Tomaszem Koźmińskim (kolega Najara ze studiów) z Wydziału X Departamentu I MSW Najar miał wyrazić zgodę na współpracę z SB, kierując się „pobudkami ideowymi i patriotycznymi”. W ten sposób został zaewidencjonowany (pod numerem 19335) w zasobach wywiadu PRL jako kontakt operacyjny (najwyższa kategoria współpracownika w wywiadzie przeznaczona dla obywatela PRL) o kryptonimie Sfinx (kryptonim ustalono z nim bezpośrednio), a nadzorcami jego działalności zostali m.in. Sławomir Petlicki i Gromosław Czempiński z Wydziału X Departamentu I MSW.

NAJAR I „PRZYJACIELE RADZIECCY”

W czasie pobytów zagranicznych Sergiusz Najar łącznikowany był przez centralę wywiadu. Ustalono „legendę” do kontaktów telefonicznych („powołanie

w Warszawie w dniach 7 i 18 marca 1989 r. Najar wyjawiał oficerowi Departamentu I swoje kontakty z Amerykanami: Johnem Ryanem, Arthurem Gillette’em i Johnem Branswickiem z UNESCO. Najciekawszy z tego grona wydawał się Ryan, który roztoczył przed Najarem wizję zatrudnienia w UNESCO, ale przez to, że wypytywał o znanych „Sfinxowi” towarzyszy partyjnych – Aleksandra Kwaśniewskiego i Stanisława Cioska – zyskał w jego oczach opinię człowieka powiązanego z wywiadem USA. Naprowadzenie Najara potraktowano w Centrali bardzo poważnie, tym bardziej że wymienione osoby znalazły się już wcześniej w zainteresowaniu rezydentury wywiadowczej w Paryżu (kryptonim Sekwana) i już 15 kwietnia 1989 r. kierownictwo Wydziału X Departamentu I MSW skierowało do „przyjaciół radzieckich” z KGB zapytanie o grono sześciu osób z sekretariatu UNESCO, z którymi wszedł w kontakt „Sfinx”. Miesiąc później ppłk Czempiński otrzymał z KGB dwustronicową informację o Arthurze Gilletcie (pozostałe osoby nie przechodziły w kartotekach KGB) jako „chytrym człowieku o reakcyjnych poglądach”, który w czasie pracy w centrali UNESCO utrzymuje regularne „kontakty z ustalonymi pracownikami CIA”. Zarówno wywiad, jak i „PR” („przyjaciele radzieccy”) uznali sprawę za rozwojową... ale w tym czasie formalnie upadł w Polsce komunizm. Losy sprawy Najara pozostają dla historyków zakryte (nawet postanowienie o przekazaniu teczki Kontaktu Operacyjnego „Sfinx” do archiwum wywiadu jest częściowo zanonimizowane i nie wiemy nawet, kiedy podjęto w tej kwestii stosowne decyzje).

Po przełomie 1989 r. Sergiusz Najar pracował w instytucjach charakteryzujących się sporym nasyceniem ludźmi komunistycznych i postkomunistycznych

służb specjalnych, żeby wymienić jedynie Polski Komitet Olimpijski i Bank Handlowy. Później był zarząd Nafty Polskiej, Citibank (który przejął Bank Handlowy po jego prywatyzacji) i Fundacja Bankowa im. Leopolda Kronenberga (również powiązana z Citibankiem i środowiskiem byłego Banku Handlowego), a jeszcze później Bank Ochrony Środowiska, BRE Bank, działalność w Stowarzyszeniu Ordynacka i kandydowanie z list SLD-UP do Parlamentu Europejskiego.

W rządzie Millera Najara został podsekretarzem stanu w Ministerstwie Infrastruktury, a następnie – już w rządzie Belki – wiceministrem spraw zagranicznych. 30 sierpnia 2002 r. Sergiusz Najara złożył oświadczenie lustracyjne, deklarując pod odpowiedzialnością karną, że „nie pracował, nie pełnił służby ani nie był świadomym współpracownikiem organów bezpieczeństwa państwa”. W świetle dostępnych dziś materiałów było to oczywiście kłamstwo, które publicznie nigdy nie zostało skorygowane.

MODEL

Szeroko rozumiana sprawa Sergiusza Najara – zarówno w wymiarze histo-

rycznym, jak i bieżącym (jego skandalicznego artykułu w „Rzeczpospolitej”) – pozwala nam sformułować kilka istotnych wniosków składających się na pewien model zachowań ludzi dawnego reżimu w sytuacji współczesnego zagrożenia państwa. Nie ulega wątpliwości, że stanowią oni istotne zagrożenie operacyjne i narracyjne w warunkach wojny hybrydowej:

- charakteryzują się nielojalnością wobec państwa w najistotniejszych aspektach bezpieczeństwa (nawet tak fundamentalnych jak obrona granicy, terytorium i suwerenności decyzyjnej władz RP);

- odwołują się do sowiecko-rosyjskiej argumentacji historycznej;

- dla upublicznienia swoich niebezpiecznych i szkodliwych (w gruncie rzeczy rosyjskich) dla Polski opinii potrafią wykorzystać głównonurtowe media (takie jak „Rzeczpospolita”) i „pułdła rezonansowe”, odwołując się przy tym do autorytetu rządów RP, w których zasiadali;

- ukrywają swoje afiliacje, powiązania ze służbami specjalnymi PRL i działania prowadzone pod nadzorem lub w kon-

sultacji z sowieckimi służbami wywiadowczymi;

- ich rosyjskie pochodzenie, związki rodzinne z obywatelami współczesnej Rosji (pozostaje otwarte pytanie o kwestię osobistego obywatelstwa Federacji Rosyjskiej) mogą stanowić ważny czynnik zagrożenia dla Polski w sytuacjach kryzysowych.

W tym sensie publiczny „wyskok” Sergiusza Najara jest egzemplifikacją szerszego zjawiska, które powinno stanowić istotne wyzwanie kontrwywiadowcze dla polskich służb specjalnych, które – jak się wydaje – wciąż w niedostatecznym zakresie dostrzegają związek między z pozoru dawną przeszłością a teraźniejszością zagrożeń ze strony ludzi, których kariery zaczynały się w PRL. Ignorowanie wiedzy ukrytej w archiwach IPN, Wojskowego Biura Historycznego czy innych archiwach państwowych osłabia funkcję kontrwywiadowczą państwa i prowadzić może do ślepoty operacyjnej funkcjonariuszy i ostatecznej abdykacji kontrwywiadu.

„Konie trojańskie mają swoich rycerzy gdzieś” – napisał kiedyś Stanisław Jerzy Lec. No właśnie... © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Tej zimy same witaminy i minerały mogą nie wystarczyć.

Czy warto wzmocnić odporność?

Dobra odporność to nie tylko warunek bezpiecznego dotrwania do samego szczepienia. Osłabiony układ immunologiczny może być przyczyną, że nie rozwinię się pełna odporność poszczepienna. Teraz, prawie każdy reklamowany produkt jest rekomendowany na odporność. Większość z nich to preparaty witaminowe i dostarczające minerały, co jest ważne, ale odporności nie pobudza.

A który produkt tak naprawdę wzmacnia odporność? Warto sięgnąć po suplement diety Immulina +D₃, która dostarcza witaminy C i D₃ oraz mikroelementy cynk i selen, niezbędne dla dobrego działania układu odporności.

Immulina przede wszystkim dostarcza związki, które aktywują i stymulują układ odporności, takie jak specjalny immunoaktywny kompleks lipopolisacharydowy ze spiruliny oraz immunoaktywny beta-glukan z drożdży. Przy czym ich działanie jest tym skuteczniejsze im słabsza jest odporność. Skuteczność Immuliny została potwierdzona badaniami w renomowanych instytucjach medycznych USA i Europy.

Phytomedica Polska, tel. 22 487 14 44, info@phytomedica.pl, <https://immulina.pl>, <http://odpornosc.info.pl>

Promocja

Teraz na wszystkie produkty Immulina +D₃ udzielamy 15 % świątecznego rabatu. Zadzwoń 22 651 75 40 lub wyślij e-mail info@phytomedica.pl i zamów!



Immulina +D₃ 60 kaps. cena 54,00 **46,00**

Immulina +D₃ syrop cena 24,00 **20,00**

Do ceny należy doliczyć 10 zł koszt przesyłki.

Przystanek Polska



FOT. LEONID SICHIGLOV/BELTA/AP/PEST NEWS



Maciej Pieczyński

Według informacji służb granica polsko-białoruska jest w 95 proc. szczelna. Coraz mniej migrantów dociera do Niemiec – a to ten kraj jest ich celem

Germany! Germany! – skandowali zdesperowani migranci, napierając na umocnienia na granicy Polski z Białorusią. Od samego początku było jasne, że to właśnie Niemcy były najważniejszym celem bliskowschodnich gości Alaksandra Łukaszenki. Części z nich udało się ten cel osiągnąć. Jak pokazują statystyki niemieckiej policji, w tym roku z Polski do Niemiec przedostało się już 10 648 nielegalnych migrantów, którzy wcześniej przebywali na terytorium Białorusi. Tylko w listopadzie takich wjazdów odnotowano 2807.

– Rzeczywiście, na teren Niemiec przedostają się osoby, które wcześniej

przebywały na Białorusi. Jednak część tych osób dotarła tam przez Litwę, która jest granicą wewnętrzną UE, więc nie prowadzimy tam kontroli – mówi por. Anna Michalska, rzecznik prasowy Straży Granicznej. – Jeszcze miesiąc temu niemiecka policja przy granicy z Polską zatrzymywała tygodniowo tysiąc osób przybywających z różnych kierunków: nie tylko z Białorusi przez Polskę czy przez Litwę i Polskę, lecz także z południa, szlakiem bałkańskim przez Czechy i Słowację. Obecnie ta liczba spada o połowę. Jedyną zmienną to zwiększenie szczelności granicy polsko-białoruskiej, czego potwierdzeniem są coraz mniej liczne próby jej przekraczania przez pojedyncze osoby, ale jest coraz więcej prób siłowego forsowania granicy przez duże grupy osób – dodaje.

38 TYS. PRÓB PRZEDARCIA

Każdego dnia polscy funkcjonariusze udaremniają setki prób nielegalnego przekroczenia polskiej granicy. Od początku kryzysu do listopada doszło do ponad 38 tys. prób nielegalnego przedostania się na teren Polski. Według szacunków Straży Granicznej obecnie

spośród migrantów próbujących się przedrzeć przez granicę polsko-białoruską udaje się to ok. 5 proc. z nich, a odsetek ten spada. Dlaczego wciąż tych kilka procent przechodzi? – Trzeba pamiętać, że migrantom pomagają białoruskie służby. Tak jak my doskonale znamy ich słabe punkty, tak samo i one świetnie znają naszą granicę. Za pomocą sprzętu noktowizyjnego czy termowizyjnego obserwują sytuację i wysyłają migrantów tam, gdzie może udać się im przejść – tłumaczy por. Michalska.

– Granica polsko-białoruska jest oceniana jako jeden z najszczelniejszych odcinków granicy zewnętrznej Unii Europejskiej. Oceniamy, że służbom udaje się zatrzymać 95 proc. prób wejścia na nasze terytorium – mówi „Do Rzeczy” rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych Stanisław Żaryn. Ci, którzy uniknęli spotkania z funkcjonariuszami SG i wydostali się poza strefę przygraniczną, nie tracą czasu i jadą dalej, przewożeni przez przemytników. Próbuja jak najszybciej dotrzeć do Niemiec. Tutaj zaczyna się rola policji, która otrzymała zadanie ścigania osób przewożących migrantów z Polski na Zachód.

– Nie wszyscy, którym uda się sforsować granicę, docierają do Niemiec. Polska policja, zarówno w strefie przygranicznej, jak i na terenie całego kraju, codziennie zatrzymuje nielegalnych migrantów oraz kierowców, którzy przemycają ich na Zachód. Funkcjonariusze przeprowadzili od początku operacji hybrydowej reżimu Łukaszenki przeciwko Polsce ponad 1 mln 50 tys. kontroli pojazdów na terenie kraju – informuje Żaryn.

Do teraz policja zatrzymała ponad 5227 osób nielegalnie przebywających na terenie Polski. Według informacji polskich służb liczba tych, którzy przebywają w Polsce w sposób utajony po nielegalnym przekroczeniu granicy, jest marginalna.

Straż Graniczna oczywiście nie dysponuje statystykami dotyczącymi osób, które uniknęły spotkania z jej funkcjonariuszami. Pewien obraz dają jednak liczby podawane przez polską i niemiecką policję. Tyle że również on jest niepełny. Nie sposób oszacować, ilu migrantów trafiło za Odrę przez Białoruś i Polskę, a ilu przez Litwę i Polskę. Łatwiej natomiast policzyć tych, którzy tymczasowo przebywają na terenie kraju w następstwie zatrzymania na granicy. Ci, których nie odesłano od razu do linii granicy, trafiają do ośrodków dla cudzoziemców, gdzie oczekują albo na deportację, albo na rozpatrzenie wniosku o azyl. Strzeżonych bądź – rzadziej – otwartych. Te strzeżone podlegają Straży Granicznej, otwartymi natomiast zarządza Urząd ds. Cudzoziemców. O tym, do jakiego typu ośrodka trafi nielegalny imigrant, decyduje sąd na wniosek SG, kierując się indywidualną sytuacją rodzinną, prawną czy zdrowotną. Czasem taka decyzja ulega zmianie. – Z różnych względów sąd może postanowić o przeniesieniu migranta z ośrodka strzeżonego do otwartego. Takich przypadków od 1 sierpnia tego roku było 2,7 tys. Z tej liczby ok. 600 osób opuściło otwarte ośrodki dla cudzoziemców, najprawdopodobniej uciekając na Zachód – mówi por. Anna Michalska.

Obecnie w strzeżonych ośrodkach przebywa 1837 cudzoziemców. Większość to nielegalni migranci, którzy dostali się do Polski z Białorusi. Około 57 proc. z nich złożyło wnioski o objęcie ochroną międzynarodową. Z kolei w otwartych ośrodkach przebywa obecnie 1,2 tys. cudzoziemców. Trudno powiedzieć, ilu spośród nich to przybysze z granicy

polsko-białoruskiej. Jeśli tacy trafiają do ośrodka otwartego, to zazwyczaj szybko uciekają. – Obecnie w ośrodkach dla cudzoziemców ubiegających się o udzielenie ochrony międzynarodowej przebywa 50 Irakijczyków – mówi „Do Rzeczy” Jakub Dudziak, rzecznik prasowy Urzędu ds. Cudzoziemców. – Podczas oczekiwania na decyzję w sprawie ochrony międzynarodowej cudzoziemcy mogą korzystać z pomocy socjalnej urzędu, w tym m.in. z zakwaterowania w ośrodkach. Prawo zabrania cudzoziemcom opuszczać kraj podczas procedury uchodźczej. Placówki urzędu mają charakter otwarty i mieszkańcy mogą je opuszczać. W ostatnim czasie pobyt obywateli Iraku w ośrodkach jest zazwyczaj krótkoterminowy – dodaje. Gdy przez dwa dni nie pojawiają się w ośrodku, można być w zasadzie niemal pewnym, że są już w drodze do Niemiec. Albo już za Odrą.

Ponadto część migrantów trafiła do domu otwartego Fundacji Dialog. Od 1 sierpnia Straż Graniczna skierowała tam 286 cudzoziemców. Choć wstępnie deklarowali oni pozostanie w Polsce, aż 258 z nich uciekło. SG wydała na ich utrzymanie 1,5 mln zł, z czego pół miliona to była sama pomoc medyczna, psychologiczna, w tym leczenie, również stomatologiczne. Trudno przypuszczać, by migranci zrezygnowali z darmowej opieki po to, by błąkać się nielegalnie po polskich lasach. Najpewniej więc są już w Niemczech lub innych krajach Europy Zachodniej.

POLSKA TO NIE ICH CEL

Wątpliwe, by przybysze z Iraku i innych krajów Bliskiego Wschodu zaczęli walczyć o pozostanie na terenie Polski z takim samym zaangażowaniem, z jakim walczyli o wpuszczenie na teren UE. Przeciwnie – jeśli użyją agresji, to raczej przeciwko tym, którzy chcieliby ich nad Wisłą zatrzymać.

– Fakt, że tylko niewiele ponad połowa zatrzymanych migrantów złożyła wniosek o azyl w Polsce, świadczy o tym, że nie jest to dla nich kraj docelowy. Zdecydowana większość woli jechać do Niemiec, co też było podłożem buntu w ośrodku strzeżonym w Wędrzynie. Cudzoziemcy – albo nie mogą się doczekać decyzji w sprawie azylu, albo obawiając się deportacji do Iraku – postanowili uciec i spróbować jeszcze raz dostać się na Zachód – mówi „Do Rzeczy” Stanisław Żaryn.

Migranci są tak zdesperowani, że uciekają nie tylko z ośrodków strzeżonych, lecz także nawet ze szpitali, do których zostali skierowani po zatrzymaniu przez SG. Wygląda więc na to, że ukrywają się przed funkcjonariuszami polskich służb ze strachu – nie, jak przekonuje część lewicowych mediów, przed odesłaniem do lasu, ale przed koniecznością złożenia wniosku o azyl w Polsce. Koniecznością, bo w przeciwnym razie może ich czekać powrót na Bliski Wschód i koniec marzeń o życiu w Niemczech. – Wielu migrantów podaje fałszywe dane. Okłamują funkcjonariuszy polskich służb. Na początku kryzysu zatrzymaliśmy grupę cudzoziemców, którzy zapewniali, że nie mają nic wspólnego z Rosją. Po przebadaniu ich życiorysów okazało się, że część z nich zanim trafiła na Białoruś, przez wiele lat przebywała właśnie w Rosji. To wszystko pokazuje, że ci ludzie nie chcą mieć nic wspólnego z Polską. Chcą tedy tylko jak najszybciej przejść – mówi Żaryn.

Nie ma więc ryzyka, że migranci masowo zapragną pozostać nad Wisłą. Nie oznacza to jednak, że nie stanowią oni problemu dla bezpieczeństwa państwa. Wiadomo, że wśród zatrzymanych zidentyfikowano kilka osób, które miały bądź mają powiązania z organizacjami terrorystycznymi. – Nie dysponujemy twardymi dowodami, które świadczyłyby, że wśród migrantów są dywersanci kierowani przez służby Federacji Rosyjskiej. Jednak kilka osób, które trafiły do Polski po pobycie na terenie Rosji, mogły mieć związki z bojówkami militarnymi na Bliskim Wschodzie albo z formacjami mundurowymi w różnych krajach Azji – przyznaje rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych.

Według Żaryna konflikt graniczny będzie się tlił, ale nie wygaśnie. Mniejsze niż dotychczas, kilkudziesięcioosobowe grupy migrantów będą wykorzystywane do akcji dywersyjnych na granicy. Alternatywnych kierunków ataku hybrydowego ze strony Łukaszenki na razie nie widać. W tej chwili nie ma informacji o tym, by służby białoruskie wykorzystywały szlak migracyjny przez Ukrainę do Polski. Nawet jeśli Łukaszenka postanowi ten szlak uruchomić, to Kijów nie będzie mu w tym pomagał. A najpewniej, nie chcąc wchodzić w konflikt z Zachodem, wszelkim próbom przepchnięcia migrantów przez swoje terytorium będzie przynajmniej starał się przeciwdziałać.

Medialne odstraszenie



Witold Repetowicz

W związku z sytuacją na granicy z Białorusią w mediach kurdyjskich pojawiły się negatywne komentarze dotyczące Polski. Długofalowo będą one miały jednak wyłącznie efekt odstrasżający w odniesieniu do kolejnych prób nielegalnej migracji tą trasą. Nie prowadzą one natomiast do rozpowszechniania się jakichś nastrojów antypolskich w tym regionie

Od samego początku kryzysu spowodowanego przez Łukaszenkę w Polsce pojawiały się kuriozalne wypowiedzi świadczące o totalnym niezrozumieniu nastrojów w Iraku, a także różnych zależności w świecie kurdyjskim. Niektórzy celebryci świata mediów i polityki twierdzili na przykład, że ludzie uciekają z Iraku, bo Polska ten kraj zdestabilizowała, biorąc udział w obaleniu Saddama Husajna w 2003 r. Tymczasem wiedzą podstawową w tym kontekście jest to, że największy exodus Kurdów z Iraku miał miejsce właśnie za Saddama, gdyż dopuszczał się on takich akcji jak ludobójcze gazowanie czy zrównywanie całych wiosek z ziemią w ramach operacji „Al-Anfal”. Innym absurdalnym przejawem ignorancji jest też historyzowanie, że zdecydowane działania Straży Granicznej zepsują wizerunek Polski na Bliskim Wschodzie i rozniecą tam nastroje antypolskie.

Oczywiście bardzo łatwo jest poprzec taką tezę, sięgając po materiały kurdyjskich mediów, przede wszystkim największej telewizji z irackiego Regionu

Kurdystanu, tj. Rudaw. Krytykę „niehumanitarnych działań” Polski można też znaleźć w Al-Dżazirze, mediach tureckich, a także w komentarzach kurdyjskich użytkowników mediów społecznościowych. Rudaw jednak był chyba najbardziej zaangażowany w oskarżanie polskich władz i Straży Granicznej o niehumanitarne działania i obwinianie Polski za śmierć kurdyjskich migrantów, którzy zresztą w materiałach tych byli nazywani „uchodźcami”. Szczególnie krytykowana była praktyka push-backów i w tym kontekście przywoływano opinie różnych organizacji, np. Human Rights Watch. Oskarżenia pod adresem Polski zawarte były również w wypowiedziach – emitowanych w tej telewizji – samych migrantów oraz rodzin tych, którzy zmarli na granicy.

MYŚLENIE ŻYCZENIOWE

Kluczem do zrozumienia tego przekazu jest fakt, że Rudaw należy do prezydenta Regionu Kurdystanu Neczirwana Barzaniego. Profesjonalizm tego medium, a zwłaszcza jego anglojęzycznej wersji, powoduje jego popularność w Europie, w tym w Polsce, jako źródła wiedzy o Iraku. Tyle że dla samych irackich

Kurdów, nie mówiąc już o innych mieszkańcach Iraku czy też Kurdach w innych częściach Kurdystanu, nie ma to znaczenia, a telewizja ta wielokrotnie była krytykowana za brak obiektywizmu.

Tymczasem media kurdyjskie, nastawione opozycyjnie do władz Regionu Kurdystanu w Iraku, atakują, w kontekście tego kryzysu, właśnie kurdyjskie władze. Na przykład serwis ANF, sympatyzujący z Partią Pracujących Kurdystanu (PKK) oraz władzami Rożawy (Kurdystanu syryjskiego), w ostatnim czasie poświęcił sytuacji na granicy polsko-białoruskiej raptem kilka materiałów, w których winą za sytuację obarczono rządzącą w Regionie Kurdystanu Partię Demokratyczną Kurdystanu (PDK) i dominującą tam rodzinę Barzanich. Na łamach tego medium pojawiła się również informacja o tym, że Polska użyła armatek wodnych i gazu przeciwko migrantom atakującym naszą granicę, ale utrzymana była ona raczej w formie informacyjnej, a nie opinii zawierającej jakąś krytykę. Zresztą wyjaśniono tam również, że była to reakcja naszych służb na obrzucenie polskich funkcjonariuszy kamieniami.



ANF, a także inne opozycyjne kurdyjskie media dalekie są od zachęcania Kurdów do migracji i to mimo że twierdzą one, że PDK doprowadziła Region Kurdystanu do ekonomicznej katastrofy i wprowadziła rządy terroru, co miałyby uzasadniać traktowanie migrantów na naszej granicy jako uchodźców. Z drugiej strony towarzyszy temu dramatyczny obraz sytuacji na granicy i brutalnych działań zarówno polskich, jak i białoruskich żołnierzy. Ale wątek polski nie jest tu rozwijany, bo nie ma to większego znaczenia dla ludzi, którzy mają znacznie większe problemy.

Niektóre środowiska w Polsce chciałyby, by było inaczej, ale jest to tylko ich myślenie życzeniowe. Przypomina to zresztą jakieś banialuki szerzone przez ignorantów na temat rzekomej niechęci do Polaków w irackiej Karbali w związku z walkami, które nasi żołnierze toczyli tam kilkanaście lat temu z bojownikami Muktdy as-Sadra, tzw. Armią Mahdiego. Gdy ludzie As-Sadra wygrali ostatnie wybory w tym kraju i zbiegło się to z kryzysem na naszej granicy z Białorusią, to niektórzy „połączyli sobie nitki” i wyszło im, że Irak dyszy nienawiścią i żąda zemsty wobec Polski. Tymczasem w percepcji ludzi As-Sadra walczyli oni cały czas z USA, a to, czy faktycznie byli to polscy żołnierze, pozostawało bez znaczenia i zupełnie nie istnieje w świadomości Irakijczyków.

ZMIENNA NARRACJA

Podobnie jest z postrzeganiem kryzysu na polsko-białoruskiej granicy przez media powiązane z PKK i Rożawą. Dla nich problemem jest ich konflikt z PDK oraz Turcja, a nie Polska. Dlatego w materiałach tych mediów, w tym ANF, podkreśla się udział Turcji w wywołaniu tego kryzysu

oraz jej współpracę z Rosją i Białorusią w procederze szantażowania Unii Europejskiej napływem migrantów. Kluczowe znaczenie ma jednak to, że liderzy kurdyjscy z Rożawy oraz Turcji, a także powiązane z nimi media oskarżają Turcję o stymulowanie kurdyjskiej migracji do Europy w celu zmiany proporcji demograficznych w regionie. Czyli mówiąc wprost: przeprowadzenia antykurdyjskiej czystki etnicznej. Taka narracja pojawiała się już w 2015 r. i przewija się również obecnie w takich mediach jak ANF. Na przykład w opublikowanej przez ANF rozmowie z przewodniczącym Kurdyjskiego Komitetu Narodowego (jednej z czołowych organizacji Kurdów w Syrii) Ahmetem Karamusem już w pierwszych słowach podkreślił on, że choć rozumie motywację Kurdów starających się dostać do Europy, to apeluje, by nie opuszczali Kurdystanu, gdyż służy to interesom wrogów Kurdów, którzy chcą dokonać „zmiany struktury demograficznej w Kurdystanie”. W dalszej części wywiadu Karamus wyraźnie podkreślił, że za wytworzoną sytuację winę ponoszą przede wszystkim Turcja i Białoruś, które, jak stwierdził, „być może mają w tym wspólny interes”.

Przekaz takich mediów jak Rudaw musi być zatem widziany w tym kontekście. Nie był on zresztą zbyt spójny. Najpierw pojawiła się absurdalna narracja, że do migracji zachęcają wrogowie PDK, żeby skompromitować tę partię w oczach partnerów na Zachodzie. Ponieważ nikt tego nie kupił, podjęto próbę odrzucenia zarzutów kurdyjskiej opozycji poprzez skanalizowanie niechęci na wroga zewnętrznego. W niektórych materiałach była to więc Białoruś, w innych Polska, a w jeszcze innych rząd w Bagdadzie. Przekaz ten nie ma więc żadnego znaczenia i jest strategią obrony władz Kurdystanu przed oskarżeniami ze strony ich kurdyjskich oponentów. Oczywiście ludzie, którzy stracili swoich bliskich na granicy lub też sami przeżyli tam ciężkie chwile, by potem wrócić z niczym do domu, skłonni są obwiniać o to Polskę, bo przecież nie będą obwiniać siebie o naiwność i głupotę. Takie głosy z całą pewnością nie wpłyną jednak na kształtowanie jakichkolwiek nastrojów, bo w Kurdystanie, w Iraku czy w całym regionie są waż-

niejsze problemy. Nigdzie nie odbywały się żadne demonstracje „antypolskie” związane z tym kryzysem, choć akurat w kurdyjskim mieście As-Sulajmanija w Iraku właśnie trwają protesty studentów. Nie mają one jednak nic wspólnego z sytuacją na polsko-białoruskiej granicy i Polską.

ODWRÓCENIE UWAGI

Al-Dżazira jest z całą pewnością znacznie bardziej opiniotwórczym medium na Bliskim Wschodzie niż Rudaw, ale znaczna część mieszkańców Iraku pamięta, że przekazy tej telewizji, podsycające niechęć sunnitów do szyitów, przyczyniły się do pojawienia się Państwa Islamskiego. Dlatego tym, że Al-Dżazira epatuje dramatem „uchodźców” na polsko-białoruskiej granicy i co chwila oskarża Polskę, nie ma się co przejmować. To tradycyjna strategia medialna tego medium, które, o czym wielu zapomina, nie jest wcale niezależne, tylko należy do rodziny panującej w Katarze.

Domniemany rasizm czy islamofobia szerzące się jakoby na Zachodzie to ulubione tematy tego medium, a ich celem jest odwrócenie uwagi od krytyki samego Kataru, łamania przez ten kraj praw człowieka i jego kontrowersyjnej wspierającej ekstremistów islamskich polityki zagranicznej. Natomiast media związane z tureckim reżimem, współodpowiedzialnym za kryzys na polsko-białoruskiej granicy, koncentrowały się na odrzucaniu oskarżeń pod adresem Turcji i przerzucaniu odpowiedzialności na tradycyjnego dla nich „chłopca do bicia”, czyli Europę, przy jednoczesnym podkreślaniu rzekomych wysiłków Turcji do „powstrzymywania migracji” (oczywiście „niedocenianych” przez okropną Europę).

Ponieważ to Turcja jest prekursorem używania migrantów i uchodźców jako broni, to ten temat również musiał zostać jakoś przykryty, m.in. oskarżeniami pod adresem Polski. Na przykład 18 listopada, w anglojęzycznej wersji tureckiej „Trybuny Ludu”, czyli „Daily Sabah”, pojawiła się kuriozalna „analiza prawna”, z której wynikało, że Polska powinna ponieść odpowiedzialność za użycie gazu, gdyż jakoby stanowiło to złamanie konwencji o zakazie tortur, a także za push-backi. Tyle że właśnie o to turecka propaganda oskarżała też Grecję, gdy w lutym 2020 r. Turcja przeprowadziła atak demograficzny na Europę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Cześć, Polsko
Jestem MEJZA!

Mina polityczna

FOT. ADAM ORESTOWSKI/FORUM



Tomasz Rowiński

Każdy dzień obecności w rządzie wiceministra sportu Łukasza Mejzy przysparza kopotów obozowi Zjednoczonej Prawicy. Dziennikarskie śledztwo dotyczące jego działalności biznesowej dowodzi, że Mejza nie powinien mieć nie tylko żadnego związku z gabinetem Mateusza Morawieckiego, lecz także w ogóle z żadną odpowiedzialnością polityczną

Premier zapytany o tę sprawę 30 listopada br. odpowiedział, że prosi o cierpliwość do czasu, gdy „informacje zostaną przeanalizowane przez stosowne służby”. Dlaczego

nie stało się to przed powołaniem Mejzy na stanowisko sekretarza stanu? A jeśli takie badanie miało miejsce, to kto podjął makiaweliczną grę tak szemraną postacią? Jedyną osobą, która wprost broni Łukasza Mejzy, jest jego przełożony, minister sportu Kamil Bortniczuk. Powtarza on tezę swojego podwładnego, że działania dziennikarzy mają charakter politycznego ataku. Miałoby chodzić oczywiście o przyłączenie się Mejzy do obozu Zjednoczonej Prawicy. Jednak po lekturze materiałów, które ukazały się na portalu wp.pl, trudno te słowa traktować inaczej niż zasłonę dymną.

Dodajmy, że obaj politycy są dziś związani z Partią Republikańską, której przewodzi Adam Bielan. Jednak nawet on wypowiada się o Mejzie językiem dyplomatycznych ogólników. „Jeżeli oczywiście komukolwiek zostanie udowodnione złamanie prawa, to natychmiast straci posadę w rządzie, ale w tym przypadku tak nie jest” – deklarował Bielan 29 listopada br. w TVP Info. Jednocześnie odsunął od siebie odpowiedzialność za sprawę. „Decyzja, czy Łukasz Mejza pozostanie w rządzie, należy

do ministra sportu oraz premiera”. To i tak pewna zmiana akcentów w stanowisku republikańców. Jeszcze 26 listopada br. związany z władzami republikańców Jacek Żalek mówił, że „nic się nie zmieniło w zakresie rekomendacji Partii Republikańskiej dla posła Łukasza Mejzy”. Jednocześnie jednak ze strony ugrupowania zniknęły wszystkie informacje dotyczące wiceministra sportu. Jeszcze niedawno Łukasz Mejza widniał na niej jako jeden z zastępców Bielana. Może to oznaczać, że partia podjęła już pewne kroki i przygotowuje się do ewentualnych przetarasowań na poziomie koalicji.

LISTA ZARZUTÓW

Przejdźmy jednak do dziennikarskich ustaleń. Najpoważniejszym zarzutem wobec Mejzy jest próba rozkręcenia firmy, która miała obiecywać ludziom chorym na rozmaite nieuleczalne lub śmiertelne schorzenia cudowną terapię komórkami macierzystymi. Cena takiej terapii miała wynosić 80 tys. zł. Według informacji, które uzyskał portal wp.pl, z takiej właśnie terapii korzystał wspólnik Mejzy, Tomasz Guzowski. Efekty miały być zachwycają-

ce – uzdrowienie z adrenoleukodystrofii. To ponoć Guzowski namówił dzisiejszego wiceministra, by podjął się organizacji interesu, który byłby jednocześnie pomocą naprawdę potrzebującym. Mejza twierdzi, że zarzucił projekt, gdy tylko zorientował się, że jest on wątpliwy medycznie i etycznie. Jednak tłumaczenia wiceministra nie podważają ustaleń dziennikarskiego śledztwa.

Mejza zarzuca dziennikarzom, że gdyby „zadali sobie odrobinę trudu i zapytali o publicznych rejestrów spółki, dowiedzieliby się”, że istotą działań firmy „miało być nie prowadzenie leczenia, a kontaktowanie pacjentów z podmiotami zagranicznymi, które oferują rozmaite terapie”. Tyle że ze zgromadzonych materiałów wynika coś innego. Firma Mejzy wprost oferowała „leczenie nieuleczalnego”. Na ulotce, której skan został upubliczniony, można przeczytać: „Nasi pacjenci to w głównej mierze osoby, które cierpią na schorzenia uznawane do tej pory za nieuleczalne. [...] Terapia Vinci NeoClinic łamie wszystkie bariery znane do tej pory w medycynie”. Albo: „Doświadczenie tysięcy przypadków, które zwyciężyły pomimo wystawionego przez lekarzy wyroku, świadczy o wpływie, jaki mają na organizm pluripotencjalne komórki macierzyste. To właśnie sprawia, że Vinci NeoClinic łamie bariery znane do tej pory”. Skoro Mejza nie miał żadnych „pacjentów”, to dlaczego się nimi chwali?

Mejza zapewnia, że nie miał świadomości, iż „terapię” zachwalane przez jego współnika pachną nie tylko medyczną hochsztaplerką, lecz także działaniami drastycznie nieetycznymi. Przedsięwzięcia zaniechano raczej z powodu fiaska biznesowego, potencjalni klienci po prostu nie dali się nabrać. „Żadna szanująca się klinika i żaden odpowiedzialny lekarz nie będzie przekonywał, że terapią komórkami macierzystymi jest w stanie dziś skutecznie wyleczyć wiele różnych chorób [...] Nie ma na to dowodów naukowych” – komentował sprawę prof. Józef Dulak z Wydziału Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Profesor Dulak uważa wręcz, że wlewając komórki pluripotencjalnych mogą prowadzić do zmian nowotworowych. Podobną opinię wyraziła prof. Dorota Sands, kierownik Zakładu i Kliniki Mukowiscydozy w Instytucie Matki i Dziecka.

Trzeba też wprost powiedzieć, że terapie, przy których chcieli pośredniczyć

Mejza i Guzowski, mają charakter aborcyjny. „To terapia komórkami pluripotencjalnymi, czyli embrionalnymi. Jak to działa? To coś ła in vitro. Jest jajeczko od kobiety, jest nasienie mężczyzny. Jest to ze sobą łączone i jest robione coś ła ciąża. Przed 15. dniem, zanim zabije serduszek, są komórki wyciągane. Powiedzmy jest wyciągane 200 komórek. Są kładzione na płytkę Petriego, mnożone, łączone z osoczem i wlewane. Wlewane w krwiobiegu. Powoduje to to, że z tych komórek stworzyłaby się każda część naszego organizmu, czy to wątroba, czy to palec, czy mózg. W tym momencie te komórki znajdują sobie to, co jest uszkodzone. U mnie uszkodzone są neurony w mózgu. I dzięki tej terapii odczułem realną poprawę” – opowiadał dziennikarzom Guzowski.

Jeśli chodzi o metody promocji, to bardzo podobnie Łukasz Mejza działał, gdy założył firmę, która według ulotek miała sprzedawać chroniące przed COVID-19 maseczki „wiodącego producenta” o nazwie Panimaseczka.pl. Problem w tym, że taki producent nigdy nie istniał, a fizelinowe maski, które firma Mejzy oferowała klientom, według ekspertów praktycznie do niczego się nie nadają. Z innych osiągnięć biznesowych Łukasza Mejzy warto jeszcze wymienić podawanie się za przedstawiciela firmy oświeceniowej LUG, która zaprzeczyła, by kiedykolwiek miała jakieś związki z dzisiejszym wiceministrem sportu. Sprawy drobniejszych, budzących podejrzenia co do etyczności metod stosowanych przez Mejzę w kolejnych jego przedsięwzięciach jest jednak znacznie więcej, te dwie to tylko wierzchołki góry lodowej.

BYLE W GÓRĘ

Nie tylko jednak biznesy Mejzy wyglądają tak, jak gdyby były robione dla łatwego i szybkiego osobistego sukcesu. Zaangażowanie polityczne wiceministra sportu nosi cechy nakierowanego wyłącznie na zrobienie kariery, gdzie nie liczą się barwy, ale chęć dojścia na szczyt. W 2014 r. z ramienia komitetu Lepsze Lubuskie (który później stał się częścią ruchu Bezpartyjni Samorządowcy) został najmłodszym radnym wojewódzkim w Polsce. Od kampanii prezydenckiej z roku 2015 współpracował z Pawłem Kukizem w ramach ruchu JOW Bezpartyjni. W roku 2019 został jednym z liderów Ruchu Fair Play Roberta Gwiazdowskiego, by jeszcze tego samego roku znaleźć się na liście wyborczej PSL wystawionej do Sejmu. Stało się tak w wyniku dołączenia

do Koalicji Polskiej lubuskiego środowiska Bezpartyjnych Samorządowców. Mimo że zebrał 10 tys. głosów, wybory przegrał, wyprzedziła go Joanna Fedak, jednak razem z jej śmiercią w grudniu 2020 r. Mejza wszedł do parlamentu. Tam nie dołączył jednak do PSL, ale został posłem niezrzeszonym znanym ze wspierania obozu rządzącego. W październiku Mejza dołączył do Partii Republikańskiej i wszedł do jej zarządu, a 15 dnia tego samego miesiąca został sekretarzem stanu w Ministerstwie Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu, potem zaś wiceministrem w odtworzonym Ministerstwie Sportu. Tu jego kariera – miejmy nadzieję – się zatrzyma.

W dniu publikacji efektów dziennikarskiego śledztwa dwoje posłów Lewicy – Anna Kucharska-Dziedzic i Maciej Kopiec – złożyli zawiadomienie do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa z art. 286 ust. 1 Kodeksu postępowania karnego, co oznacza próbę osiągnięcia „korzyści majątkowej poprzez doprowadzenie innej osoby do niekorzystnego rozporządzenia własnym lub cudzym mieniem za pomocą wprowadzenia jej w błąd albo wyzyskania błędu”. Zgłosili też możliwość popełnienia wykroczenia z art. 601 par. 2 Kodeksu wykroczeń, co oznacza „niedopełnienie obowiązku zgłoszenia do ewidencji działalności gospodarczej prawdziwych danych”.

Na koniec trzeba zilustrować dwa rodzaje ryzyka, między którymi musi wybierać Zjednoczona Prawica. Stan osobowy koalicji rządzącej to 228 posłów plus czterech współpracujących z ZP przedstawicieli Kukiz'15. Odejście Mejzy zwiększa ryzyko polityczne i jeszcze bardziej uzależni los większości parlamentarnej od grupy posłów, którzy przynajmniej formalnie nie zdecydowali się zostać częścią koalicji. Drugi rodzaj ryzyka związany jest z obecnością w rządzie poważnie skompromitowanego człowieka. Czy nie stanie się on – zresztą słusznie – kolejnym ciężarem obniżającym poparcie dla rządzącej centroprawicy? Mejza 17 listopada br., po publikacji pierwszego z tekstów śledczych mówiącego m.in. o jego firmie handlującej maseczkami, powiedział, że jest politykiem, na którym wisi rząd Zjednoczonej Prawicy. Być może, nie wiemy tylko jeszcze, czy w dłuższej perspektywie prawicowy rząd „wisi” na pozostaniu Mejzy czy raczej na tym, że polityk powinien odejść.

Artur „Waluś” Walczak zmarł w wyniku nokautu podczas październikowej gali tzw. slapfightingu

FOT. TOMASZ GOLLA/AGENCJA SE/EAST NEWS

Emocje na śmierć i życie



Agnieszka Niewińska

Strongman Artur Walczak zmarł w wyniku ciosu, który dostał w zawodach w policzkowaniu, co wywołało burzę. Gale i transmisje brutalnych walk się jednak mnożą

Duży zamach, głośny odgłos uderzenia w twarz i osuwający się na ziemię potężny zawodnik – strongman z Gniezna Artur „Waluś” Walczak, który szybko zostaje wyniesiony na noszach. To krążące w sieci wideo z październikowej gali slapfightingu PunchDown 5 – czyli zawodów uderzania przeciwnika otwartą dłonią w twarz – robi przerażające wrażenie. Zwłaszcza biorąc pod uwagę tragiczny finał. „Waluś” zmarł w szpitalu 26 listopada – nieco ponad miesiąc od półfinałowego starcia, w którym

znokautował go Dawid „Zaleś” Zalewski. Wrocławski szpital, do którego strongman trafił prosto z gali PunchDown 5, poinformował, że przyczyną śmierci „Walusia” była niewydolność wielonarządowa wynikająca z nieodwracalnego uszkodzenia centralnego układu nerwowego.

Pomocy medycznej „Walusiowi” udzielono zaraz po nokaucie. Jeszcze w szatni był przytomny, ale – jak poinformowali organizatorzy PunchDown – ze względu na objawy neurologiczne ratownicy zdecydowali o przetransportowaniu go do szpitala. Szybko okazało się, że sytuacja jest bardzo poważna. Strongman trafił na OIOM. Przyjaciół „Walusia”, raper i zawodnik MMA Piotr Witczak znany jako Bonus BGC, poinformował w mediach społecznościowych o jego krytycznym stanie. – Odciągnęli mu krew z połowy półkuli, reszty nie dali rady. Po uderzeniu wytworzył się ogromny krwiak. Artur ma ciężkie uszkodzenie mózgu – informował Witczak zaraz po tragicznej gali, a w kolejnych wpisach wysuwał pretensje i oskarżenia w stronę organizatorów.

Lekarze wprowadzili „Walusia” w stan śpiączki farmakologicznej. W połowie listopada próbowali go z niej wybudzić. Bezsukutecznie. Planowali przeniesienie strongmana do Kliniki Budzik, ale ten zmarł, zanim do tego doszło.

IMPORT Z ROSJI

Skąd w ogóle pomysł na zawody w policzkowaniu? – Slapfighting przyszedł do nas z Rosji. To tam odbywały się pierwsze mistrzostwa. Dość mocno zainteresowani są nim także Amerykanie. Mam jednak poważne wątpliwości co do tego, czy jest to w ogóle dyscyplina sportowa – mówi Michał Cichy, dziennikarz sportowy z portalu mma.pl. – Sam uprawiam sporty walki, ale w slapfightingu bym nie wziął udziału, bo w takich starciach nie chodzi o walkę, nie można w nich unikać ciosu. Nie jest przypadkiem, że na slapfightingowe występy zwykle decydują się strongmani czy sztangiści. W slapfightingu chodzi bowiem o siłę uderzenia. A ona bywa ogromna, bo wbrew temu, co się mówi, to nie jest uderzenie z tzw. liścia.

Zawodnicy w takim starciu uderzają nasadą dłoni. Można to porównać z uderzeniem pięścią w głowę – tłumaczy Cichy.

Po śmierci „Walusia” o imprezach takich jak PunchDown ostro wypowiedział się Andrzej Wasilewski z grupy bokserkiej Knockout Promotions. – Czas zdefiniować wreszcie, co to jest sport. Ja nie twierdzę, że tylko boks jest sportem, a klepanie się siarczyste po twarzy otwartą ręką sportem kiedyś nie będzie, ale z całą pewnością to powinno być jakoś regulowane i kontrolowane – mówił „Super Expressowi” Wasilewski. – Czy walki pięciu na pięciu, gdzie dwóch może kopać jednego leżącego, to jest sport czy bardziej ulica? Albo walki na gołe pięści. Po co robić je w ringu, zróbmy od razu w klatce metr na metr. Będzie jeszcze więcej krwi – kwitował.

GLADIATORZY INSPIRUJĄ

Ci, dla których nowością są coraz bardziej popularne w Polsce i na świecie walki mieszanych sztuk walki MMA (z upodobaniem biorą w nich udział celebryci), są daleko w tyle. Powstają kolejne federacje, które stawiają na starcia z coraz to mniejszą liczbą ograniczeń dla stojących naprzeciw siebie zawodników. Mamy już kilka federacji walk na gołe pięści. Federacja Wotore chwali się na swojej stronie walkami „w pierwotnej postaci, zainspirowanymi walkami gladiatorów i kultowymi filmami”. Nie ma limitu wagowego, a na przeciwniku w parterze dozwolone jest stosowanie wszystkich rodzajów kopnięć. „Obok łokci i uderzeń głową daje to pełny wachlarz możliwości! Emocje gwarantowane!” – zapewnia Wotore.

Pod koniec listopada swoją galę zorganizowała inna federacja walk na gołe pięści – The War – w której rywalizacja trwa do nokautu lub poddania się któregoś ze stron. Oglądać można było walki indywidualne, ale i w grupach trzy na trzy czy pięć na pięć. Gala obfitowała w dramatyczne zwroty akcji. Podczas walki kobiet zawodniczka o pseudonimie Wojownicza zemdląca i musiała zostać wyniesiona na noszach. W walce mężczyźni zawodnik przedstawiający się jako „Sorok” po znokautowaniu rywala brutalnie kopnął go w twarz. Został zdyskwalifikowany, a pytającemu go o tę sytuację dziennikarzowi zaszerwował wiązankę przekleństw, a w stronę publiczności krzyczał: – Z podwórka jestem ku.wa!

Jedną z bardziej ekstremalnych dyscyplin jest boks birmański. Tu też

walczy się na gołe pięści, ale dozwolone są m.in. kopnięcia, ciosy łokciami i ciosy głową, które doprowadzają do tego, że nierzadko zawodnicy wychodzą z ringu z połamanymi nosami. W Polsce nie brakuje sympatyków tej odmiany boks. Przed rokiem zarejestrowany został nawet Polski Związek Boks Birmańskiego Lethwei.

Michał Cichy zwraca uwagę, że coraz większa brutalność i podkręcanie emocji w sportach walki to m.in. odpowiedź na zapotrzebowanie widzów. – Ludzie chcą igrzysk. Im więcej krwi, im więcej emocji, tym walki są chętniej oglądane i tym większe są dochody z pay-per-view, czyli wykupienia przez widzów dostępu do transmisji. Judo, karate czy nawet boks są, jeśli chodzi o popularność, daleko za MMA, które jest dla widzów ciekawsze, bardziej emocjonujące i – rzecz jasna – krwawe. Zaczynają się pojawiać też nowe konkurencje, właśnie takie jak slapping czy hold and hit, w którym chodzi o zadawanie sobie ciosów jedną ręką, podczas gdy drugą trzeba trzymać na drążku przymocowanym do stołu. W Polsce odbyła się już nawet jedna gala hold and hit. W środowisku dziennikarzy zajmujących się sportami walki dochodzimy czasem do wniosku, że gdyby dzisiaj organizować walki gladiatorów na śmierć i życie, znaleźliby się i widzowie, i chętni do wzięcia w nich udziału – mówi dziennikarz mma.pl. Zwraca uwagę, że duże znaczenie dla nowych, coraz brutalniejszych konkurencji w obrębie czy na granicy sportów walki odgrywa też charakter samych zawodników. – To specyficzna grupa wojowników, u której często widzę przesadną ambicję. Przegrana motywuje ich do podejmowania jeszcze trudniejszych wyzwań, brania na siebie cięższych walk.

ZNAĆ RYZYKO

Profesora Jacka Dąbała, medioznawcę z Uniwersytetu Jagiellońskiego i audytora jakości mediów, nie dziwią internetowe transmisje z coraz brutalniejszych walk. – Takie starcia to zjawisko stare jak świat. Część ludzi rodzi się wojownikami, ma w sobie dużo odwagi, lubi ryzykować i tą drogą chce dojść do sławy i pieniędzy. Ludzie, którzy nie urodzili się wojownikami i nie stanęliby w ringu, chcą z kolei zobaczyć, jak w walce poradzą sobie inni. Takie wydarzenia odbywają się nie od dziś, w wielu zakątkach świata, tyle że przeważnie organizowano je nieoficjalnie, na ulicach, w piwnicach. Współczesna technologia pozwala na to,

żeby dotrzeć do większej liczby widzów i zainteresowanie takimi walkami monetywizować – tłumaczy medioznawca.

Andrzej Wasilewski z grupy bokserkiej Knockout Promotions stwierdził, że potrzebna jest jakaś interwencja w pojawiające się coraz to nowsze formy walk. – Z całą pewnością ktoś powinien to zacząć regulować, bo będzie tych tragedii, przepraszam, że brzydko powiem, ale trupów, więcej – powiedział „Super Expressowi”.

Cichy ma w tej sprawie liberalne podejście. – Starć slappingowych czy innych tego typu mistrzostw bym nie zakazywał. Jeśli zawodnicy zdają sobie sprawę z ryzyka, z konsekwencji i się na to godzą, to nie widzę powodu, żeby zabraniać im brania udziału w takich konkurencjach – mówi.

Podobnie uważa prof. Dąbała. – Nie widzę powodu, żeby w demokracji zabraniać ryzyka tym, którzy chcą ryzykować – o ile oczywiście znają możliwe konsekwencje swoich decyzji. Nie można też tematu obecności w mediach brutalnych dyscyplin w obrębie sportów walki zamiatąć pod dywan. Mówmy o tym, tłumaczmy widzom, że zawodnicy decydujący się na to muszą brać pod uwagę uszczerbek na zdrowiu czy nawet śmierć. Sądzę, że przy takich transmisjach jak przy niektórych filmach powinna pojawić się informacja, by samemu takich działań nie podejmować. Moje obawy budzą zwłaszcza walki z zaangażowaniem znanych osób. Ze względu na duże zyski organizatorzy mogą się nie oprzeć pokusie kreacji – tak by uczynić walkę jeszcze bardziej krwawą. To może dać ludziom mylne przekonanie, że skoro aktor czy piosenkarz może się tak bić, to oni też są do tego zdolni – przestrzega medioznawca.

Czy śmierć 46-letniego Artura „Walusia” Walczaka wpłynie na sposób organizowania imprez sportów walki? Michał Cichy jest zdania, że musiałyby wejść w życie nowe regulacje prawne. – Wielu organizatorów do takich wydażeń podchodzi poważnie. W zasadzie nie zdarza się, żeby na galach organizator nie zapewniał służb medycznych, karetki. Zawodnicy podpisują oświadczenie, że biorą na siebie konsekwencje walk, przedstawiają badania lekarskie. Być może powinni także wykonywać przed nimi tomografię głowy. Prawda jest jednak taka, że to są dyscypliny obciążone ryzykiem.



Spragnieni miłości



Piotr Gociek

„Psie pazury” to najlepszy film Jane Campion od ćwierćwiecza. A Benedict Cumberbatch w pełni zasłużył na Oscara

Przepiękne, olbrzymie i dzikie są pustkowia Montany. I bardzo zimne, bo brak tam miłości.

I komu miałyby to właściwie przeszkadzać? Orłom, mustangom, bydłu? Mamy rok 1925, a krajobraz wygląda jak sto lat wcześniej, w czasach osadników. Pośrodku pustkowia stoi wielki dom, w nim zaś żyje dwóch braci. „Romulus i Remus” – przedstawia tę parę jeden z nich. Niezbyt dobra wróżba, kiedy się pamięta, co na końcu zaszło między legendarnymi założycielami Rzymu.

Bracia różnią się od siebie jak dzień i noc: Phil Burbank (Benedict Cumber-

batch) to twardziel nad twardzielami, który woli kąpać się w strumieniu niż w domu, spędza czas głównie z zatrudnionymi przez siebie kowbojami, gra na banjo, kastruje własnoręcznie byki i w ogóle jest ikoną męskości z Dzikiego Zachodu. George Burbank (Jesse Plemons) to człek cichy, uprzejmy, wyzywany przez własnego brata od grubasów i z biegiem lat coraz mniej pasujący do nieokrzęsanej kowbojskiej kompanii. A lata płyną – gdy poznajemy braci Burbank, zajmują się oni gospodarstwem już 25. rok. Czas coś zmienić – mniema George. Oby nic nigdy się nie zmieniło – marzy Phil.

WESTERN – NIE WESTERN

Któż może wejść między braci, jeśli nie kobieta? Rose Gordon (Kirsten Dunst) to wdowa prowadząca jadłodajnię i mały hotelik w zapomnianym przez Boga i ludzi miasteczku. Jej mąż odebrał sobie życie, u jej boku pozostał dorastający syn. Gdy pucołowaty George zapala sympatią do Rose i pojmie ją za żonę, Phil znajdzie wiele powodów, by nowy

związek sabotować, a jego beneficjentami pogardzać.

Amerykę udaje w tym filmie Nowa Zelandia, reżyserem jest Jane Campion, a nie Clint Eastwood. Dzikie Zachód jest więc jedynie pretekstem, dekoracją, a i sam film, choć w materiałach promocyjnych określany jako western, niespecjalnie do tego gatunku należy. „Psie pazury” („The Power of the Dog”) to ekranizacja powieści Tomasza Savage’a z roku 1967, która właśnie ukazuje się po polsku nakładem oficyny Prószyński i S-ka – jest to pierwsza książka tego autora w naszym kraju.

Film pokazywany był w tym roku na festiwalu w Wenecji i podobał się na tyle, by przynieść Campion nagrodę Srebrnego Lwa za najlepszą reżyserię. Miło znów widzieć tę znakomitą twórczynię docenianą i w świetle reflektorów. Widzowie z mojego pokolenia, może też i ci o kilka lat młodszy, pamiętają, jak wielkie wrażenie robiły na nas kiedyś (i robią do dziś) jej wczesne filmy. „Anioł przy moim stole” (1990), „Fortepian” (1993), „Portret damy”

Dziki Zachód jest jedynie dekoracją, a film, choć w materiałach promocyjnych określany jako western, niespecjalnie do tego gatunku należy FOT. MATERIAŁY PRASOWE



(1996). Potem bywało różnie. Pierwszy sezon serialu „Tajemnice Laketop” (2013) był wybitny, drugi już tylko mętny. O „Świątym dymie” (1999) wypada taktownie zapomnieć, o „Tatuaż” (2003) można się spierać. Opowieść o Keatsie („Jaśniejsza od gwiazd”, 2009) była dużo lepsza, ale to dopiero „Psie pazury” przypominają w pełni o skali talentu Jane Campion.

PRAGNIENIE MIŁOŚCI

Wszyscy w tej opowieści są spragnieni miłości. Gdy Rose uczy George’a tańczyć, łyż pojawiają się w jego oczach. „Jak to dobrze jest mieć kogoś” – mówi. Jego brat twardej nie wyobraża sobie świata bez braterskiej więzi, myśli o tym, że w ich małym świecie pojawi się ktoś trzeci, doprowadza go do wściekłości – chce mieć brata tylko dla siebie. Rose chciałaby normalnego życia, wciąż zadowolona jest o syna. Peter (Kodi Smit-McPhee), chłopiec o wielkich ambicjach (uczy się na chirurga), ale bardzo osobny i zniewieściany, zdaje się być skazany na klęskę w świecie brutalnych ranczerów.

Wszyscy jednocześnie są ułomni – Rose ma swoje demony, Peter wydaje się nazbyt zimny (czy nie zwiastuje to socjopaty?). George śmieszny jest w swoich marzeniach o wejściu do lokalnej socjety, wizytach gubernatora i kolacjach, przy których żona ma grać na pianinie. Jest może i dobroduszny, ale wyjątkowo ślepy na to, co dzieje się wokół. Phil kryje własną tajemnicę: jego nieustanne wspomnienie zmarłego Henry’ego Bronco, kowboja, który nauczył go wszystkiego, ewidentnie niesie podtekst homoseksualny.

Benedict Cumberbatch daje imponujący pokaz gry aktorskiej, wcielając się w tę niejednoznaczną i rozdartą postać. Jest autentycznie przerażający, jest zimny, jest złowrogi. Jest zarazem cierpiący, pełen rozpacz, niesłuchanie samotny. Jeśli nie dostanie za ów występ Oscara, to ma prawo czuć się bardziej okradziony niż Robert Lewandowski podczas gali Złotej Piłki. To jego rola jest fundamentem tej opowieści, na którą składają się dwa emocjonalne trójkąty. Pierwszy tworzą obaj bracia i nowa kobieta w ich życiu. Phil jest o nią zazdrosny, pogardza nią, a jednocześnie jest nią zafascynowany. Drugi trójkąt to ten stworzony przez Rose, jej syna i Phila, który – by skrzywdzić rywalkę – postanawia wykorzystać młodego Petera. Wkraść się w jego łaski, udawać przyjaciela i... No właśnie, co dalej? Jednocześnie między tymi dwoma tak różnymi postaciami widać wzajemną fascynację. Na ile autentyczna? Kto i w co gra? Po co?

Podoba mi się określenie „opowieść gotycka” używane przez niektórych krytyków wobec „Psich pazurów” (że nie jest to western – już ustaliliśmy). Rzeczywiście, skomplikowane, czasem chore emocje wypełniają ekran, jednocześnie nic nigdy nie jest powiedziane wprost, Jane Campion po mistrzowsku opowiada niedopowiedzeniami. Ranczo Burbanków zdaje się być nawiedzonym domem, tyle że nawiedzający go groźny duch należy do świata żywych – to właśnie Phil. Bez wątpienia jest to najbardziej cierpiącą duszą spośród wszystkich, które widzimy na ekranie. I najgroźniejsza – tak się wydaje.

Aby zrozumieć tytuł, trzeba sięgnąć do Księgi Psalmów. W Psalmie 22. czytamy:



★★★★★

REŻ. JANE CAMPION
„PSIE PAZURY”
(„THE POWER OF THE DOG”)

NOWA ZELANDIA 2021

wyst. Benedict Cumberbatch, Jesse Plemons, Kirsten Dunst, Kodi Smit-McPhee,
 dystr. Netflix

„Ocal od miecza moje życie, z psich pazurów wyrwij moje jedyne dobro, wybaw mnie od lwiej paszczy, i od rogów bawolich – wysłuchaj mnie!”. W filmie odnajdujemy piękne odbicie tych słów: Phil i Peter są jedynymi, którzy w kształcie pobliskiego wzgórza widzą głowę wielkiego, ujadającego psa. Opadające niżej pasma wzgórz to jego pazury – życie u stóp gór to życie między pazurami bestii.

Pan jednak pomaga najchętniej tym, którzy sami sobie pomagają. Aby do chorego, ułomnego świata powróciła równowaga, ktoś będzie musiał złożyć ofiarę najwyższą.

POZA NURTEM

Film Jane Campion dotyka kwestii wielce obecnie modnych w Hollywood, ale czyni to w sposób, który niespecjalnie ucieszy politycznych bojowników. Oczywiście musi tu paść z ust bohaterki rytualne: „Wszyscy mężczyźni to dranie”, ale jednocześnie to, co widzimy na ekranie, zadaje temu twierdzeniu kłam. Z kolei przedstawienie homoseksualnego kowboja jako mściwego monstrum (choćby i głęboko cierpiącego) średnio wpisuje się w nurt zapoczątkowany przez cikliw „Tajemnicę Brokeback Mountain” (2005). Może dlatego na festiwalu w Wenecji „Psie pazury” nie dostały głównej nagrody, choć był to film najlepszy z przedstawionych. Musiały ustąpić proaborcyjnej i antyburzazynnej dramie z Francji („L’événement”).

Ciekawa rzecz, bo nadchodzi czas nominacji do Złotych Globów i Oscarów – jakże wiele tytułów będzie pochodziło z puli filmów produkowanych lub dystrybuowanych przez Netflix (choćby wkrótce czeka nas w serwisie premiera nowego filmu Paolo Sorrentino „Ręka Boga” – także pokazywanego w Wenecji). Z jednej strony dobrze, bo ambitniejsze kino trafi do szerszej liczby odbiorców. Z drugiej – żałuję, że nie mogłem zobaczyć „Psich pazurów” na dużym ekranie. To film stworzony do tego, by w powiększonym świat sprzecznych emocji zanurzyć się w ramach doświadczenia kinowego. A Jane Campion pozostaje wybitnym kinowym – nie telewizyjnym – twórcą naszych czasów. Naprawdę widać różnicę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK



★★★★★

REŻ. GIL KENAN
„CHŁOPIEC
ZWANY
GWIAZDKA”
(„A BOY CALLED
CHRISTMAS”)
WIELKA
BRITANIA 2021

wyst. Henry
 Lawfull, Michiel
 Huisman, Maggie
 Smith

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Gwiazdka to chłopiec

Powieść Matta Haiga „Chłopiec zwany Gwiazdka” była kilka lat temu – także w Polsce – świątecznym hitem w księgarniach. Nie bez powodu. Jest to historia ciepła, zabawna i pouczająca, daje zatem wszystko to, co niosą ze sobą niereligijne dzieła należące do „christmasowej” popkultury. Wersja filmowa jest niemal równie dobra (dlaczego niemal – o tym dalej). Książka stanowi kolejne origin story Świętego Mikołaja, który tym razem jest małym chłopcem z Finlandii, który pewnego dnia w poszukiwaniu zaginionego podczas wyprawy ojca trafia aż do krainy elfów.

W historii tej pojawiają się także wróżka prawdy, wielki troll, latający renifer, gadająca mysz i wyjątkowo okropna ciotka (wredota niczym z powiastek Roalda Dahla). Nade wszystko pojawia się jednak przesłanie, że pieniądze nie zastąpią miłości, że w każdym człowieku to, co dobre i złe, jest przemieszane oraz że relacje między magicznymi istotami a ludźmi (zwłaszcza myśliwymi) nie należą do idealnych.

Reżyser Gil Kenan (twórca animowanego „Strasznego domu”, nowego „Poltergeista” oraz scenarzysta nowych „Ghostbusters”) dopisał do oryginalnej powieści Haiga dodatkową ramę narracyjną. Książka była po

N prostu uroczą świąteczną fantazją, u Kenana jest to historia opowiedziana przez ciotkę (tym razem dobrą – w tej roli świetna Maggie Smith) dzieciakom w świąteczny wieczór. Obydwie płaszczyzny się przenikają i do siebie nawiązują, trochę tak, jak uczynił to William Goldman w „Narzeczonej księżniczki”. Małego Mikołaja doskonale zagrał Henry Lawfull, jego ojca – znany z „Gry o tron” Michiel Huisman.

Tempo, humor, niespodziewane zwroty akcji – bardzo dużo z książki Haiga widzimy na ekranie. Niepotrzebnie próbowano ją ulepszyć dopiskami, po których od razu widać wymogi ideolo – władzę krainy elfów zamieniono na władczynię, która w dodatku miałaby nigdy nie pozostawać w lesbijskim związku z zaginioną matką Mikołaja. Król Finlandii (pyszny Jim Broadbent) stał się monarchą kwalifikującym się niemal na gilotynę (odmawia swym poddanym opieki zdrowotnej i wysyła ich na pewną śmierć), na szczęście dostał szansę na spełnienie także pozytywnej roli w finale tej opowieści. I tak powstał film tylko dobry – a mógł powstać bardzo dobry. ©©



NOWE SERIALE: „STRAŻ”

Serial inspirowany prozą fantasy naczelnego brytyjskiego prześmiewcy, czyli Terry’ego Pratchetta, a dokładniej czerpiący (ale dość wybiórczo) z powieści „Straż! Straż!” – ósmego tomu cyklu „Świat Dysku” – i jej kontynuacji. „CSI w stylu Pratchetta” – tak mówił o projekcie sam pisarz, kiedy dekadę temu był zaangażo-

wany w jego początki. Po wielu zmianach rzecz ostatecznie zmateriałizowała się jako ośmioodcinkowa produkcja BBC America, w której pojawili się m.in. Sam Adewunmi jako Carcer Dun i Richard Dormer jako kapitan Sam Vimes. ©© **Piotr Gociek**

• **sezon 1 „Straż” („The Watch”), Wielka Brytania/USA 2021**

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 „Genialna Morgane” („HPI: Haut Potentiel Intellectuel”), Francja 2021 **FOX**
- reż. Kim Jee-woon „Dr Mózg: W otchłani świadomości” („Dr. Brain”), Korea Południowa 2021 **apple tv**
- reż. Sonia Liza Kenterman „Krawiec” („Raftis”), Grecja 2020 **CINEMAN**

Czołgi na ulicach

KINO

O czym myślał Gomułka, zarządzając podwyżki cen żywności 11 dni przed świętami Bożego Narodzenia w 1970 r., tego się nigdy nie dowiemy. Dzięki nagraniom rozmów członków sztabu kryzysowego MSW wiadomo jednak, co gryzł towarzyszy, którym powierzono zadanie stłumienia strajków i rozruchów na Wybrzeżu. W obawie, „żeby nie było jak w Czechosłowacji”, skierowali przeciw „rozrabiającym” rodakom czołgi i transportery opancerzone. Do głów im nie przyszło, że agresja tłum jest odpowiedzią na brutalność służb jawnych i tajnych. Komendant główny MO Tadeusz Pietrzak, zasłużony utrwalacz władzy ludowej i doktor nauk politycznych strofujący rozmówcę: „Ty mnie tu dupy

nie zawracaj”, aż kipi energią. Nikt nie śmie podważać decyzji o strzelaniu do bezbronnych cywili, bo „pierwszy powiedział, że jutro ma być porządek w Gdańsku”. Zderzenie archiwalnych filmów z plastelinową animacją dało zaskakująco dobry rezultat. Skonfrontowanie żywych ludzi z pacynkami w gruncie rzeczy oddaje istotę PRL – państwa zarządzanego przez wyalienowanych socjopatów, dla których ocalenie jednego partyjniaka jest warte więcej niż życie setki robotników i studentów. Po wymianie ekipy rządzącej sprawcy masakry popadli w niełaskę, lecz awansowani Jaruzelski i Kiszcak dopilnowali, by za przelaną krew nikt kary nie poniósł.

I tak już zostało. © ©
Wiesław Chełminiak



★★★★★
REŻ. TOMASZ WOLSKI
„1970”
POLSKA 2021

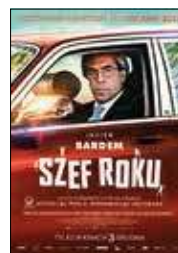


FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WAGA PÓŁCIĘŻKA

KINO

Taki szef to skarb. Troszczy się o pracowników, pomoże synowi mechanika, który wpadł w kłopoty, znajdzie czas na pogawędkę z odźwiernym. Zamiast siedzieć za biurkiem, krąży po zakładzie (nie tylko po to, żeby bałamucić stażystki). Dla señora Blanco firma jest jak rodzina, a on jak ojciec, wybaczący błędy i oczekujący w zamian jedynie lojalności. Niestety, nad głową zacnego biznesmena zbierają się czarne chmury. W lokalnej gazecie zamiast tradycyjnej laurki może ukazać się reportaż o proteście byłego podwładnego, kierownik produkcji traci zaś serce do pracy z powodu niewierności żony. Fabryka produkuje wagi, co oczywiście ma znaczenie symboliczne. Javier Bardem stara się uczłowieczyć hipokrytę, którego zdaje się opuszczać szczęście, widząc jednak i tak życzy mu klęski. Za dużo w tej historii banału i przewidywalności. Jeśli to jest kandydat do Oscara, to strach oglądać inne hiszpańskie filmy.



wyst. Javier Bardem, Manolo Solo, Almudena Amor

★★★★★
REŻ. FERNANDO LEÓN DE ARANOA
„SZEŚĆ ROKU”
(„EL BUEN PATRÓN”)
HISZPANIA 2021

BESTIA W CZŁOWIEKU

cda

„Wilkołak”, który 80 lat temu wszedł na ekrany kin, nie był ani pierwszą, ani najlepszą opowieścią o likantropii. Stworzył jednak kanoniczny wizerunek potwora cierpiącego na podobną przypadłość co wampir i doktor Jekyll. Za dnia panicz Talbot jeszcze się trzyma, lecz światło księżyca wyzwała w nim krwiożercze instynkty. Twórcy filmu też są rozdwojeni – naukowy światopogląd nie pozwala im uwierzyć w kłutwę, więc podsuwają widzom tropy freudowskie. Mimo bajkowej oprawy „Wilkołak” był przerażająco aktualny. Scenarzysta, uciekinier z Niemiec, na własne oczy widział, jak ludzie zamieniają się w bestie, a w Europie Wschodniej działy się rzeczy, na których tle horrory Universalu wydają się romantycznymi komediami. Gumowy nos i płaczliwe miny Chaneya juniora wstrząsnęły jankesami, ale dziś większe wrażenie robią Claude Rains jako tatuś dominator i Maria Ouspenskaya jako stara Cyganka. © ©



wyst. Lon Chaney Jr, Claude Rains, Evelyn Ankers

★★★★★
REŻ. GEORGE WAGNER
„WILKOŁAK”
(„THE WOLF MAN”)
USA 1941

Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „SHIN MEGAMI TENSEI V”

Klasyczne japońskie RPG z cenionej i – nie bójmy się tego powiedzieć – jednej z najważniejszych obok Final Fantasy dla gatunku JRPG – serii tym razem w wersji od podstaw zaprojektowanej na najnowszą konsolę Nintendo. Mroczny świat, który jeszcze głębiej w mrok

spychają intrygi i ścierające się interesy bóstw i mrocznych sił. Gra i uniwersum mogące niektórych oburzać, ale potrafiące też bez reszty zachwycić i wciągnąć. Najnowsza odsłona to udany powrót do anarchicznego, świetnie narysowanego i zaprojektowanego



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

świata. Fani JRPG niech się nie wahają ani chwili, to gra, w której niewiele jest słabych punktów. © ©

Radosław Wojtas

Gatunek: JRPG
Platforma: NS
Producent, wydawca PL: Atlus, ConQuest Entertainment a.s.

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Pamięć zmaterializowana

Autorką tej pięknie zilustrowanej książki (albumu) jest jedna z najbardziej znanych kolekcjonerek polskich, koneserka i popularyzatorka sztuki – Joanna Hübner-Wojciechowska, córka aktorki Miry Dubrawskiej i też aktora i reżysera Zygmunta Hübnera, patrona Teatru Powszechnego w Warszawie, który za jego dyrekcji stał się jedną z najświetniejszych scen w Polsce, w co dziś – obserwując to, co się dzieje przy ulicy Jana Zamojskiego – trudno uwierzyć.

Są te „Rodzinne pamiątki” zaproszeniem – jak powiada autorka – do ćwiczeń z pamięci. Namawia do szacunku wobec tego, co pozostało nam po rodzicach, dziadkach, a bywa – choć rzadko – że i po pradziadkach.

Zazwyczaj nie jest tego wiele. Wojna, okupacja, przesunięcie granic – wszystko to pozbawiało naszych przodków tego, co posiadali, a co byłoby naszym dziedzictwem, gdyby nie wyroki historii.

Na ogół przyjmuje się za pewnik, że wartość ma wszystko, co stare. Przy czym pojęcie starości jest bardzo umowne. A i mody się zmieniają. Doświadczamy się np., jak spadło zainteresowanie stylem art déco. Na początku naszego wieku za biurko w takim stylu trzeba było zapłacić ok. 6 tys. zł, teraz cena nie przekracza 4 tys., a i tak – czytamy – trudno o nabywcę. Podobnie stało się z meblami secesyjnymi i biedermeierowskimi, nie mówiąc o gdańskich. Ale czy w latach komuny, a i jeszcze później, komukolwiek przysłaby do głowy myśl, że przedmiotem pożądania staną się standardowe, a dziś absolutnie kultowe segmenty Kowalskich, meblujące ściany w naszych M3 i M4?

Przywykliśmy za cenną uważać biżuterię. Ale czy każdą? Z seryjnych wyrobów czeskiego Jablo-



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

nexu, tak popularnych w latach 60. zeszłego stulecia (Wojciech Młynarski ironizował w „Światowym życiu”: „W krąg czeskie kolie i kreacje pięknych pań”), pokpiwano okrutnie, a przecież – czytamy – „Daniel Swarovski uczył się szlifować szkło właśnie od fachowców z czeskiego Jablonca. Moim zdaniem, a mówię to na podstawie koralu, pierścionków i naszyjników z teatralnej szkatułki mamy, bronią się przede wszystkim swoją powściągliwością, prostą formą. O dziwo, wzbudzają podziw, ilekroć je nałożę, są oryginalne i nieopatrzone jak biżuteria Swarovskiego”.

Nie zmienia to faktu, że najbardziej żał nam tych przedmiotów, których pozbyliśmy się niegdyś, często nazbyt pochopnie. Autorka „Rodzinnnych pamiątek” z żalem wspomina to, co wyniosła z rodzinnego domu, uzupełniając asortyment prowadzonej na początku wieku Galerii Dynasy. Sprzedała wtedy m.in. patere,

którą rodzice otrzymali w spadku po babci, dzisiaj nie do zdobycia. Podobnie nie może odżałować platerowej popielniczki w kształcie listka koniczyzny, babcinego prezentu, po latach wystawionego w galerii. „No cóż – wzdycha – taka była cena debiutu w wymagającej branży”.

„Niech naszym mottem – wzywa autorka – na przekór powszechnych na blogach internetowych apelom w rodzaju: »Zbieraj chwile i doświadczenia, nie przedmioty«, będzie: »Kolekcjonuj przedmioty, jeżeli chcesz zachować pamięć na pokolenia«. Czego dowiedzielibyśmy się o ludziach żyjących sto lat temu, gdyby nie przedmioty i dokumenty, które po nich pozostały?”.

Ao tym, że warto o nie dbać, przekonuje choćby opowiedziana przez Joannę Hübner-Wojciechowską historia prezentu z zaświatów, który nieoczekiwanie otrzymała. Otóż jej dziadek, człowiek zamożny, wykupił przed wojną ubezpieczenie na życie w brytyjskim Towarzystwie Ubezpieczeń Prudential. „Jakież było moje zdziwienie – powiada – gdy kilka lat temu zgłosiła się do nas osoba dochodząca roszczeń byłych klientów firmy. W celu identyfikacji ubezpieczonego należało przedstawić m.in. świadectwo jego urodzenia oraz podać drugie imię, w wypadku dziadka było to oryginalne imię Makary. Przedstawione dokumenty stały się podstawą do wypłacenia spadkobiercom, tj. mamie i mnie, nie tylko kwoty samego ubezpieczenia, lecz także niebagatelnego odsetek za okres powojenny. Wypłaty zostały zrealizowane w wybranej przez nas walucie. Pieniądże pojawiły się w trudnym dla nas okresie choroby mamy i były jak manna z nieba. Trudno uwierzyć, ale takie cuda się zdarzają”. ©©



★★★★★
**JOANNA HÜBNER-
WOJCIECHOWSKA**
„RODZINNE
PAMIĄTKI.
OSOBLIWY
PRZEWODNIK DLA
KOLEKCJONERÓW”
ARKADY,
WARSZAWA 2021

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**TAJEMNICA WYROKU
NA DOWÓDCĘ
MUSZKIETERÓW**

Jacek Bartosiak – Trzecia wojna światowa

Jan Sadkiewicz – Koniec Pax Americana?

Mikołaj Iwanow – Mord w rodzinie Stalina

Jakub Polít – Chiny: z dna na szczyt

Piotr Zychowicz – Esesmani w niewoli

Jakub Ostromięcki – Prawda o czterech pancernych

Iain Ballantyne – Sekrety wojny podwodnej

Krzysztof Masłoń – Sylwetka Jana Himilsbacha

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Neapol jest kobietą

Neapol, nieszczęsny Neapol Maradony i camorry, Herlinga-Grudzińskiego, esejów Benedetta Crocego i serialu „Gomorra”. Wchodzimy w ten piękny i skażony świat z jeszcze innej perspektywy – Valeria Parrella w tomie opowiadań „Za otrzymane łaski” skupia się na kobiecym punkcie widzenia. Blichtru wiele nie będzie. Przeważają ulice nędzy.

„Gonitwa”, tekst pierwszy, to literatura wybitna, bezlitosna jak „Kronika zapowiedzianej śmierci” Marqueza. Drobnym pomagier camorry dżgnięty przez rzezimieszka pozostawia kobietę i dziecko. Ona najpierw miesiącami czeka przy jego łóżku na cud, potem musi radzić sobie sama. Wyrok więzienia za dylowanie narkotykami oznacza rozłąkę z dzieckiem, z drugiej strony – paradoksalnie – szansę na lepsze życie. Boss ufa tym, którzy byli w więzieniu i nie pękli. Więc po wyjściu robota będzie lepiej płatna. I bardziej ryzykowna.

Neapol. Życie nie jest łatwe. Ratuszek dla biednych kryje się po drugiej stronie prawa. Oto bohaterowie opowiadania „Siddhartha” w małej drukarni fałszują znaczki i podrabiają książki. Bo jak się trząśnie na lewo kilkaset egzemplarzy chodliwego tytułu, to uliczny sprzedawca zapłaci

od ręki. Tu akurat dramat mocno przetykany jest krzywym uśmiechem: jeden z chłopaków przygotowując druk, notorycznie gubi strony. A co komu po Hessem bez 10 kluczowych kartek?

Neapol. Wszyscy marzą. I wszyscy o lepszym życiu. Nawet ci, którzy coś tam mają. W „Przyjacielu na niby” Marina, mężatka i elegantka, śni o mężczyźnie, który znów sprawi, że będzie się czuła piękna, pożądana i potrzebna. Bohaterka tytułowego opowiadania („Za otrzymane łaski”) nie może się pogodzić z przemijaniem – nie ma już dawnej dzielnicy, a ona sama wydaje się sobie nadmiernie postarzała. Czy nowe dziecko może coś zmienić? To nadzieja czy powód do lęku?

Dobrze jest to wszystko napisane, bez nadmiernej cikliwości, drapieżnie, z masą barwnych postaci w tle, z nieodłącznym w każdej historii niesamowitym Neapolem, miastem miłości i rozpacz.

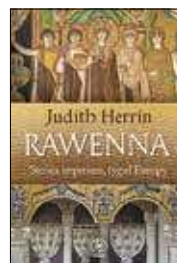
To jednocześnie wspaniała literatura kobieca. Nie w znaczeniu, jakie lansują sieciowe księgarnie, wabiąc klientki kolorowymi okładkami pełnymi kwiatusków i serduszek. Używam tych słów, by podkreślić co innego – żaden facet, nawet bardzo utalentowany, nigdy nie dałby rady czegoś takiego napisać. ©



★★★★★
VALERIA PARRELLA
„ZA OTRZYMANE ŁASKI”
WYDAWNICTWO PAUZA 2021

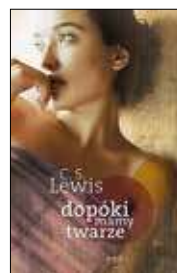
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Stolica imperium, tygiel Europy”. Imponująca opowieść o stolicy zachodniego cesarstwa rzymskiego (a potem królestwa Gotów) i ważnej placówce Bizancjum. Rzecz barwna, oryginalna i bardzo dobrze napisana.



JUDITH HERRIN
„RAWENNA”
REBIS

Rzadziej wznawiana i komentowana, ale z pewnością wybitna powieść autora „Opowieści z Narnii”. Nowe odczytanie mitu o Kupidynie i Psyche. Pracował nad nią niemal całe życie: korzenie pomysłu sięgają jego czasów studenckich.



C.S. LEWIS
„DOPÓKI MAMY TWARZE”
ESPRIT

Kolejny rok to kolejny zestaw świątecznej klasyki w wyborze Tadeusza Żyska. Od Romana Zmorskiego (czerpał z niego Sapkowski), przez Ellen Wood, do zapomnianej Margaret Oliphant, autorki znakomitej noweli „Niewidzialni”.



AUTORZY RÓŻNI
„GWIAZDKA Z DUCHAMI”
ŻYSK I S-KA

Biografia, którą znamy z przekładu z roku 1985, teraz powraca w wersji rozszerzonej i uzupełnionej o wiedzę z nowo odkrytych dokumentów. Są wśród nich odtajnione w 2012 r. odręczne notatki hiszpańskiego króla.

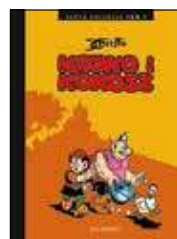
© © **recenzuje Piotr Gociek**



GEOFFREY PARKER
„FILIP II”
PIW

KOMIKS TYGODNIA: „KAJKO I KOKOSZ”

Cudny mikołajkowy prezent dla fanów „Kajka i Kokosza” – przedsięwzięcie „Złota Kolekcja” to przygotowanie kanonicznej wersji przygód zebranych sympatycznego duetu wojów. Kolekcja ma liczyć sześć tomów (w twardej oprawie) i zbierać komplet poddanych renowacji kolorystycznej opowieści. Ozdobą tomu pierwszego („Złoty puchar”)



JANUSZ CHRISTA
„KAJKO I KOKOSZ. ZŁOTA KOLEKCJA”, TOM 1”
EGMONT 2021

jest obszerny kilkudziesięciostroonowy (i kapitalnie zilustrowany) tekst Krzysztofa Janicza „Ramki i kontury”. Jest i wstęp pióra Pauliny Christy, wnuczki artysty i strażniczki jego spuścizny. ©

poleca Piotr Gociek

SPECJALNY DODATEK HISTORYCZNY

JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU TYGODNIKA „DO RZECZY”

40-LECIE
WPROWADZENIA
STANU WOJENNEGO
W POLSCE

MECENASI:



PARTNERZY GŁÓWNI:



eprasa.pl 01277aa98f



PARTNERZY:



Po węgierskim show płyta w Polsce



FOT. MACIEJ GARDON/FILHARMONIA LUBELSKA

– To jest „Toccata e-moll”, skomponowałem ją na początku tego roku. W tej formie skomponowałem już dwa utwory. Jest to jeden z moich ulubionych. Utwór wymaga szybkiej sprawności palców. Jeśli ma się zimne palce, to wtedy ciężiej jest ten utwór zagrać – powiedział Radiu Lublin Miłosz Bachonko. I przyznają Państwo, że

kiedy czyta się te słowa, ma się wrażenie, że wypowiada je poważny, doświadczony muzyk. A w rzeczywistości wypowiada je 12-letni akordeonista, nad którego talentem tak oto rozplywa się – także cytowana przez Radio Lublin – prof. Elwira Śliwkiewicz-Cisak: „To jest fantastyczne, że w tak młodym wieku ma tak niezwykle

poczucie formy muzycznej, dozowania dramaturgii”. I dodaje, że Miłosz przychodzi na zajęcia z panią profesor, mając własne propozycje interpretacyjne, i że ten 12-letni chłopiec z Lublina jest na poziomie studentów.

Tym trudniejszą przeprawę będą z nim mieli pozostali uczestnicy węgierskiego programu „Wirtuozi V4+”,

w którym Miłosz startuje, a w którym to rywalizują ze sobą młodzi muzycy z krajów Grupy Wyszehradzkiej (oraz z Chorwacji). 3 grudnia występ Miłosza pokazać miała TVP Kultura, ale czy do tego doszło (pewnie tak) i jak Miłoszowi poszło (pewnie świetnie), pisząc te słowa, nie mam szansy wiedzieć.

Miłosz Bachonko zakochał się w akordeonie, na którym gra jego tata. Mówi, że urzekły go barwa dźwięku oraz uniwersalność tego instrumentu. Chłopiec intensywnie ćwiczy już od sześciu lat, a pracowitości bez wątpienia towarzyszy talent, o czym świadczą dotychczasowe osiągnięcia, wśród których nie brakuje pierwszych nagród w konkursach międzynarodowych. Bez wątpienia największe sukcesy dopiero przed nim. Najbliższy – własna płyta. Jest już zapowiedziana. © ©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Bezbronna i szczerą

Od dziesięciu lat Adele jest najpopularniejszą piosenkarką na świecie. Jej sukces w dużym stopniu wynika z konfesyjnego charakteru jej piosenek. Na czwartym albumie, „30” (tytuły oznaczają wiek Adele w momencie rozpoczęcia pracy nad daną płytą), wokalistka opisała bolesny okres rozstania z mężem. Opowieść kieruje do dziesięcioletniego syna, Angela, aby zrozumiał przez co przechodziła jego matka w przełomowym okresie. W kolejnych utworach Adele przyznaje się do popełnionych błędów, zmaga się z samotnością i błądzi na drodze ku szczęściu. W finałowej piosence, „Love Is A Game” przyznaje: „Miłość to gra dla głupców”. W swych wyznaniach piosenkarka jest tak bezbronna i szczerą, że trudno tu

mówić o emocjonalnym ekshibicjonizmie.

Adele jest nie tylko wokalistką wybitną, lecz także doskonale obeznaną z historią piosenki. Czerpiąc inspirację z jazzu lat 40., nagrał wytwórni Motown, ale także dokonał Alicii Keys czy Eltona Johna, doskonale wie, jak traumy przełożyć na język porywających melodii. Nie są jej potrzebne wyszukane bity, elektroniczni stroiciele głosu i nadprodukcja. Wygrywa, łącząc autentyczne emocje ze sprawdzoną szkołą nagraniową opartą na udziale muzyków sesyjnych i żywej orkiestry. Wystarczy posłuchać zapierającej dech w piersiach „To Be Loved”, w której Adele osiąga popis wokalne akrobatyki nieustępujący dokonaniom Arethy, Whitney czy Celine. © ©



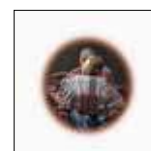
★★★★★
ADELE
„30”
COLUMBIA



★★★★★
STING
„THE BRIDGE”
AGM

Kolejna gładka płyta Stinga. Słucha

się jej przyjemnie, ale bez większych emocji. Wedle autora nicią łączącą piosenki są mosty pomiędzy ludźmi, kulturami i epokami. Niech mu będzie, choć dla mnie więcej tu kładek tęsknie przeczonych ku jego muzycznej przeszłości.



★★★★★
CZESŁAW MOZIŁ
„#IDEOLOGIA-MOZILA”
MYSTIC

Czesław ogłasza jedenaście manifestów o tym, co go uwiiera w naszej rzeczywistości. Sarkastyczne teksty doskonale uzupełniają zaskakujące aranżacje muzyczne. Na płycie goszczą: kontratenor Michał Sławewski, pianistka Hania Rani, discopolowiec Czadoman oraz Stanisław Soyka. © ©

ZACZNIJ DZIEŃ Z TV REPUBLIKA

Polska

NA DZIEŃ
DOBRY



od poniedziałku
do soboty

7:30

#włączprawdę

Oglądaj również na www.tvrepublika.pl

Jak wiadomo, Dumas swój melodramat napisał o kurtyzanie Małgorzacie Gautier. O czym zrobili swój spektakl Piaskowski z Sulimą, nie dowiadujemy się aż do końca. To wcale nie przeszkadza, jeśli ktoś zechce poświęcić dwie godzinki życia na zapoznanie się ze stanem osobowym odnowionego lubelskiego teatru miejskiego, by posłuchać, jak pobrzękuje na pianinku Dymitr Harelau, czy pogapić się na brokatową i cukierkową kurtynę scenografki Anny Met.

W tytułowej roli Marta Ledwoń i jest to powrót w niezłym stylu, nawiązujący do pamiętnej Małgorzaty z kultowego spektaklu według powieści Bułhakowa. Rola sugestywna i pomnikowa, gdzie trzeba – liryczna, gdzie trzeba – cyniczna, no i w finale, gdzie bardzo trzeba – tragiczna. Ledwoń jak zwykle jeńców nie bierze, więc wszystko jej jedno, czy bywalcy salonu mme Gautier to paryska bohema i arystokracja czy raczej podejrzanego typy w mundurach Ludowego Wojska Polskiego, w tym próbujący nadążyć Michał Czyż (w beznadziejnie dziś już płaskiej postaci rozkochanego Armanda Duvala), z Maciejem Grubichem, który ma doczepiony – nie wiedzieć czemu – kucyk i przewieszony przez plecy pistolet maszynowy.

Całe szczęście Ledwoń z Jolantą Rychłowską (Prudencja) i Magdaleną Szejman (Anna) wiedziały lepiej, co należy robić, i wyprowadziły ten tajemniczy wehikuł na bezpieczny grunt sentymentalnej komedii. Bo aktorki w takich przypadkach wiedzą lepiej, w końcu to one będą się męczyć lub błyszczeć w deszczowe wieczory, podtrzymując niełatwy żywot tego arcydzieła, one, a nie ta objazdowa karawana zwana „zespołem realizacyjnym”. A co wiedzą Piaskowski z Sulimą?



FOT. MAURYNIA MAJER

Dama kameliowa i towarzysze



Grzegorz Kondrasiuk

Aleksander Dumas syn napisał w 1848 r. powieść „Dama kameliowa”. W 1958 r. Adam Hanuszkiewicz zrealizował „Damę...” w Teatrze Telewizji. Z zestawienia tych faktów reżyser Jędrzej Piaskowski wraz z dramaturgiem Hubertem Sulimą wyciągnęli zbyt daleko idące konsekwencje, tworząc spektakl „Dama kameliowa 1948”. Można by spytać: Dlaczego 1948, a nie 1958? Można by odpowiedzieć: A czemu nie?

Wybaczcie, zacytuję: „Ta historia miłosna nabiera nowych, nieoczywistych znaczeń” w kontekście roku 1948, który „pozwala też spojrzeć z różnych perspektyw na idealistyczne pobudki komunistów (dziś oceniane jednoznacznie negatywnie): nadzieję na pozytywną zmianę, równość społeczną, postęp czy dobrobyt”. Okazuje się, że romans Dumasa to „uniwersalne marzenie o uwolnieniu się z dławiących jednostkę więzów i podziałów (społecznych, klasowych, politycznych), o wyjściu poza przymus kolaboracji z rzeczywistością i systemem, w jakim przychodzi ludziom żyć tu i teraz, a przede wszystkim o miłości, która przekracza wszelkie ograniczenia i pozwala uwierzyć w lepsze jutro”.

Taki to modelowy przykład banału i bełkotu zapętlonego, próba uzasadnienia pomysłu na inscenizację, która jest świadectwem osobliwego zamroczenia. Aktualnie chodliwa czułość, ta od „Czułego narratora”, zrymowała się twórcom z klasyką melodramatu. Ale koncentracja na czułości zwolniła ich z logicznego myślenia. Oglądamy więc historię o miłości wielkiej, wspaniałej, niemożliwej, z tą różnicą, że w roli amanta obsadzono młodego komunistę. Salon pani Gautier to obszerny pokój, może w jakimś upaństwowionym pałacu, wypełniony zarekwizowanymi dobrem, gdzie wioccy spotykają się z kobietami. Towarzystwo lubi sobie wypić i potańczyć albo znienacka odśpiewać „Międzynarodówkę”. Aby

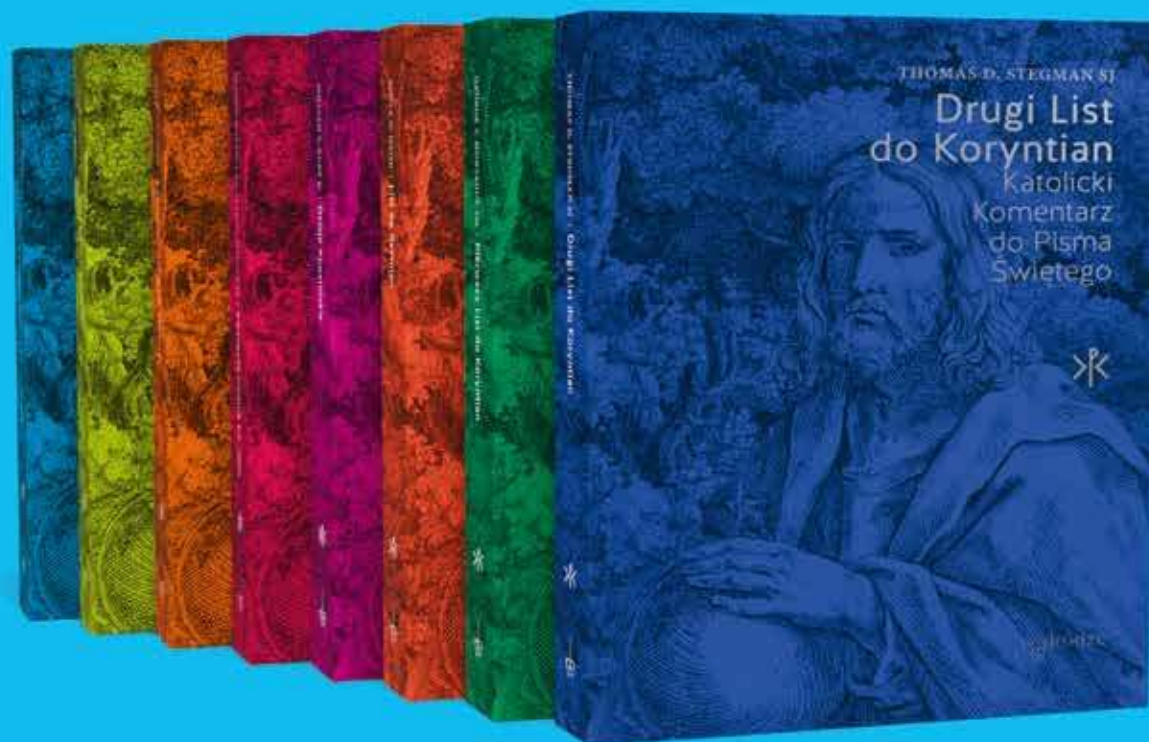
widzowie wszystko dobrze zrozumieli, pokazywane są też kroniki filmowe z epoki. Ale nazwiska i stosunki finansowe są z XIX-wiecznego Paryża, bo oba plany czasowe przeplatają się i nakładają. Luksusowa dziwka odchodzi, rezygnuje z miłości życia na prośbę ojca swego narzeczonego, bo chce uchronić go przed bankructwem. Narzeczonemu ma forszę i szasta nią. W porządku, tylko co to ma wspólnego z powojennymi komunistami w Polsce?

Idąc do teatru, myślałem, że przynajmniej będzie się z czym myślowo pospierać. Może to będzie spektakl o życiu wewnętrznym funkcjonariuszy bezpieki? Mamy tyle wzorców, słynny wiersz „Towarzyszym z bezpieczeństwa” („Niełatwo jest stykać się z wrogiem codziennie / i wciąż być człowiekiem / i kochać niezmiennie”...) i film Ryszarda Bugajskiego „Zaćma”... Albo rzecz o arystokratycznym resentymencie komunistów, zabawnym i groteskowym, o polowaniach, furtach i romansach z aktorami scen narodowych? Nic z tego. Równie ciekawa albo i ciekawsza byłaby „Dama kameliowa 1965”. Gdyby nasi geniusze rzeczywiście interesowali się historią i czytali więcej niż jedną książkę naraz, może by doczytali, że w roku 1965 „Damę...” wystawiono w lubelskim teatrze. Dumas o małej stabilizacji... Albo, idąc śladem filmu z Janem Fryczem i Anną Radwan, „Dama kameliowa 1994” – o Balcerowiczu. Też można, ale niekoniecznie trzeba. Wcale nie trzeba. ©

TEATR IM. J. OSTERWY W LUBLINIE
„DAMA KAMELIOWA 1948”
WEDŁUG „DAMY KAMELIOWEJ”
ALEKSANDRA DUMASA
ADAPTACJA/DRAMATURGIA:
HUBERT SULIMA
REŻYSERIA: JĘDRZEJ PIASKOWSKI
PREMIERA: 5 LISTOPADA 2021 R.

Czytaj Słowo z najlepszym przewodnikiem – seria *Katolicki Komentarz do Pisma Świętego!*

„Oto wreszcie możemy zaoferować przeciętnemu czytelnikowi komentarz bardzo rzetelny, napisany pięknym, zrozumiałym językiem, a zarazem głęboki pod względem treści duchowych”. BIBLISTKA, **Danuta Piekarz**



w|drodze

Dla czytelników „Do Rzeczy” specjalna cena 350 zł za 8 tomów serii (oszczędzasz 90 zł).
Przy zakupie na wdrodze.pl, wpisz kod rabatowy: komentarz *

📱 📺 📧 wdrodze.pl | sprzedaz@wdrodze.pl | tel. +48 61 101 47 27

* oferta ważna do 12.12.2021 r.

RYSZARD GROMADZKI: Czy poselski projekt ustawy o szczepieniach pracowników, firmowany przez posłów Hoca i Rychlika z PiS, to preludeum do wprowadzenia obowiązkowych szczepień przeciw COVID-19 w Polsce? Czy tak należy traktować tę inicjatywę?

ANNA MARIA SIARKOWSKA: Trudno powiedzieć. Nie widziałam, podobnie jak wielu innych posłów, tego projektu ustawy, więc nie jestem w stanie ustosunkować się do jej konkretnych zapisów. Niemniej jednak już same założenia projektu przedstawione przez posła Czesława Hoca są nie do zaakceptowania. Uważam za niegodziwe konstruowanie rozwiązań, w których pracodawcę stawia się przed dylematem, że albo wymusi na swoich pracownikach szczepienia i będzie obsługiwał wyłącznie klientów z aktualnym paszportem immunologicznym, albo będzie podlegał pod obostrzenia i restrykcje, w efekcie których splajtuje. Oznacza to bowiem, że dyskryminacja na tle sanitarnym miałaby być realizowana rękami przedsiębiorców. Wprowadzanie takich zapisów jest absolutnie nie do pogodzenia z respektowaniem gwarantowanych w Konstytucji RP praw i wolności obywatelskich.

Wydaje się, że te zapisy oznaczają, iż pracownicy, którzy odmówią przyjęcia preparatów przeciw COVID-19, będą wyrzucani na bruk. Trudno traktować zapewnienia, że byłoby oni przesuwani na inne stanowiska pracy, inaczej jak kamuflaż. Już teraz praktyka w wielu firmach sprowadza się do propozycji nie do odrzucenia. Szczepisz się albo nie pracujesz...

Oczywiście. Już teraz, gdy nie ma ku temu podstaw ustawowych, w wielu firmach wprowadzana jest segregacja sanitarna. Obecnie jednak pracownicy mają jeszcze możliwość odwoływania się do sądów i przed sądami takie sprawy wygrują. Jeśli zostanie uchwalona podstawa ustawowa, to znacznie trudniej będzie iść do sądu po sprawiedliwość.

PiS stara się zbudować wokół tego projektu szeroki front polityczny. Charakterystyczne, że marszałek Witek nie przeszkadza negocjowanie na temat segregacji sanitarnej Polaków z Lewicą czy Platformą. Projekt PiS ma duże szanse na uchwalenie.

Rzeczywiście opozycji zależy na tym, żeby wprowadzić bolesne restrykcje wobec osób niezaszczepionych. Domagają się wprowadzenia paszportu covidowego jako dokumentu uprawniającego zaszczepionych obywateli do korzystania z usług publicznych. Ci, którzy odmówią szczepie-



Z Anną Marią Siarkowską, posłanką PiS, przewodniczącą sejmowego Zespołu ds. Sanitaryzmu rozmawia Ryszard Gromadzki

Opozycja liczy na zamieszki

nia na COVID-19, nie mogliby korzystać ze swobód, które przecież gwarantuje im konstytucja. Nie będą mogli pójść do pracy, wejść do galerii handlowej, do kina, restauracji, a nawet do kościoła. Politycy opozycji doskonale wiedzą, że wprowadzenie takich regulacji przez PiS będzie fabryką społecznego niezadowolenia. Zdesperowani i postawieni pod ścianą ludzie wyjdą na ulice. To właśnie na zamieszki liczy opozycja. Wiedzą, że w ten sposób wygenerowane niezadowolenie społeczne będzie rządowi trudno opanować. Liczą na destabilizację wewnętrzną w Polsce, która umożliwi im odzyskanie władzy. To stary i dobrze znany scenariusz „ulica i zagranica”, tylko w nieco innym wydaniu, bo starają się go przeprowadzić rękami posłów PiS. To pułapka totalnej opozycji, w którą nie możemy się złąpać.

PiS jednak bnie w tę pułapkę na własne życzenie. Prawdopodobnie zakłada, że poprzez zaangażowanie opozycji w poparcie tak niepopularnego projektu rzuci na nią część odpowiedzialności za społeczne skutki segregacji.

W PiS nie ma konsensusu co do kierunku działań związanych z wprowadzaniem restrykcji wobec osób niezaszczepionych. Opozycja jest w tej sprawie zgodna, bo dobrze wie, że będzie to generować duże niezadowolenie

społeczne, co jest jej na rękę. Przecież nikt po prawej stronie sceny politycznej nie powinien mieć wątpliwości, że totalnej opozycji nie chodzi o dobro Polski i Polaków, tylko o odzyskanie władzy za wszelką cenę. Dlatego przestęgam swoich kolegów z PiS przed wdrażaniem takich rozwiązań. Co więcej, przy naszej obecnej trudnej sytuacji międzynarodowej, związanej przede wszystkim z zagrożeniem militarnym na naszej wschodniej granicy, w sytuacji konieczności toczenia bitew z Unią Europejską w obronie naszej suwerenności, a także wysokiej inflacji zżerającej dochody Polaków, ewentualne zamieszki wewnętrzne byłyby katastrofalne dla naszego bezpieczeństwa wewnętrznego. Pasporyty covidowe nie rozwiążą problemu pandemii, stworzą za to nowe podziały społeczne i zdestabilizują sytuację w naszym kraju. Abstrahując od niedopuszczalności wprowadzania jakichkolwiek przepisów dyskryminacyjnych, powinniśmy pamiętać, że troska o stabilność wewnętrzną i jedność Polaków powinna być równie ważna jak troska o zdrowie publiczne. Polakom dzisiaj bardzo potrzeba jedności. Musimy odłożyć na bok wszelkie spory i szukać tego, co nas łączy. To imperatyw w sytuacji zagrożenia zewnętrznego.

A jeśli się wsłuchać w przekaz ministra Nie-dzielskiego i jego ekipy z resortu, to mamy do czynienia z bardzo antagonizującą polityką – stygmatyzowaniem niezaszczepionych i szczuciem na nich. Tymczasem upadają covidowe narracje: szczepienie nie chroni przed zakażeniem, zaszczepieni transmitują wirusy tak samo jak niezaszczepieni, a kraje, które chlubiły się rekordowym poziomem „wyszczepienia”, odnotowały rekordy zakażeń.

Tym mocniej wzywam polityków do otrzeźwienia, by w końcu zaczęli szukać rozwiązań służących wspólnemu dobru. Wszystkim formacjom politycznym powinno zależeć na jedności Polaków, na tym, by nie dzielić polskiego społeczeństwa, żeby nie doprowadzać do szczucia jednych na drugich, nie siał nienawiści pomiędzy ludźmi, bo to się dla naszego narodu skończy tragicznie. Jeżeli stoimy wobec bardzo poważnego zagrożenia zewnętrznego, to musimy być zjednoczeni, a nie podzieleni. Wzniesienie podziałów wewnętrznych i wzbudzanie nienawiści pomiędzy różnymi grupami społecznymi to działania, które przecież prowadzą do destabilizacji wewnętrznej, na której zależy Rosji. Z dużym niepokojem śledzę aktywność różnych anonimowych kont internetowych, które wprowadzają do debaty publicznej narrację generującą konflikt i społeczne podziały. Przykładowo na takich trollkontach można przeczytać z jednej strony wezwania do wprowadzenia paszportów covidowych i do dyskryminacji osób niezaszczepionych, które jakoby stanowią zagrożenie dla zdrowia publicznego. Z drugiej strony takie konta kolportują informacje, że to osoby zaszczepione są rzeczywistym zagrożeniem, bo produkują wirusa. Powstający chaos informacyjny i szerzenie dezinformacji służą sianiu wewnętrznych niepokojów i niezgody, co destabilizuje państwo. Na tym korzystają nasi wrogowie.

Czy ten chaos informacyjny nie jest pokłosiem forsowania przez rządzących „jedynie słusznej narracji” w sprawie COVID-19, wykluczającej kontrowersje i wszelką debatę?

Argumentacja płynąca z Rady Medycznej, a także z Ministerstwa Zdrowia okazała się niestety na tyle niespójna, że ludzie nie mają już do niej zaufania. Zresztą jak można go oczekiwać, jeśli w oficjalnych komunikatach główny doradca premiera ds. COVID-19 prof. Andrzej Horban oświadczał, że osoby zaszczepione nie będą transmitowały wirusa, bo nie będą zakażone, zaś dzisiaj

okazuje się to nieprawdą, gdyż osoby zaszczepione mogą się zakażyć i transmitować, pozostając istotnym faktorem trwania epidemii? 20 listopada na łamach najbardziej prestiżowego pisma medycznego na świecie, „The Lancet”, ukazał się artykuł w formie listu otwartego z takimi właśnie konkluzjami. Wskazano w nim jednoznacznie, powołując się na wyniki badań naukowych, że segregacja sanitarna i obarczanie winą za trwanie epidemii osób niezaszczepionych nie ma podstaw medycznych.

Wbrew tym naukowym argumentom w Europie realizowany jest zupełnie inny kurs. Skrajnie opresyjny, którego ostatecznym celem jest wprowadzenie przymusu szczepień. W ślad Austrii i Słowacji chcą pójść rządy innych krajów. Czy polski rząd będzie w stanie oprzeć się tej presji?

To nie jest pytanie do mnie, tylko do premiera Mateusza Morawieckiego. Mam wielką nadzieję, że Polska pójdzie jednak własną drogą i nie będzie powielać błędów państw Europy Zachodniej, które implementując chińskie mechanizmy kontroli i nadzoru nad obywatelami, niszczą swój dorobek cywilizacyjny oparty na indywidualizmie, poszanowaniu wolnej woli i godności człowieka. To, co obecnie obserwujemy w tych państwach, możemy określić wprowadzaniem zamordyzmu sanitarnego. Nie ma on żadnych naukowych podstaw medycznych. Mówiąc wprost – wyczajnie nie działa. Restrykcje, które implementuje się w różnych państwach, są coraz bardziej opresyjne względem obywateli, a końca epidemii nie widać. Izrael, przedstawiany jako jedno z państw, które modelowo poradziły sobie z epidemią COVID-19, anulował paszporty covidowe osobom, które zaszczepiły się dwoma dawkami. Są one obecnie traktowane jak osoby niezaszczepione. Ważność paszportu mogą przedłużyć jedynie wtedy, kiedy przyjmą kolejną dawkę szczepionki.

W Izraelu coraz głośniejsze mówi się o konieczności przyjęcia czwartej dawki.

Widzimy zatem, że jest tu stosowana technika ruchomego horyzontu. Nie ma żadnej „ostatniej prostej”. To hasło okazało się klasycznym fake newsem. Widzimy, że zaimplementowana w państwach Europy Zachodniej strategia walki z COVID-19 wcale nie przybliżyła tych państw do końca epidemii. Jest wręcz przeciwnie, bo problem cały czas narasta. W imię walki o zdrowie

publiczne rezygnujemy z poszanowania praw i wolności obywatelskich, będących fundamentem naszego świata. Na naszych oczach powstaje system o charakterze totalnym, zaś Europa staje się więzieniem dla swoich obywateli.

Czy w Polsce mamy klarowną sytuację dotyczącą niepożądanych odczynów poszczepiennych? Czy ten rejestr jest wiarygodny? Na tle danych z innych krajów można mieć co do tego wątpliwości.

Dane, o których pan mówi, rzeczywiście mogą dawać złudne poczucie bezpieczeństwa. System rejestracji niepożądanych odczynów poszczepiennych w Polsce niestety nie działa, jak należy. Wymogi dotyczące zgłaszania do systemu są skonstruowane w taki sposób, że niepożądanych działań zgłasza się bardzo niewiele. Jeśli wpis do systemu musi dokonać lekarz, który szczepił, to w oczywisty sposób nie będzie on zainteresowany raportowaniem niepożądanych działań, gdyż to on kwalifikował do szczepienia. Nie wspominając już nawet o ogromie formalności związanych z procedurą zgłaszania NOP. Lekarze nie mają na to po prostu czasu. To, co powinniśmy dzisiaj zrobić, to zbudować system rejestracji NOP na wzór amerykańskiego systemu VAERS, w którym zgłoszeń dokonują sami pacjenci i ich rodziny. Na późniejszym etapie zgłoszenia te są weryfikowane przez odpowiednią komisję, która orzeka, czy dany przypadek miał związek ze szczepieniem czy nie. Gdyby taki system powstał w Polsce, mielibyśmy na pewno bardziej adekwatny obraz niepożądanych skutków, występujących podczas masowych szczepień przeciwko COVID-19.

Otrzymała pani odpowiedź od premiera w sprawie ewentualnego konfliktu interesów członków Rady Medycznej? Czy to osoby w pełni niezależne od koncernów farmaceutycznych produkujących szczepionki?

Otrzymałam taką odpowiedź, ale nie była ona satysfakcjonująca. Ostatnio jednak w publikacjach prasowych ukazały się informacje świadczące o tym, że kilkunastu członków Rady Medycznej było w przeszłości związanych z koncernami farmaceutycznymi produkującymi szczepionki. Mam nadzieję, że otoczenie pana premiera weryfikowało jednak członków Rady Medycznej pod kątem istnienia ewentualnego konfliktu interesów.



COVID? To się leczy!



Jan Pospieszalski

Jednym z postulatów środowiska lekarzy kwestionujących politykę Ministerstwa Zdrowia w walce z COVID-19 jest żądanie, by uwolnić zawód medyka od sztywnych schematów krępujących możliwości leczenia. W liście otwartym podkreślają, że tylko wolny wybór terapii, po dokładnym przebadaniu chorego, pozwoli im wybrać najlepsze środki, by leczyć pacjentów

Miesiące upływające od momentu ogłoszenia pandemii to czas próby środowiska medyków. Lekarze, którzy przeciwstawili się zamykaniu opieki zdrowotnej i krytykowali izolację pacjentów z rozpoznaniem COVID-19, bez dostępu do badania i bez leczenia przyczynowego, a równocześnie wyrażali sceptycyzm wobec „cudownej” szczepionki, ściągnęli na siebie postępowania dyscyplinarne izb lekarskich. W wezwaniach do Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej cytowano zdanie z listu otwartego niezależnych lekarzy o tym, że SARS-CoV-2 to nie jest „wirus zabójca”, a COVID-19 da się leczyć. Ponieważ globalna narracja opiera się na założeniu, że na COVID-19 nie ma skutecznego lekarstwa, zakwestionowanie tego dogmatu dla establishmentu medycznego było wypowiedzeniem wojny. Podstawą oficjalnej polityki jest uznanie szczepień jako jedynej metody zatrzymania pandemii. Dlatego apele niezależnych

lekarzy o wdrożenie leczenia dostępnymi środkami nie tylko są ignorowane, lecz także zwalczą się je jako groźną, antyspołeczną herezję.

NIE LECZYĆ, CZEKAĆ, AŻ SIĘ POGORSZY

Z każdym kolejnym miesiącem przybywa świadectw lekarzy i pacjentów oraz nowych publikacji o środkach, którymi można leczyć COVID-19. Najczęściej stosowanym przez Polaków środkiem jest chlorowodorek amantadyny, występujący w aptekach pod kilkoma nazwami handlowymi. Przy odrobinie dobrej woli można znaleźć w sieci inne sposoby leczenia. Jednak w oficjalnych schematach leczenia niewiele się zmieniło. Nadal obowiązuje schemat z lutego 2021 r. (aktualizowany w kwietniu i listopadzie), w którym członkowie Rady Medycznej (w tym profesorowie: Flisiak, Horban, Simon) nie zalecają (!) stosowania leków o potencjalnym działaniu przeciwwiru-

sowym, czyli: amantadyny, chlorochiny, hydrochlorochiny, lopinawiru z rytonawirem czy azytromycyny. Nie zalecają też witaminy D3, C i cynku. Stosowanie antybiotyków uzasadnione jest wyłącznie u osób z przewlekłymi chorobami zapalnymi oraz w razie przewlekłej infekcji dolnych dróg oddechowych. Zalecany jest natomiast paracetamol i sprawdzanie saturacji. Ostatnio pojawił się wziewny steryd – budezonid.

Oficjalne zarządzenia nadal skazują pacjentów na izolację i teleporady, bez dostępu do badania przez lekarza. Dziś np. mojemu znajomemu z pozytywnym wynikiem testu urzędniczka sanepidu kategorycznie zabroniła udania się na wizytę lekarską, grożąc poważnymi sankcjami administracyjnymi. Ma czekać, a jeśli się pogorszy, to wezwać karetkę.

WBREW WYTYCZNYM

Rok temu skonfrontowałem w telewizyjnym studiu prof. Andrzeja Horbana i dr. Włodzimierza Bodnara. Pulmonolog z Przemysła, choć bez habilitacji, za to z długoletnią praktyką i tysiącami świadectw wyleczonych pacjentów, przesłuchiwany był w studiu przez szefa Rady Medycznej jak sztubak i młokos. Profesorowi Horbanowi nie zależało, by dowiedzieć się czegoś o metodzie Bodnara. Pytał go o zapisy ustawy o zawodzie lekarza i oficjalne wytyczne (program nadal jest na stronie Vod.tvp.pl, „Warto rozmawiać”). Jeżeli kiedyś będzie prowadzone postępowanie karne przeciw członkom Rady Medycznej za działa-

nie na szkodę zdrowia publicznego, to ignorowanie doświadczeń dr. Bodnara powinno być dowodem w sprawie.

SABOTAŻ LUB GONIMIE KRÓLICZKA

Od momentu, gdy o amantadynie zrobiło się głośno, presja opinii publicznej była tak znaczna, że ministerstwo nie mogło ignorować już metody dr. Bodnara. W grudniu 2020 r. zapowiedziano finansowanie badań przez Agencję Badań Medycznych, ale procedury trwały tak długo, że nabór pacjentów nastąpił w maju, gdy wirus był w odwrocie. Dziś, mimo że mamy pełne oddziały i otwiera się szpitale tymczasowe, badania nadal się ślimaczą. W ośrodkach lubelskim (prof. Konrad Rejdak) i śląskim (prof. Adam Barczyk) w badaniach uczestniczy łącznie nie więcej niż 200 pacjentów. Są też ośrodki, które nominalnie włączyły się do badań, np. szpital w Białymstoku, i choć jest tam pełne obłożenie pacjentów, nie rozpoczęto jeszcze dawkowania amantadyny i placebo. W innym ośrodku, na południu Polski, nie dotarli na czas próbki badawcze. Stworzona przez wolontariuszy infolinia, która zgłaszające się osoby kieruje do regionalnych ośrodków, otrzymuje od pacjentów zwrotne informacje, że nabór chwilowo wstrzymany. Szpital, który mógłby szybko przeprowadzić badanie (MSWiA w Warszawie), do tej pory nie włączył się do badań. Inny duży ośrodek musiał wstrzymać badanie, ponieważ prowadzący projekt, nie chcąc obciążać infrastruktury szpitala, zakupił cztery drukarki poleasingowe do wypełniania ankiet. Ściągnęło to kontrolę, co zablokowało na jakiś czas fundusze.

Jednocześnie przez media (m.in. Radio TOK FM), za pośrednictwem członków Rady Medycznej (m.in. prof. Flisiak) i polityków (m.in. Bolesław Piecha) kolportowana jest czarna legenda o wadliwej metodzie badań i groźnych działaniach ubocznych specyfiku, co można traktować jak próbę nielegalnego nacisku na wyniki badań.

Tymczasem 1 grudnia na stronie renomowanego czasopisma „Nature” międzynarodowy zespół naukowców z Danii, Niemiec i Grecji opublikował bardzo wnikliwe badania molekularne na temat skuteczności amantadyny w zakażeniu wirusem SARS-CoV-2.

TYLKO NOWE LEKI

Spore nadzieje pokładano w próbach uzyskania leku z osocza ozdrowieńców. Kilka dni temu ABM opublikowała komu-

nikat, że badania nie wykazały pozytywnego wpływu preparatu na chorobę COVID-19. Jednocześnie w listopadzie Agencja Oceny Technologii Medycznych zaktualizowała oficjalne zalecenia, rekomendując w pierwszym etapie choroby nowe leki – molnupirawir lub kasirivimab/imdewimab. Terapia tym pierwszym lekiem kosztuje w USA 700 dol. Ten drugi, równie kosztowny, zalecany jest w leczeniu szpitalnym. W oficjalnych schematach leczenia szpitalnego nadal widnieje remdesiwir (koszt jednej terapii ok. 9 tys. zł), ale jego skuteczność według medyków jest dyskusyjna, a doniesienia o niepożądanych działaniach – coraz częstsze.

Trwa wciąż wyścig dużych koncernów w sprawie wynalezienia nowych leków biologicznych. I tu, paradoksalnie, okazuje się, że środki te mają od razu dobrą prasę i szybką ścieżkę dopuszczenia. Gdy jednak we wrześniu grupa włoskich lekarzy i polityków zorganizowała w gmachu Senatu w Rzymie międzynarodową konferencję z udziałem medyków z kilkudziesięciu krajów, którzy dzielili się pozytywnymi doświadczeniami ze stosowania znanych leków, m.in. ivermektyny, hydroksychlorochiny i amantadyny (referat dr. Włodzimierza Bodnara), wydarzenie zostało zignorowane przez media, a treści wystąpień nie wpłynęły na oficjalną politykę poszczególnych krajów i WHO.

MEDYCZNE PODZIEMIE

Oficjalne wytyczne sobie, a coraz szersze grono pacjentów i lekarzy tworzy drugi obieg. Kontakty do lekarzy, którzy nie ulegli psychozie, przyjmują i osłuchują chorych, przekazywane są pocztą pantoflową, a leki, jeśli nie są dostępne w aptekach, można kupić przez Internet. Obszerny opis terapii według dr. Włodzimierza Bodnara znajduje się na stronach przychodni Optima w Przemyślu. Po półrocznym embargo, gdy amantadyna była tylko dla pacjentów neurologicznych, dziś zwykłą receptę może wypisać każdy lekarz. Obok innych specyfików dr. Bodnar zaleca antybiotyk podawany dożylnie lub domięśniowo i stale podkreśla, że pacjent powinien być dokładnie osłuchany przez doświadczonego specjalistę. Zjadliwość wirusa bowiem może powodować poważne zmiany w płucach, choć saturacja będzie w normie, a kaszel mało dokuczliwy. Osobny wątek w rozmowach z lekarzami to szybkie wdrożenie lecze-

nia, przy pierwszych oznakach infekcji. Dlatego od samego początku tak ważny jest kontakt z lekarzem i reagowanie.

NIE TYLKO AMANTADYNA

Sprawdzone metody opisano też na stronach Polskiego Stowarzyszenia Niezależnych Lekarzy i Naukowców (psnlin.pl). Tam zaleca się naproxen, antybiotyk – azytromycynę, witaminę D3 w dawkach nawet 20 tys. jednostek, witaminę C – 2 x 1000. Ponadto n-acetylocysteina (tzw. NAC), kwercetyna, cynk i inhalacje (np. pulmicort). Niektórzy lekarze polecają inhalacje z rumianku. Lekarz z Podbeskidzia ze świetnym wynikiem stosuje wlewy z witaminy C. Preparat nie jest dostępny w Polsce, ale można go sprowadzić z Niemiec. Starsi medycy pamiętają, że wlewy dożylnie z askorbinianu sodu były stosowane przez załogi pogotowia ratunkowego i nie wiadomo, dlaczego (choć można się domyślić) ta rewelacyjna metoda nie jest obecna w oficjalnych schematach leczenia.

LEKARZ POMAGA – NATURA UZDRAWIA

Jest też sporo naturalnych środków i suplementów, którymi można walczyć z infekcją i wspomagać system odpornościowy. Często polecane są preparaty ziołowe: korzeń bertram, ekstrakt z jeżówki (echinacea) lub astragalus. Oprócz tego syrop z sosny, z czarnego bzu czy znany w leczeniu infekcji u dzieci olejek oilbas. Jeden z lekarzy zaświadcza, że uzyskiwał dobre efekty, stosując obok witamin C i D3 w pierwszych dniach infekcji potężne dawki uderzeniowe witaminy A – nawet do 250 tys. jednostek (niezalecana dla kobiet w ciąży). Do tego polecał właśnie echinacę i zwykłą aspirynę. Niektórzy w pierwszych dniach polecają zwykły węgiel. Czytałem też o wzmacniającym Chela-Mag B6 w formie „shotu”.

Opisane powyżej metody cytuję nie jako gotowe recepty, ale chcę pokazać kreatywność i wielość sposobów walki z zarazą. Sporo tych środków zalecanych jest także do ciągłego stosowania, profilaktycznie w sezonach zwiększonego zagrożenia infekcjami od października do kwietnia. Gdy rząd inwestuje miliardy w propagandę szczepień, o profilaktyce wzmacniającej odporność i skutecznych naturalnych metodach mówią lekarze z podziemia.



Łukasz Warzecha z Brukseli

Wiceszef Komisji Europejskiej Věra Jourová uważa, że TSUE nie wychodzi poza granice swoich kompetencji, bo... sam je wyznacza. Czeska polityk niebawem rozpocznie kolejną awanturę polityczną – tym razem nie o sądy, a o media

W głównych budynkach Komisji Europejskiej w Brukseli – Berlaymont i Charlemagne – jest teraz wyjątkowo pusto i cicho. Tam, gdzie kiedyś widać było tłumy urzędników, teraz nie ma nikogo. Korytarzami przemijają pojedyncze osoby. Takie są skutki pandemii i przejścia większości ludzi na pracę zdalną.

Nieliczne miejsca towarzyskich spotkań w europejskiej dzielnicy Brukseli też nie mają się najlepiej. Zwykle tętniący życiem i pełen pracowników KE pub Kitty O'Shea's przy Boulevard Charlemagne, dokładnie naprzeciwko budynku Berlaymont, stoi pustawy. Wiele lokali w okolicy nie wytrzymało covidowego reżimu. A może być jeszcze gorzej, jeśli historia wokół wariantu wirusa nazwanego Omikron się utrzyma. Komisarze jednak pracują normalnie – wszak machina biurokratyczno-polityczna musi działać.

W KE polski rząd ma dzisiaj dwoje najpoważniejszych przeciwników. Na pierwszym miejscu jest Czeska Věra Jourová, wiceprzewodnicząca KE, której portfolio obejmuje wartości i przejrzystość. Na drugim – kolejny wiceprzewodniczący, Frans Timmermans, który w poprzedniej kadencji KE toczył tę samą batalię, którą przejęła po nim Jourová, a obecnie jest naczelnym promotorem radykalnych rozwiązań ekologicznych, skrajnie niekorzystnych dla naszego kraju. To on firmuje fatalny pakiet „Fit for 55”.

Nieco ambiwalentną rolę odgrywa w konflikcie rządu PiS z Brukselą przewodnicząca KE Ursula von der Leyen. Momentami grająca nieprzejednaną, głównie w relacji z Parlamentem Europejskim, nastawionym w większości skrajnie konfrontacyjnie do Warszawy, a chwilami próbująca proponować coś w rodzaju

Czeski granat

FOT. ALDORE MARTIGNON / EUIP

kompromisu. Sprawą nie do końca określoną pozostaje, jak wyglądają zależności pomiędzy von der Leyen a członkami Komisji i do jakiego stopnia przewodnicząca jest w stanie narzucić im własny punkt widzenia. Osoby dobrze zorientowane twierdzą, że widać nacisk na centralizację. Znalazło to swoje instytucjonalne odbicie w przekonstruowaniu struktur KE w taki sposób, że rzecznicy poszczególnych obszarów przestali pracować dla komisarzy, a zostali podporządkowani samej przewodniczącej. Od tej kadencji począwszy, bezpośrednią obsługą medialną danego członka Komisji zajmuje się ktoś z jego gabinetu, ale w celu ujednolicenia polityki informacyjnej rzecznicy zostali wyłączeni spod zwierzchnictwa komisarzy.

NA KOGO GRA JOUROVÁ

Odkładając na bok łzawe opowieści o europejskich wartościach, można sobie zadać pytanie: Na kogo gra komisarz Jourová dzisiaj, gdy w Czechach zmienia

się rząd i premierem nie jest już Andrej Babiš? Z jego partią ANO Jourová była w przeszłości związana. Nominację na komisarza w poprzedniej KE dostała od rządu koalicyjnego, którym kierował socjaldemokrata Bohuslav Sobotka, a Babiš był w nim przez jakiś czas ministrem finansów. Teraz jednak premierem jest centrysta Petr Fiala, stojący na czele gabinetu, w którego skład wchodzi aż pięć ugrupowań. ANO wśród nich nie ma.

Jakie relacje będzie mieć rząd Fiali z czeską komisarz – na razie nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że w razie zmiany władzy w kraju członkowskim nie ma formalnej możliwości odwołania komisarza wysuniętego wcześniej przez inny gabinet, bo zasada jest taka, że członkowie Komisji są „niezależni”. Rząd PiS miał ten sam problem z Elżbietą Bieńkowską.

Na razie – jak mówi „Do Rzeczy” publicysta dziennika „Hospodářské noviny” Martin Ehl – o jakichkolwiek ruchach przeciwko Jourovej nie ma mowy.

Ona sama bardzo lakonicznie oznajmiła jedynie, że oczekuje owocnej współpracy z rządem Fiali. – Wśród polityków nowej koalicji panuje opinia, że Jourová nie była lobbystką Babiša, a w Brukseli ma mocną pozycję, więc chyba nie ma sensu tego tematu ruszać – tłumaczy Ehl. I dodaje, że nowy czeski rząd ma mnóstwo pilniejszych spraw.

To zaś z kolei może oznaczać, że Jourová może swoją posadę traktować – podobnie jak robił to i robi nadal Frans Timmermans – jako okazję do gry na siebie samą i swoją ewentualną przyszłą pozycję w czeskim życiu politycznym.

Wiele osób może się jednak zastanawiać, słuchając Jourovej, na ile w swoim oburzeniu na polski rząd jest szczerą. Na ile jest cynicznym i wyrachowanym politykiem, a na ile ideową bojowniczką. Jedno można powiedzieć na pewno: w swoim parciu do maksymalnie szerokiego rozumienia praworządności i praw człowieka jest bardzo konsekwentna. Stawiała na przykład jako jedna z niewielu opór w Komisji Europejskiej w sprawie zezwolenia Polsce, Łotwie i Litwie na czasowe zaostreżenie reguł dotyczących rozpatrywania wniosków azylowych. Została jednak przegłosowana.

CZESZKA O POLSCĘ

Bezpośrednie spotkanie z panią komisarz pozwala sformułować publicystyczną ocenę. Taka okazja nadarzyła się, gdy pod sam koniec listopada Věra Jourová odpowiadała przez mniej więcej godzinę na pytania grupy polskich dziennikarzy w Brukseli. Najpierw jednak wygłosiła coś w rodzaju płomiennego wyznania wiary w swoją misję. Powtórzyła w nim standardowy argument, że upolitycznienie wymiaru sprawiedliwości tworzy problem dla biznesu, który potrzebuje stabilnego otoczenia prawnego, a także podaje w wątpliwość warunki, w jakich mają być wykorzystywane fundusze unijne.

Wkrótce jednak jej przemowa nabrała osobistego tonu. Jourová poskarżyła się, że jej nieprzejednane stanowisko nie przysparza jej popularności we własnej ojczyźnie, szczególnie że Czesi są znacznie bardziej eurosceptyczni od Polaków, ze swoim prezydentem Milošem Zemanem włącznie. „Ilu ludzi musi jeszcze powiedzieć ministrowi Ziobrze, że robi źle, zanim przyjdzie to do wiadomości?” – pytała retorycznie i nieco zbyt melodramatycznie. Z zaś stwierdziła też, że konstruktywne go partnera po polskiej stronie w sprawie sądownictwa nigdy nie było.

Przywoływała własną historię, która miała ją rzekomo uczulić na kwestię upolitycznienia wymiaru sprawiedliwości. W 2006 r. została zatrzymana i następnie aresztowana na miesiąc pod zarzutami korupcyjnymi. Te ostatecznie się nie potwierdziły, a Jourová za bezzasadne aresztowanie wywalczyła odszkodowanie w wysokości 2,7 mln koron (dziś niespełna pół miliona złotych).

Pani komisarz, mówiąc o sprawie praworządności w Polsce, nie sprawia wrażenia gotowej do kompromisu. Z każdej jej wypowiedzi przebija przeświadczenie o bezwzględnej słuszności jej działań.

Miałem okazję zadać czeskiej komisarz kilka pytań. Zapytałem zatem najpierw o argument pojawiający się zresztą nie tylko po polskiej stronie, że TSUE nieustannie poszerza swoje kompetencje, opierając się na bardzo mglistych i wieloznacznych podstawach, zawartych w unijnych traktatach. Jourová odrzekła, że to unijny trybunał jest uprawniony do interpretacji traktatów, więc nie może być mowy o poszerzaniu przez niego kompetencji poza wyznaczone granice. Wynikało z jej słów, że on sam te granice wyznacza, więc nie może ich naruszyć. W ten sposób Jourová uznaje za nieistniejący jeden z najpoważniejszych problemów UE dzisiaj oraz daje TSUE zielone światło do – praktycznie nieograniczonych – interpretacji traktatów.

Owszem, komisarz przyznała, że TSUE powinien nawiązywać dialog z sądami konstytucyjnymi państw członkowskich (choć trudno powiedzieć, czy miała też na myśli polski Trybunał Konstytucyjny w obecnym składzie), a jego orzeczenia powinny być „bardziej przewidywalne”. Trudno jednak zrozumieć, jaki konkretnie miałby za tymi okrągłymi zdaniami stać.

Zapytałem również, czy Jourová dostrzega jakieś podstawy do krytyki polskiego systemu sądownictwa w takiej postaci, jaką miał on przed 2015 r. Odpowiedź była wstrzemięźliwa. Czeszka przyznała, że wie, iż były problemy, a poziom zaufania do sędziów był niski. Zapewniła, że starała się zrozumieć powody, które stały za polskimi zmianami, i stwierdziła, że sądownictwo reformuje się w wielu spośród krajów członkowskich. Jednak – powiedziała – nie jest w stanie zaakceptować reformy „upolitycznionej”.

Trzecie pytanie dotyczyło postawy sędziów walczących z rządem i ich otwartego zaangażowania politycznego. „Jak pani ocenia taką postawę w kontekście

oczekiwania sędziowskiej bezstronności i obiektywizmu?” – zapytałem.

Odpowiedź była krótka i wymijająca: „Sędziowie muszą zachowywać wysokie standardy obiektywizmu i niezależności” – odparła po prostu Jourová.

Trudno uznać, że czeska komisarz podchodzi do sytuacji w Polsce uczciwie – jakkolwiek krytycznie ocenilibyśmy działania ministra Ziobry – skoro nie dostrzega jawnego zaangażowania politycznego części sędziów, otwarcie walczących z rządem, i kwituje to okrągłą formułką. Aby przywołać choćby niedawne pojawienie się na uroczystościach Komitetu Obrony Demokracji sędziów Żurka i Juszczyszyna.

Co w takim razie pani komisarz proponuje i czego właściwie by oczekiwała? – pytali polscy dziennikarze. Konkretna odpowiedź nie padła. Jourová zapewniła, że nie chodzi o proste przywrócenie stanu rzeczy sprzed 2015 r., ale też powiedziała, że nikt Polsce nie proponuje konkretnych rozwiązań. Choć jasne jest, jej zdaniem, że trzeba się pozbyć elementów „upolityczniających” system, a więc przede wszystkim obecnej Krajowej Rady Sądownictwa i Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego.

TERAZ MEDIA?

Jeśli ktoś sądzi, że sprawa polskiego sądownictwa czy węgierskiego układu politycznego wypełnia ambicje Czeszki, to grubo się myli. Jak dowiedzieliśmy się od źródeł w Komisji, gabinet pani komisarz pracuje nad projektem, który może wywołać kolejne polityczne trzęsienie ziemi. Ma to być „akt wolności mediów”, określający, w jaki sposób media, zwłaszcza publiczne, mają pozostawać poza wpływem polityków. Regulacja miałaby się zajmować również kwestiami przejrzystości reklamy publicznej, a więc zasilenia mediów publicznymi pieniędzmi, a także jawnością struktur właścicielskich. Przy czym nie chodzi tutaj o niewiążącą deklarację, ale o pełnoprawny akt prawny w postaci dyrektywy lub rozporządzenia – takie przynajmniej są ambicje Jourovej. Nasz rozmówca pytany, czy nie obawia się, że KE zostanie – słusznie – oskarżona o wychodzenie poza granice swoich kompetencji, wydawał się nieporuszony. „Tak, oczywiście, będzie taka awantura” – usłyszeliśmy.

Może się zatem okazać, że polski – i nie tylko – rząd czekają jeszcze kolejne poważne bitwy z samozwańczą panią szeryf „praworządności” z Pragi.

System diabła

W 1942 r. C.S Lewis opublikował słynne „Listy starego diabła do młodego”, w których pokazał, jak może działać przebiegły Krętaacz. Kilkadziesiąt lat później w podobny sposób – za pośrednictwem listów – sportretował szatana André Frossard. Bohater „Systemu diabła” jest równie przewrotny, ale bardziej nowoczesny, nie pisze listów, ale prowadzi bloga. Dysponuje globalną wizją, którą bezwzględnie wprowadza w życie. Jest prawdziwym biesem na miarę XXI w. Poniżej fragment powieści.

Książę, wiem, że lubisz od czasu do czasu oprócz surowych raportów i naszych komentarzy otrzymywać coś w rodzaju żywego świadectwa, napisanego najlepiej przez któregoś z nich. Dodaję jeden list do gazety, dotyczący sprawy, której poświęciłem tyle uwagi. Nie muszę dopowiadać, że nigdy się on w niej nie ukazał.

„Szanowny Panie, jestem stałą od lat czytelniczką pańskiej gazety i dlatego postanowiłam podzielić się z nią i czytelnikami straszliwym przeżyciem z ostatnich dni. Mam 25 lat i niedawno wróciłam do domu ze studiów w Rzymie, dokąd wyjechałam uczyć się włoskiego i poznawać kulturę włoską, a co może wydać się zaskakujące, skończyłam na teologii. Nie chcę tu opisywać dokładnie, jak to się stało. Moje losy i moje nawrócenie na katolicyzm, rzecz rzadka i nietypowa, nie są przedmiotem tego listu. Wspominam o tym jedynie z dwóch powodów: po pierwsze, na pewno patrzę na pewne sprawy inaczej niż reszta mojej rodziny, po drugie, długi pobyt za granicą sprawił, że nie uczestniczyłam w podejmowaniu decyzji, która była przyczyną napisania tego listu. Co do nawrócenia, to powiem tylko, że nie nastąpiło ono wskutek niczego w rodzaju doświadczenia mistycznego lub nagłego pobudzenia emocjonalnego. Nie należę do tych, którzy wszędzie chodzą i mówią, że Jezus nas kocha. Myślę, bo nie zamierzam tu przedstawiać stanów swojego ducha, że to efekt wyżęzonego namysłu i studiów. Moim pierwszym celem było zbadanie przesłania ideowego zawartego we freskach namalowanych w kaplicy Sykstyńskiej przez Michała Anioła. Odkryłam, że mistrz faktycznie realizował



Paweł Lisicki

Fragment książki „System diabła. Blog z piekła rodem”, która ukaze się wkrótce nakładem wydawnictwa Fronda

ściśle przygotowany, religijny plan, którego autorami byli papiescy teologowie. Od nitki do kłębka – studiując dzieło Michała Anioła i przeżywając piękno, doszłam do stojących za nim teologów, a jeszcze dalej, do samej świętej doktryny. Jeszcze raz: chcę pokazać, że moje nawrócenie miało charakter przede wszystkim intelektualny, co pozwoliło mi, jak wierzę, precyzyjnie opisać sens zdarzenia, o którym postanowiłam napisać.

Tydzień temu wróciłam wreszcie po czterech latach pobytu w Rzymie na stałe do Amsterdamu. Mama powiedziała mi, że dobrze się składa, bo jutro wszyscy spotkamy się u babci, żeby ją pożegnać. Babcia miała 90 lat. Wiedziałam, że jest w ciężkim stanie, że traci świadomość, nie zawsze mówi do rzeczy. Kiedy dzwoniłam do niej na urodziny z Włoch, często gubiła wątek, raz nawet nie do końca była w stanie zrozumieć, z kim

rozmawia. Różnie z tym bywało. Zdarzało się też, że zachowywała całkowitą trzeźwość umysłu, mówiła z sensem, pytała, jak mi się podoba w Rzymie. Z wykształcenia była historykiem sztuki, pracowała długie lata w Rijksmuseum, a potem w prywatnej galerii, znała się doskonale na malarstwie. Kochała włoskich mistrzów renesansu, opowiadała mi o swoich pobytach w Rzymie, o ukochanych malarzach, przypominała anegdoty z ich życia. Strasznie się ucieszyła, kiedy powiedziałam jej, że piszę pracę o »Sądzie Ostatecznym« w kaplicy Sykstyńskiej. »Jaki to jest wielki mistrz, wielki mistrz« – westchnęła, kiedy pojawiło się imię Michała Anioła. »Bez katolicyzmu nie da się go zrozumieć, babciu. On mówi zrozumiałym językiem tylko do tych, którzy znają jego duchowy świat« – powiedziałam, byłam akurat po pierwszej swojej mszy i po komunii



świętej. »Tak uważasz? No, nie myślałam o tym w ten sposób« – czułam, że zaintrygowałam babcię, ale najwyraźniej nie chciała o tym rozmawiać przez telefon. Być może zresztą znowu dopadło ją, jak było to coraz częściej, zniechęcenie.

Nie zrozumiałam tylko wtedy, był wtorek po południu, co to znaczy, że idziemy pożegnać babcię. Miała wprawdzie 90 lat, ale mimo wszystko nie miałam wrażenia, że znajduje się aż w tak krytycznym stanie. Przez głowę przemknęła mi myśl, że może zabierają ją do szpitala. Nie zdążyłam się dopytać, tuż po powrocie telefony dzwoniły jak oszalałe, dziewczyny wyciągnęły mnie na miasto. W środę ledwo się obudziłam i od razu poszliśmy z matką i ojcem. Towarzyszył nam jeszcze mój brat, co mnie znowu zaskoczyło. Wiedziałam, że praktycznie nie bywa u babci. Nie lubił jej. »Ona pachnie starością, jest zbutwia-

Studiując dzieło Michała Anioła i przeżywając piękno, doszłam do stojących za nim teologów, a jeszcze dalej, do samej świętej doktryny

ła i nieświeża – mawiał. – Nudzi mnie, nic nie rozumie, nie zna się ani na YouTube, ani na Facebooku. Nie wiem, o czym z nią rozmawiać. Kiedy przychodzę, siedzimy w ciężkim milczeniu i staramy się nie zerkać zbyt często na zegarki«. Dlaczego zatem z nami szedł? Może to dziwne, ale naprawdę w drodze o babci nie rozmawialiśmy. Mama pytała o moje studia, o to, co teraz zamierzam. Ojciec strasznie się krzywił. Nie mógł pojąć, że ktoś pochodzący z liberalnej, postępowej, otwar-

tej, protestanckiej rodziny z Amsterdamu mógł nawrócić się na katolicyzm. Uważał to za dziwactwo, rodzaj wybryku, może niezwykłą formę ekstrawagancji. Brat, kiedy rok temu mu o tym powiedziałam, wybuchnął śmiechem i puknął się w czoło. Ale w drodze też o tym nie było mowy. Ot, o pogodzie, o koleżankach i która gdzie pracuje. Ojciec, chyba żeby mnie rozdrażnić i zbadać moje katolickie zaangażowanie, rzucił, że jedna z nich się wyoutowała i mieszka w komunie kobiecej. Nie odpowiedziałam.

Na miejscu, nie było to daleko od naszego mieszkania, drzwi otworzyła nam siostra mamy, czyli druga, młodsza córka babci. »Już tu jest« – szepnęła do mamy i wskazała ręką na dobrze zbudowanego mężczyznę, całkiem łysego lub też wygolonego na tyso, z czarnymi, przenikliwymi oczami i wydatnym, mocno osadzonym nosem. Zaskoczyło mnie, że

■ doktor Rijd, tak się do niego zwracano, siedział tam w białym kitlu. Babcia najwyraźniej znajdowała się w stanie lekkiego pobudzenia, ale, co mnie uderzyło, na pewno zachowywała świadomość. Poznała mnie od razu, rzuciła się na moją szyję, przytuliła. »Moje dziecko, ale ty urosłaś, ale ty urosłaś, jak się cieszę, że ciebie widzę, nie spodziewałam się, ale ty jesteś piękna. No, zmieniłaś się w tym Rzymie. Fascynujesz się papieżem i Kościołem, no to rzadkość, wielka rzadkość, chciałamby o tym z tobą porozmawiać, bardzo bym chciała, ale chyba już jest za późno«. Wzruszyła się, zaczęła płakać, nie chciała puścić moich rąk.

Dopiero po chwili mama i ciocia wzięły ją pod ręce i niemal siłą oderwały ode mnie. »Proszę państwa – odezwał się do nas doktor Rijd – cieszę się, że wszyscy tu jesteście. Przypomnę, że powodem naszego spotkania jest pożegnanie obecnej tu pani B., która wcześniej wyraziła gotowość i chęć opuszczenia nas. Ponieważ cierpi ona na daleko idącą niestabilność emocjonalną, uznałem, że dla jasności sytuacji poproszę o zdanie rodzinę i ta jednogłośnie – tu zwiesił głos i popatrzył się na nas znacząco – zaakceptowała tę sytuację. Co się tyczy zatem kwestii prawnej, mamy pełną jasność: zarówno zainteresowana, jak i rodzina zgodnie stwierdzają wolę wygaśnięcia. Chwilę odczekał, a skoro nikt mu nie przerywał, to uznał to za zgodę. »Proszę, napijmy się« – teraz wskazał ręką na stolik, gdzie stały filiżanki z kawą. Babcia siedziała nieco z boku, na fotelu, miała przed sobą niebieską filiżankę z motywami ptaków. Wszyscy sięgnęli po kawę. Przechyliłam się wtedy do brata i szepnęłam mu do ucha: »O co tu chodzi?«. Zdziwił się. »Matka ci nie powiedziała? Żegnamy babcię. Jesteśmy przy jej eutanazji. Doktor Rijd zabędzie po wszystkim zorganizował. Zaraz będzie po wszystkim, w tej filiżance z kawą była solidna dawka środków nasennych. Za chwilę babcia uśnie i wtedy doktor wstrzyknie jej truciznę do krwi«. Zdrętwiałam. Jak to uśnie, powtórzyłam w myślach to dziwne stwierdzenie, jak to wstrzyknie?! W pokoju zapanowała przedziwna cisza. Nikt nie śmiał powiedzieć ani słowa. Oczywiście wszystkich skierowane były ku babci, która trzymała w rękach filiżankę, potem podniosła ją do ust i zaczęła wolno pić. Trwało to wszystko, wydawało mi się, całe wieki. Ręce jej wyraźnie drżały i filiżanka nie mogła trafić do ust. »Jeszcze, jeszcze,

proszę nie przerywać« – ciszę rozproszył mocny i stanowczy głos doktora. »Proszę stosować się do moich wcześniejszych uwag, tak żeby wszystko dokonało się zgodnie z regulaminem. Przypominam, że wszystko dokonuje się za powszechną aprobatą«. Głos brzmiał niemal życzliwie, tak jakby doktor zwracał się do małego, niesfornego dziecka.

Babcia spojrzała nagle na wszystkich z rozpaczą w głosie, zobaczyłam w jej oczach łzy, przez chwilę przesuwając po nas wzrokiem. Ostatecznie spoczęła na mnie. »I ty też jesteś z nimi« – te słowa przeszły mi serce. Nie dlatego, żebym była z nią jakoś szczególnie zżyta, ale być może ze względu na moje nawrócenie, na wiarę, którą odzyskałam w Rzymie, ogarnęło mnie upiorne, przerażające uczucie, że uczestniczę w jakimś ohydny, potwornym, niehumanitarnym rytuale. No bo jak to jest? Gdybym nie wiedziała, po co się tu zebraliśmy, i dowiedziałabym się, że w szklance babci jest środek, który ma ją uspić, a potem doprowadzić do śmierci, rzuciłabym się jej na pomoc. Wytraciłabym filiżankę z ręki, obroniłabym. Babcia żyła i to życie domagało się – czyż nie? – obrony.

**Matka ci nie powiedziała?
Żegnamy babcię. Jesteśmy
przy jej eutanazji. Doktor Rijd
wszystko zorganizował. Zaraz
będzie po wszystkim**

Nie byłam w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa. Chciałam wołać i zerwać się z krzesła, rzucić jej na ratunek, ale głos uwiązł mi w krtani. »Prześtaś, co robisz, nie godzi się, rozpraszasz ją. Pozwól jej odejść z godnością, nie przeszkadzaj« – to był syk mojej mamy. Ale ja nic nie robiłam. Siedziałam jak oghuszona, nie byłam w stanie przeszkodzić. Myślę, że może w moich oczach babcia odkryła jednak coś innego, coś, co przyciągnęło jej uwagę. Mimo że po wypiciu kawy ze środkami nasennymi powinna była opaść bezwładnie na fotel, nadal zachowywała świadomość i nadal nie chciała upadać. Mijał czas, w pokoju atmosfera robiła się bardzo nerwowa, wszyscy patrzyli na siebie niecierpliwie. Paraliż zaczął ustępować. »Babcu, jak to, ja nic nie wiedziałam, to straszne«

– wyszeptałam, czym ściągęłam na siebie gniewny wzrok obecnych. »Co ty wyrabiasz, idiotka, głupia katoliczka?!« – warknął brat. Ojciec popatrzył surowo, jakby chciał powiedzieć: »A nie mówiłem?«. »Proszę państwa, zmuszony jestem dodać nieco środków nasennych, nie byłem uprzedzony, że w pokoju pojawi się dawno niewidziana wnuczka, której obecność tak poruszy zmarłą, to jest jeszcze żywą« – doktor nie tracił rezonu. Wstał, podszedł do babci, do pustej filiżanki wlał coś z flakoniku i zalał kawą z imbryczką na stole. »Zaraz, zaraz, ja muszę to wypić, ja już wypilałam, nie chcę tyle kawy, potem nie mogę spać, kawa w nadmiarze mi szkodzi, lekarze mówili, że mam potem potwornie wysokie ciśnienie i że to niebezpieczne« – babcia zaczęła się wzbraniać i, jak to czasem bywało, mówić od rzeczy.

Poczułam stalowy uścisk ręki brata na ramieniu. Ojciec wstał, stanął między mną a babcią i patrząc mi głęboko w oczy, powiedział: »Nie rozumiem ciebie. Daj jej odejść spokojnie. Długo nad tym pracowaliśmy. Ona ciągle zmieniała zdanie. Kiedy wreszcie zrobiła to, co trzeba, pojawia się i wszystko bierze w łeb. Tak będzie dla wszystkich lepiej. Dla niej też. Jeśli ją kochasz, to nie oponuj. Zawsze mówiłem, że katolicyzm ma w sobie coś okrutnego. W imię abstrakcyjnych ideałów posyła się ludzi na śmierć. To jest twoja sprawa, twój wybór, ja go szanuję, ale ty uszanuj nasz. Nie dodawaj jej cierpienia«. Kątem oka zobaczyłam, że babcia wzbrania się wziąć filiżankę do ręki. Zrobiła taki ruch, jakby ją chciała od siebie odepchnąć. Nie wiem, dlaczego tak się stało. Czy powodem była moja obecność? A może za moją sprawą obudziła się w niej pamięć? Dość, że zachowywała się tak, jakby o swojej wcześniejszej decyzji całkiem zapomniała.

Wtedy doktor Rijd schwycił filiżankę, przysunął się do babci i nachylony nad nią powiedział: »Proszę pić. To konieczne. Trzymajmy się przepisów i uzgodnień. Żadnych wybryków«. Najwyraźniej nie miała do tego przekonania, odwróciła twarz i ścisnęła usta. Wtedy usłyszałam głos matki: »Mamo, nie rób nam tego, nie możesz, to dla twojego dobra, będziesz przecież bardzo cierpieć, to trzeba zrobić śmiało. Nie bój się, wypijesz i zaśniesz, i nie będzie już nic więcej. Kochamy ciebie, musisz to zrobić. Poza tym, mamo, wiesz, ile to wszystko kosztuje. Zrób to dla siebie, dla naszej rodziny, dla



PAWEŁ LISICKI
„SYSTEM DIABŁA.
BLOG Z PIEKŁA
RODEM”
FRONDA 2021

społeczeństwa. Nie opieraj się, doktor Rijd zapewnia, że nie będzie bolało». Nie wiem, dlaczego nic wtedy nie powiedziałam, po prostu nie miałam siły. Patrzyłam jak sparaliżowana. Czy coś wtedy myślałam? Może tylko marzyłam, żeby to się jak najszybciej skończyło. A może nawet nie, po prostu miałam w głowie wielką, nieogarnioną pustkę.

Babcia pod wpływem słów mamy odwróciła twarz i otworzyła usta. Wzięła z rąk doktora filiżankę, chwilę patrzyła na nią, a potem wreszcie podniosła i dwoma szybkimi haustami opróżniła. Znowu w pokoju zapanowała cisza. Zza okna można było słyszeć daleki odgłos karetki pogotowia, potem dzwonki rowców, stłumione głosy przechodniów. Ktoś się zaśmiał, ktoś przeklął. Niebo było całe zasnuwane chmurami, lada moment miał zacząć siać deszcz. Nie umiem powiedzieć, ile to trwało. Kilka minut, kilkanaście?

W pewnym momencie zauważałam jedynie, że babcia osunęła się w fotelu, głowa bezwładnie opadła jej na oparcie, ręce zwisały po obu bokach poręczy. Doktor Rijd podszedł do niej, nachylił się. Potem złapał jej rękę za przegub i zapewne zbadał puls. »Doskonałe. Wszystko w porządku. Śpi. Nareszcie«.

Jednak te słowa nie mogły osłabić panującego napięcia. Zresztą nie jestem pewna, czy mówię tu prawdę. Może inni odbierali to inaczej? Może tylko ja nie mogłam do siebie dojść po tym, co zobaczyłam? Z drugiej strony czułam na sobie spojrzenia ojca i brata, porozumiewali się między sobą i najwyraźniej widzieli we mnie główny powód zamieszania.

»Panie doktorze, proszę działać zgodnie z umową« – wtrąciła się ciocia. »Bądźmy poważni, tu jest Amsterdam, tu jest XXI w. Nie ulegajmy popędowi i emocjom«. Ciotka była psychoterapeutką, miała własną prywatną przychodnię. Teraz myślę, że to ona pierwsza wpadła na pomysł dokonania tego aktu. A może się mylę i jednak pomysłodawcami byli rodzice?

Doktor Rijd spokojnym, miarowym krokiem wyszedł do drugiego pokoju, z którego przyniósł granatowy neseser. Położył go na stole, otworzył i wyciągnął strzykawkę. Następnie nałożył na nią igłę, wyjął fiolkę z płynem, napełnił strzykawkę. »Proszę państwa, zaraz bę-

dzie po wszystkim« – uśmiechnął się lekko. Uchwycił mocno strzykawkę i podszedł do babci. »Prosiłem ją, żeby nie zakładała bluzki z długim rękawem« – powiedział niezadowolony. »Czy któraś z pań mi pomoże?« – popatrzył wymownie najpierw na ciotkę, potem na mamę.

»Oczywiście, rozumiem, już« – mama poderwała się z sofy i podeszła z boku do fotela.

Wzięła bezwładną rękę babci, podniosła ją do góry i zaczęła zdejmować bluzkę. Robiła to wyjątkowo niezdarnie. Może mimo wszystko też była zdenerwowana? A może bluzka była wyjątkowo oporna? Dość, że zamiast ściągnąć ją jednym, śmiałym ruchem i odsłonić ramię, na co czekał cały czas lekarz, zaczęła się z babcią niemal szamotać. I wtedy stało się to. Babcia się obudziła. Nagle spod powiek błysnęło spojrzenie, trzeźwe i przytomne. Widząc szamoczącą się z jej bluzką mamę, najpierw nie wiedziała, o co chodzi. Próbowwała się wyprostować w fotelu. »Mari, co robisz?« – użyła zdrobnienia jak kiedyś w dzieciństwie. »Mamo, co się dzieje, ty nie śpisz? Przeszkadzasz strasznie. Błagam, miejmy to już za sobą. Bardzo ciebie kochamy, bardzo«. Mówiąc to, nie przestawała się szamotać z niesfornym rękawem. Babci najwyraźniej wróciła pamięć i zrozumiała, o co w tym wszystkim chodzi. Dostrzegła doktora Rijda ze strzykawką, ojca, ciotkę, swojego brata, mnie. »Dość, nie chcę, zostawcie mnie, nie chcę umierać, cofam słowo, chcę żyć«. Normalnie miała głos wysocki, ale dźwięczny i ładny. Teraz jednak, czy to dlatego, że była zmęczona, czy przerażona, z jej ust wyszedł ni to skrzek, ni to pisk. »Odejdźcie ode mnie, nie chcę odchodzić, nie chcę«.

»Proszę państwa, nie wolno ulegać chwilowym zmianom nastroju osoby nieświadomej. Sprawy zaszły za daleko. Mam jej podpis na właściwym dokumencie, państwo też wyrazili swoją zgodę. Proponuję kontynuować proces« – spokojny głos doktora Rijda był jak olej wylany na wzburzone fale morza. Babcia już nic nie mówiła, tylko próbowała wstać. »Proszę o pomoc, inaczej nigdy tego nie skończymy« – znowu zawołał doktor. »Co tak siedzisz i się gapisz? Pomóż do cholery« – moja mama krzyknęła do ojca. Ten wstał natychmiast, podbiegł do fotela i z całych sił złapał babcię

za ramiona. Ścisnął jak w imadle i nie pozwolił wstać. Wtedy mama, już nie próbując zachować delikatności, z całych sił zaczęła ciągnąć rękaw bluzki, tak mocno, że go w końcu wyrwała. »Nie, nie, nie, nie róbcie tego, to morderstwo« – jestem pewna, że właśnie to wykrzyczałam. Tego jednego słowa szukałam od początku, kiedy tylko znalazłam się w tym pokoju, »morderstwo«, wykrzyczałam je z całych sił, z całej mocy, z całego serca, ono jedno było tu na miejscu, ono jedno pasowało do faktów, ono jedno było prawdziwe i dlatego czułam, że mam obowiązek je wypowiedzieć. Było to jedyne pasujące słowo, tak, to przemówiła sama rzeczywistość. Ale nie mogłam już nic więcej zrobić, przyskoczył do mnie brat, położył mi dłoń na ustach, a drugą ręką złapał mnie za szyję, tak że nie mogłam się ruszyć. Brat od dawna uczył się wschodnich sztuk walki, był nawet mistrzem w jednej z nich, mieszały mi się nazwy i nie potrafiłam powiedzieć, czy to dżudo, czy taekwondo, czy jeszcze coś innego.

Mama już na nic się nie oglądała. Zerwała do końca rękaw i chwyciła miotającą się rękę. Ojciec trzymał babcię w kleszczach za ramiona. Ciotka podskoczyła i unieruchomiła jej nogi. Złapała je w ręce i przycisnęła całym ciałem do podłogi. Wtedy doktor Rijd ze spokojem i opanowaniem lekko się pochylił, przetarł wacikiem skórę na ramieniu, a potem wbił igłę w ciało babci. Wolno i metodycznie przyciskał strzykawkę, aż cała zawartość znalazła się we krwi. »Jeszcze chwila i będzie po wszystkim« – dodał uspokajającym głosem. Faktycznie, to nie mogło trwać dłużej niż sekundy. Dostrzegłam, że powieki opadły i ciało zwiotczało. Doktor Rijd przyłożył palce do szyi babci i zawyrokował: »Po wszystkim, proszę puścić zwłoki«. Ojciec, matka i ciotka odstąpili od fotela, w którym siedziała całkiem nieruchomo i sztywno babcia, a właściwie już tylko jej zwłoki. Brat też uwolnił moje usta. »Kretynka, mogłaś wszystko popsuć. To prawda, że religia czyni człowieka całkiem nieodpowiedzialnym« – wyszczał».

Książę, zadbałem o to, żeby list nigdzie się nie ukazał. Wysyłam go, bo nic lepiej nie obrazuje naszej potęgi i zmiany, jaka nastąpiła w tym społeczeństwie. Za cenę anonimowości zdobyliśmy pełną kontrolę. Oddany, z całą piekielną uniżonością, Asmodeusz.



Atak na szkołę pożarniczą



Grzegorz Majchrzak

Strajk w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej, a zwłaszcza jego pacyfikacja były komentowane nie tylko w kraju, lecz także za granicą. Miały też one swoje reperkusje, nie tylko zresztą w postaci zwyczajowych w takiej sytuacji oświadczeń

Pod koniec 1981 r. podchorążowie z Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej zastrajkowali w obronie statusu swej uczelni. Nie chcieli się oni zgodzić na przemianowanie jej z cywilnej (choć podległej MSW) na wojskową, obawiając się, że mogą być wówczas wykorzystani przeciwko społeczeństwu. Strajk w WOSP w dniach 25 listopada–2 grudnia 1981 r. oraz jego siłowe, wręcz pokazowe zakończenie (m.in. przy użyciu śmigłowca i komandosów) były przedmiotem komentarzy nie tylko krajowych, lecz także zagranicznych. Czasem do tych wydarzeń nawiązywano

zresztą na wysokim i – z dzisiejszego punktu widzenia – zaskakującym szczeblu. W dniach 1–4 grudnia 1981 r. w Moskwie odbywało się posiedzenie komitetu ministrów obrony narodowej państw członkowskich Układu Warszawskiego. Polskę reprezentował na nim wiceminister obrony narodowej i szef Sztabu Generalnego ludowego Wojska Polskiego Florian Siwicki, który od swego przełożonego Wojciecha Jaruzelskiego otrzymał do wykonania delikatną i ważną misję. Polegała ona na przekonaniu partnerów z państw socjalistycznych do uwzględnienia w komunikacie końcowym uzupełnienia zawie-

Tłumienie strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej – desantujący się ze śmigłowca członkowie oddziałów specjalnych MO FOT. JERZY KOŚNIK/PAP



pożarnictwa i wyraził wotum nieufności dla rządu. W przeciwnym razie zagroziło przeprowadzeniem strajków, łącznie z generalnym. Liczy również na wzrost fali niezadowolenia ze stanu zaopatrzenia, zwłaszcza przed świętami Bożego Narodzenia. Mimo rysowania sytuacji w PRL w czarnych barwach nie udało mu się – ze względu na opór ministra obrony Rumunii – uzyskać tak pożądanego przez Jaruzelskiego uzupełnienia komunikatu końcowego.

DUŻA DETERMINACJA

Nie poddawał się jednak i popierany przez sowieckich generałów dalej próbował przekonywać sojuszników do wyrażenia na nie zgody. Ci jednak – mimo złagodzenia wspomnianego uzupełnienia – nie chcieli go sygnować. Co więcej, po radzie z Budapesztem rumuńskiego ministra poparł również jego kolega z Węgier. Przytomnie zauważał on, że to nie jest właściwe forum dla takiego komunikatu. Jako argument przywoływał również wydarzenia związane z pacyfikacją WOSP. Mówił: „Strona węgierska nie bardzo rozumie, komu ma się pomóc, ponieważ po zamknięciu szkoły pożarnictwa aresztowano 20 kontrrewolucjonistów, którzy następnie zostali zwolnieni”.

Strajk w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej znalazł się m.in. w raportach wschodnioniemieckiej STASI. W tym z 30 listopada 1981 r. odnotowywano podjęcie strajku przez podchorążych. Wymieniano także ich prawdziwe i rzekome postulaty. Niezbyt precyzyjnie stwierdzano, że żądali oni „stosowania przepisów ustawy o szkolnictwie wyższym do szkół pożarnictwa MSW”, po czym dodawano – niezgodnie z prawdą, ale zapewne na podstawie przekazu polskich towarzyszy – „wyprowadzenie Straży Pożarnej z obszaru kompetencji MSW”. Informowano również, że młodzi strażacy wyrazili solidarność ze strajkującymi studentami Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu.

Co nie powinno nikogo dziwić, funkcjonariusze STASI zorganizowanie strajku w WOSP przypisywali – w kolejnym raporcie z 7 grudnia – Solidarności. Jak przy tym twierdzili, rzekomo miało to „dowodzić coraz większej determinacji wroga, który zamierza rozszerzyć swoje wpływy także na organy MSW PRL”. Z drugiej jednak strony pisali: „Antysocjalistyczna akcja w oficerskiej

szkole [pożarniczej] w Warszawie musi być oceniana jako wyraz eskalacji ogólnokrajowego strajku uczelni wyższych”. Zauważali też determinację młodych strażaków, którzy po pacyfikacji strajku w WOSP kontynuowali swój protest. Stwierdzali: „Duża część studentów wyższej szkoły oficerskiej straży pożarnej bierze udział w akcjach strajkowych na

**Funkcjonariusze STASI
zorganizowanie strajku
w WOSP przypisywali
– w raporcie z 7 grudnia
– Solidarności**

innych uczelniach”. Fachowcy ze STASI opisywali również prawdziwe i rzekome działania władz Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność” po pacyfikacji strajku w strażackiej uczelni i jej rozwiązaniu przez Radę Ministrów, w tym stwierdzali, że „podniosła żądanie prowadzenia szkoły [pożarniczej] jako prywatnego przedsiębiorstwa”.

ZAINTERESOWANIE USA

O strajku w WOSP informowali oczywiście również amerykańscy dyplomaci. I tak np. konsulat w Poznaniu 3 grudnia 1981 r., a więc już po jego pacyfikacji, stwierdzał, że Solidarność w stolicy Wielkopolski „zdawała się trzymać dystans wobec strajków studentów i oficerów pożarnictwa”. Z kolei dzień później ambasada w Warszawie w raporcie, którego tytuł – „Reżim i »Solidarność« prężą mięśnie” – mówił dużo, stwierdzała: „W ślad za likwidacją przez milicję strajku w szkole kadetów pożarnictwa i rozproszaniem studentów reżim i »Solidarność« ogłosili ostre deklaracje”. Jak przy tym dodawano, komentując posiedzenie Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczących zarządów regionów w Radomiu, które odbyło się dzień po „odblokowaniu” strażackiej uczelni: „Związek oskarżył rząd o wykorzystywanie aktualnych negocjacji do wprowadzania ludzi w błąd i atakowanie związku”. I komentowano, niezbyt trafnie zresztą: „Najwyraźniej akcja milicji w szkole pożarnictwa w dniu 2 grudnia br. nie pomogła porozumieniu, ale w obecnych warunkach wydaje się ona raczej wymówką niż główną przyczyną przerwania

rającego sugestię możliwości interwencji wojskowej sojuszników w Polsce.

Nakreślając trudną sytuację PRL-owskich władz, stwierdzał m.in.: „Rozwiązanie szkoły pożarnictwa było małym sukcesem, na który kontrrewolucja reaguje bardzo ostrymi żądaniem dalszej izolacji partii i osłabienia władzy państwowej. Chce pokazać swoją siłę i zademonstrować, że idzie za nią cały polski naród”. I dodawał dramatycznie, wprowadzając zresztą sojuszników w błąd: „Kierownictwo »Solidarności« zwróciło się do Sejmu, aby odwołał decyzję rządu o rozwiązaniu szkoły

■ procesu negocjacji”. W innej informacji ambasady – z 10 grudnia 1981 r. – odnotowano z kolei działania prymasa Polski Józefa Glempa, m.in. w celu „stonowania inwektyw politycznych, które przybrały na sile od czasu okupowania przez milicję szkoły pożarnictwa”.

Stanowisko wobec pacyfikacji zajęły Stany Zjednoczone. Zaprezentował je rzecznik Departamentu Stanu, który 3 grudnia, podczas konferencji prasowej, stwierdził: „Ubolewamy, że polskie władze uznały za stosowne użycie siły. Wyrażamy nasze zadowolenie z tego, że – jak wynika z doniesień prasowych – nikt nie odniósł przy tym obrażeń”. I dalej mówił: „Mamy nadzieję, że ten incydent nie wpłynie ujemnie na wysiłki rządu,

(m.in. na podstawie relacji jednego z podchorążych, który w momencie, kiedy się ona rozpoczęła, przebywał poza szkołą, w jednym z mieszkań w jej pobliżu), jak i komentarze władz PRL i opozycji po niej (m.in. informowano o treści protestu Komitetu Założycielskiego Związku Zawodowego Funkcjonariuszy MO przeciwko takiemu sposobowi zakończenia tego protestu), a nawet artykuły z prasy (zarówno tej kontrolowanej przez władze, np. „Żołnierza Wolności”, jak i z prasy solidarnościowej). Dzień po pacyfikacji na antenie Radia Wolna Europa Andrzej Borowicz (w „Panoramie Dnia”) stwierdzał m.in.: „Tematem dnia pozostaje środowowy atak milicji na Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarnictwa [powinno być: Pożarniczej – przyp.

Towarzyszył temu komentarz „bacznego obserwatora” wydarzeń w Polsce, w którego ocenie owo zestawienie „znakomicie uwydatnia sprzeczności obecnej polskiej sytuacji”. Jak tłumaczył: „Z jednej strony kierownictwo pod naciskiem partyjnych ultrasów usztywnia swe stanowisko, z drugiej strony rząd jest zmuszony ubiegać się o pomoc ze strony demokratycznych krajów Zachodu, a to dlatego, że kryzys aprowizacyjny ogarnął de facto cały blok socjalistyczny”.

Analizowano również, np. na antenie Głosu Ameryki, wpływ pacyfikacji WOSP na rozwój wydarzeń w Polsce. Stwierdzano m.in.: „Jednakże ta najnowsza konfrontacja, choć odbyła się bez rozlewu krwi, ilustruje jeszcze raz niekończące się komplikacje, jakie towarzyszą niezwykle gwałtownym zmianom społecznym i politycznym zachodzącym w Polsce”. I dalej: „Jeszcze nie tak dawno nie obyłoby się w takiej sytuacji bez obrażeń fizycznych i więzienia ludzi. Tym razem jednak, choć zastosowano siłę, odwożono podchorążych w stronę ich domów”. Jak przy tym dodawano: „Być może jest to mała pociecha dla tych, którzy przegrali walkę o zmianę statusu paramilitarnego na status cywilny, co pozwoliłoby im korzystać z nowej ustawy reformującej wyższe uczelnie. Jednakże podchorążowie mogą teraz utrzymywać, że dali wyraz swoim żądaniom, przy wyraźnym poparciu ze strony tłumu warszawiaków obserwujących atak milicji”.

W zachodnich mediach do strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej długo nie przykładano większej wagi. Wszystko zmieniła pacyfikacja szkoły. Opisywano zarówno jej przebieg, jak i komentarze władz PRL i opozycji po niej

Kościół i »Solidarności« zmierzające do pokojowego rozwiązania problemów, w obliczu których stoi obecnie Polska”. Mniej dyplomatyczni byli związkowcy. Zdecydowanego poparcia studentom Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej udzieliły dwie francuskie centrale związkowe. Ogólnokrajowy Związek Strażaków (działający w ramach Chrześcijańskiej Konfederacji Francuskich Pracowników) wystosował nawet depeszę do Ambasady PRL w Paryżu, w której „potępił represje zastosowane wobec studentów WOSP”, a także wyraził poparcie dla żądania podchorążych „wyłączenia ich uczelni spod nadzoru wojskowego”.

Z kolei ogólnokrajowa Federacja Związkowa Pracowników Samorządu Terenowego (należąca do lewicowej Francuskiej Demokratycznej Konfederacji Pracy) – jak relacjonowano na antenie Radia Wolna Europa – „dała publicznie wyraz pełnemu poparciu dla walki tych warszawskich kadetów i wyraziła życzenie, by strażacy byli uzależnieni od lokalnych czynników samorządowych oraz by nazwy ich stopni służbowych nie utożsamiały się z rangami wojskowymi”.

W zachodnich mediach do strajku w WOSP długo nie przykładano większej wagi. Wszystko zmieniła pacyfikacja szkoły. Opisywano zarówno jej przebieg

G.M.] w Warszawie. Ta bezprzykładna na taką skalę akcja milicji, która gdyby nie rozsądna reakcja społeczeństwa i »Solidarności« mogła mieć nieobliczalne skutki, znajduje się na czołówkach prasy i doniesień agencji prasowych”.

Ujęcia z pacyfikacji WOSP można było obejrzeć w zachodnich telewizjach, np. 3 grudnia brytyjska telewizja wyemitowała specjalny reportaż na ten temat. Komentując to wydarzenie, stwierdzano w nim – niezbyt zresztą precyzyjnie – że „był to pierwszy wypadek użycia na większą skalę sił wobec członków »Solidarności« od chwili jej powstania”. Temat ten był obecny oczywiście również w prasie. I tak np. we francuskim dzienniku „Le Quotidien de Paris” pisano, że interwencja milicji przeciwko młodym strażakom „stanowi najpoważniejszy incydent od chwili podpisania gdańskich układów”. Podobne oceny można było znaleźć w prasie brytyjskiej, m.in. „Financial Times” czy „Guardian”. Wracając do niezależnego francuskiego dziennika, to na jego łamach podkreślano, że „PZPR już nie chce iść na żadne ustępstwa”, a z drugiej strony „władze PRL w związku z nadciągającą zimą zwróciły się do Stanów Zjednoczonych o pilną pomoc w wysokości 200 mln dol. na zakup zboża i paszy”.

PRÓBA SIŁY JARUZELSKIEGO

Z kolei we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” pisano przytomnie: „Od miesięcy już we wzajemnych pełnych wymówkach ostrzeżeniach była mowa o niebezpieczeństwie konfrontacji. Obecnie wydarzyło się w Polsce coś, co wskazuje na to, jakby się ona rzeczywiście rozpoczęła”. Z kolei w „Rheinische Post” stwierdzano, że Wojciech Jaruzelski zdecydował się na „próbę siły”. Tym razem jeszcze bezkrwawą, ale jak dodawano, wręcz proroczo: „Jednak ewentualne przyszłe tego rodzaju operacje mogą mieć mniej łagodny przebieg”. I dalej: „Nadzieje na stworzenie w Polsce frontu porozumienia narodowego skurczyły się po raz kolejny. Wyczerpana Polska w dalszym ciągu balansować więc będzie na linie”. Jak się okazało, nie trwało to długo, w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. Jaruzelski i jego podwładni postanowili „przywrócić porządek” w PRL...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

Już 3 mln młodych czytelników obdarowanych książkami

Czytanie dzieciom może zdziałać cuda! Doskonale zdaje sobie z tego sprawę Instytut Książki, który w ramach projektu „Mała książka – wielki człowiek” podarował maluchom i ich rodzicom już ponad 3 mln Wyprawek Czytelniczych. Jak otrzymać darmową Wyprawkę z wyjątkową lekturą, dostosowaną pod względem formy i treści do potrzeb dziecka?

Dorośli powinni zdać sobie sprawę, że odpowiednia literatura kształtuje przyszłego czytelnika. A w misji tej mogą liczyć na Instytut Książki, który od 2017 r. prowadzi kampanię pod hasłem „Mała książka – wielki człowiek”. W ramach programu zostały już rozdane ponad 3 mln Wyprawek Czytelniczych – dla niemowląt, przedszkolaków i pierwszoklasistów.

– Za tymi 3 mln – czyli efektem ilościowym – stoją jednocześnie bardzo konkretne wartości, które udało nam się dzięki temu projektowi „wpuścić w obieg” w całej Polsce – podkreśla Łukasz Jarocki, rzecznik prasowy Instytutu Książki oraz koordynator kampanii „Mała książka – wielki człowiek”. Co to za wartości?

– Wspólne czytanie książek od najmłodszych lat rozbudza wyobraźnię, zapobiega uzależnieniu od smartfona czy komputera, a także buduje więź emocjonalną pomiędzy rodzicem i dzieckiem, daje poczucie bliskości, miłości i pozwala na rozwijanie umiejętności poznawczych, takich jak ciekawość świata, kreatywność – wymienia Jarocki.

BEZPŁATNA WYPRAWKA CZYTELNICZA

W projekt, który jest realizowany przez Instytut Książki ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, zaangażowanych jest ponad 350 szpitali i oddziałów położniczych, prawie 6,7 tys. bibliotek publicznych oraz przeszło 13 tys. szkół podstawowych – zarówno publicznych, jak i prywatnych – w całej Polsce. Tym samym kampania mająca na celu wspieranie czytelnictwa stała się jednym z największych tego typu programów w Europie i na świecie.

– Wyprawki mamy trzy – mówi koordynator kampanii „Mała książka – wielki człowiek”. – Pierwszą otrzymują jeszcze



w szpitalu rodzice nowo narodzonych dzieci. Jest to książka „Mama, tata i ja! Hop-la-la!”. Drugą Wyprawkę z książką „Pierwsze czytanki dla...” mogą otrzymać dzieci w wieku przedszkolnym, które odwiedzą jedną z bibliotek uczestniczących w projekcie. Oprócz lektury maluchy otrzymają także Kartę Małego Czytelnika. Za każdą wizytę w bibliotece mali uczestnicy akcji otrzymują naklejki, a po zebraniu 10 zostają uhonorowani imiennymi dyplomami, potwierdzającymi ich czytelnicze zainteresowania. Ostatnia Wyprawka, która zawiera książkę „Pierwsze abecadło”, jest przeznaczona dla dzieci, które już samodzielnie sięgają po książki i próbują swoich sił w czytaniu.

– Jednym z najważniejszych zadań kampanii Instytutu Książki „Mała książka – wielki człowiek”, której razem z mężem mamy przyjemność być ambasadorami, jest przypomnienie o korzyściach

wynikających ze wspólnego, rodzinnego czytania już od pierwszych dni życia dziecka. Dlatego książki są obecne w życiu naszych synów od urodzenia. Pochylając się nad opowiadaniem, powieścią czy wierszem, wchodzimy z dzieckiem we wspólny świat, idziemy za bohaterem opowieści. W ten sposób pokazujemy, co jest dla nas istotne, wytwarzamy bliskość, przeżywamy wspólne doświadczenie. I skoro wkładamy już energię w ten szlachetny rytuał, to warto też zwrócić uwagę na to, jakie treści przekazujemy, jakimi obrazami są opatrzone, bo każde słowo i każdy obraz ma na nasze dziecko ogromny wpływ. Książki, które w ramach kampanii „Mała książka – wielki człowiek” trafiają do dzieci, to piękna literatura dobrana do wieku odbiorcy nie tylko treścią, lecz także szatą graficzną – mówi Emilia Komarnicka-Klynstra.

O warstwę ilustracyjną książek zadbali wybitni polscy artyści – Elżbieta Wasiuczyńska, Józef Wilkoń i Iwona Chmielewska. A uzupełnieniem każdej książki jest adresowany do opiekunów dziecka poradnik, który przypomina o korzyściach wynikających z czytania dzieciom oraz podpowiada, skąd czerpać nowe inspiracje czytelnicze.

Działania bookstartowe wzmacnia promocja kampanii w mediach tradycyjnych i Internecie, dzięki której Instytut Książki corocznie dociera do kilku milionów Polaków z przesłaniem, że warto czytać dzieciom już od kołyski. A że warto, pokazują badania...

WZROST CZYTELNICTWA

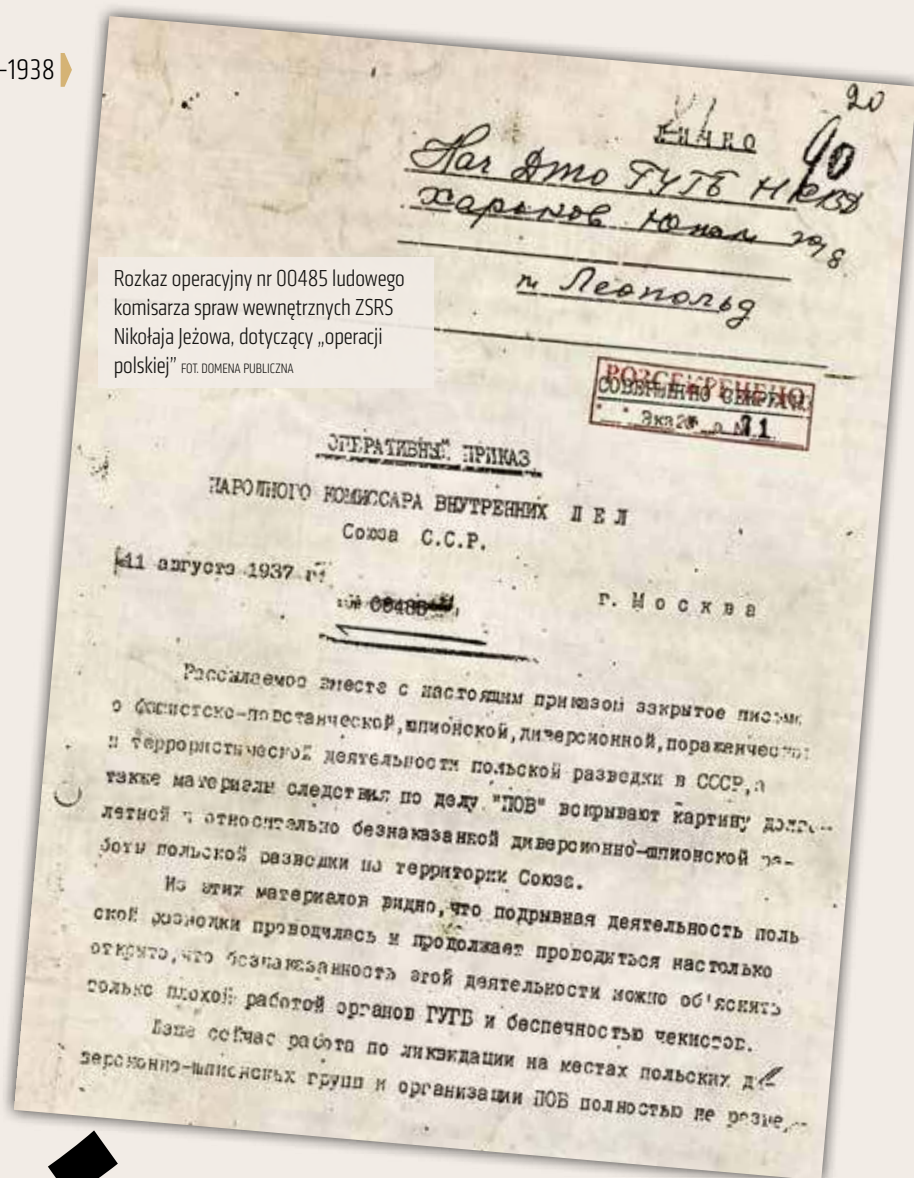
Jak wynika z raportu Biblioteki Narodowej, w 2020 roku przeczytaniem w całości lub we fragmencie jednej książki mogło pochwalić się 42 proc. Polaków. Oznacza to wzrost o 3 punkty procentowe w porównaniu z rokiem 2019 i najlepszy wynik od sześciu lat! – Jesteśmy przekonani, że projekt tak jak „Mała książka – wielki człowiek”, wsparte wieloma innymi inicjatywami, mają wpływ na to, że czytamy więcej – ocenił Łukasz Jarocki, dodając z nadzieją, że wskaźnik ten będzie z roku na rok wzrastał.

Na rozkaz Stalina i szefa NKWD Jeżowa z 11 sierpnia 1937 r. zaczęto ścigać, aresztować i rozstrzeliwać lub wysyłać do łagrów wszystkich Polaków w całym Związku Sowieckim od Ukrainy i Białorusi, przez Moskwę i Lenin-grad, aż do dalekiej Syberii. Wcześniej, od wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r., prześladowano mniejszość polską pozostającą w granicach ZSRS w ramach walki z kontrrewolucją, akcją antykułackiej, z oskarżeń o dywersję, sabotaż, szpiegostwo i podobnie wymyślone przestępstwa. Wiele polskich rodzin nie przeżyło wielkiego głodu na Ukrainie na początku lat 30. i deportacji do łagrów w całej Rosji i do Kazachstanu w połowie lat 30.

W „operacji polskiej” nie chodziło już jednak o rzekome przestępstwa, ścigano i eksterminowano Polaków za samo polskie pochodzenie, za polsko brzmiące nazwiska, z samego donosu, że ktoś jest Polakiem. Rozkaz Stalina i Jeżowa wyraźnie nakazywał całkowitą likwidację polskiej mniejszości w ZSRS jako grupy niebezpiecznej, związanej z wrogiem państwem sąsiedzkim. Aresztowanych Polaków od razu rozstrzeliwano lub wysyłało do łagrów po szybkim wyroku specjalnych „trójek”, mających być namiastką sądu, natomiast ich rodziny rozbijano i rozpraszano po całym Związku Sowieckim. Żony i matki przesiedlano, odbierając im dzieci i skazując je na so-wietyzację w specjalnych domach dziecka. Mniejszość polska miała być ostatecznie zlikwidowana i w żaden sposób nie miała się odrodzić.

PRAWDA UJAWNIONA PRZEZ MEMORIAŁ

Prawda o „operacji polskiej” i rozmiarach tej zbrodni, o szczegółowym, ludobójczym dekreście Stalina i Jeżowa długo pozostała nieznana. Była poniekąd przykryta wielkim terrorem Stalina, który jednak obejmował głównie jego konkurentów do władzy, dawnych towarzyszy z czasów Lenina, wybijających się komunistów, przywódców wojskowych, którzy mieli za sobą siłę armii, nie dotyczył na początku szerszych grup ludności. W ramach tej czystki Stalin zlikwidował też Komunistyczną Partię Polski w 1937 r. i wielu jej działaczy przebywających w ZSRS. Rozbił ją z tego powodu, że była prześląknięta elementem szpiegowskim, jak to określał. Odtąd ważniejsze było nie to, że ktoś jest komunistą, lecz to, że jest Polakiem.



Rozkaz operacyjny nr 00485 ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSRS Nikołaja Jeżowa, dotyczący „operacji polskiej” FOT. DOMENA PUBLICZNA

Śmierć na Białorusi



Marek Klecel

Bezprecedensowa akcja mająca wszelkie znamiona ludobójstwa na Polakach została przeprowadzana przez ZSRS w czasach pokoju, w latach 1937–1938, gdy wojny jeszcze nic nie zapowiadało

„Operacja polska” została odkryta dopiero na początku lat 90. przez niezależnych historyków rosyjskich ze stowarzyszenia Memoriał, gdy na krótko otwarto rosyjskie archiwa. Oni pierwsi ujawnili rozkaz nr 00485 Jeżowa z 1937 r. i określili rozmiary zbrodni, której dokonano w ok. półtora roku. Oni też podali, że z ok. 150 tys. aresztowanych wtedy Polaków rozstrzelano ponad 111 tys., co zostało udokumentowane dokładną listą ofiar. To było pięć razy więcej ofiar niż w wojennej zbrodni na polskich oficerach w Katyniu. Obecnie oblicza się, że liczba zamordowanych podczas „operacji polskiej” może sięgać nawet 200 tys.

Największe skupiska Polaków w ZSRS były na Ukrainie i na Białorusi. Tam też „operacja polska” pochłonięła wśród nich najwięcej ofiar. Dziś, dzięki temu, że archiwa ukraińskie są łatwiej dostępne, oblicza się, że podczas tej antypolskiej operacji, kierowanej przez kolejnych szefów NKWD na Ukrainie – Wsiewołoda Balickiego, Izraiła Leplewskiego i Aleksandra Uspienkiego – aresztowano i skazano ok. 56 tys. Polaków, z czego 47 tys. rozstrzelano, 8,6 tys. zesłano do łagrów i więzień.

Na Białorusi trudniej określić rozmiary tej zbrodni, bo archiwa rosyjskie są już niedostępne, ale i z poprzednich informacji wiadomo, że w akcji NKWD kierowanej najpierw przez Borysa Bermana, a później Aleksieja Nasiedkina z prawie 20 tys. aresztowanych 18 tys. rozstrzelano, a 2 tys. skazano na łagry i więzienia.

DRAMAT NA GRANICY

Najpierw całą strefę przy granicy polsko-sowieckiej o szerokości 50 km postanowiono „oczyścić” z ludności polskiej. Miał to być pas umocnień na wypadek wojny, tzw. Linia Stalina, który miał wtedy obsesję okrażenia ZSRS przez wrogie państwa z Zachodu i ze Wschodu, strefa ochronna sowieckiego państwa, w której nie powinny zamieszkiwać żadne niepewne czy wrogie elementy, jak nazwano wtedy Polaków. Stalin naprawiał w ten sposób nieudany eksperyment Lenina, który w ramach rewolucyjnej polityki narodowościowej postanowił tworzyć odrębne okręgi narodowe i tam skupiać, czyli spędząć siłą, mniejszości narodowe. Tak powstała najpierw na Ukrainie Kachlewszczyzna koło Dołbysza, a później na Białorusi Dzierżyńszczyzna, położona wokół Kojdanowa, przemianowanego na Dzierżyńsk, niedaleko Mińska. Celem tworzenia tych okręgów nie było kultu-

wanie odrębności narodowej, lecz szybsza sowietyzacja, sprawniejsze tworzenie kołchozów, zarządzanie i ogólna kontrola. Eksperyment się nie udał. Powstał tylko większy opór przed sowietyzacją lub sprytnie jej obchodzenie. Stalin odrzucił ten projekt, ale miał już ułatwione następne zadanie, bo powstały już większe polskie skupiska. Jeżow i jego lokalni wykonawcy mogli łatwiej ścigać i skazywać Polaków. Na Białorusi najszybciej rozbito Dzierżyńszczyznę położoną najbliżej polskiej granicy.

Najpierw całą strefę przy granicy polsko-sowieckiej o szerokości 50 km postanowiono „oczyścić” z ludności polskiej

Jeżow, wówczas główny „gorliwy kat Stalina”, był na ogół zadowolony z wydajnej pracy swych komand, które dostarczały wyznaczone odgórnie w dokładnych liczbach kontyngenty Polaków do więzień i przed oblicze zabójczych kolegów. Niepokoiła go tylko sytuacja na Białorusi. Nie mógł zrozumieć, dlaczego mimo tej akcji i likwidacji Polaków zamieszkałych blisko granicy stale przez nią przenikają nowi polscy szpiecy. Po pół roku „operacji” zastanawiał się głośno na naradzie NKWD, wygłaszając, mobilizując zapewne, tyradę do swych podwładnych: „Weźmy operację przeciw Polakom. [...] Liczymy, że osadzono już 80 tys. ludzi. Widać więc, że co najmniej 20–30 tys. uciekinierów jest jeszcze gdzieś na wolności. Nie mówię o uciekinierach innych narodowości, a jedynie o Polakach. [...] Jak to możliwe, żeby 58 tys. przeszło białoruską granicę i osiedliło się na Uralu, w swierdłowskim obwodzie, w Kazachstanie, na zachodniej Syberii. [...] Gdzie ich [szpiegów] nie ma, zbieramy ich dzisiaj na pęczki. Jak żyliśmy dziesiątki lat, nie domyślając się, że to podstawowa baza szpiegowska polskiego wywiadu?! Teraz wszystkie wywiady świata, jeśli muszą zdobyć jakiś materiał, zwracają się do tych Polaków. Polacy okazali się najlepszymi szpiegami nie na inne kraje, a na ZSRS. Polacy wiedzą wszystko. O czym to świadczy? Nie mamy granicy. Jaka to, u diabła, granica, jeśli 58 tys. ludzi w krótkim czasie przeszło? To nie granica, a sito. A próbujcie do tej samej, przepraszam za wyrażenie,

zasranej Polski, trzech groszy niewartej ani naszej guberni, spróbujcie do niej przerzucić 58 tys. Ona wam pokaże – nikogo nie przepuści, wszystkich powystrzela”.

JEDEN Z 58 TYS. SZPIEGÓW

Dziś taka wypowiedź szefa NKWD brzmi dość humorystycznie, ale pokazuje całą przewrotność sowieckiej propagandy, manipulację, a zarazem pełną jawność zbrodniczej operacji. Wcześniej sfabrykowano tzw. aferę POW, czyli Polskiej Organizacji Wojskowej, którą założył Piłsudski w czasie pierwszej wojny i rozwiązał po 1920 r. Teraz tysiące „polskich szpiegów” było wyłapywanych z oskarżenia o współpracę z tajną w ZSRS siatką tej nieistniejącej organizacji. Trzeba przyznać, że jacyś Polacy do ZSRS jeździli, oprócz komunistów z KPP peregrynujących do ojczyzny światowego proletariatu także ci zwabieni propagandą sprawiedliwego ustroju, który zapewni im lepszy byt, pracę i godziwą zapłatę, a także ci Polacy, którzy mieli krewnych za sowieckim kordonem, powstałym po traktacie ryskim z 1921 r. Wtedy w granicach ZSRS pozostało ok. miliona Polaków. Najczęściej rodacy, którzy wyjechali i chcieli powrócić, poznawszy z bliska tamtejsze życie, ale powrotu już nie mieli. Ciężko doświadczył tego Jan Kowalczyk z powiatu brzeskiego, który z trzema kolegami postanowił we wrześniu 1938 r. odwiedzić ZSRS. Przeszli 250 km pieszo i zostali schwytani na granicy. Uznano ich od razu za szpiegów. „Szybko wzięli mnie na przesłuchanie – relacjonował później Kowalczyk – ze złością wypytывali, kto mnie zwerbował, jakie dał mi zadanie, z kim mam się spotkać, pseudonim, hasło? [...] Kiedy zacząłem mówić prawdę, rzuciło się na mnie trzech, okrutnie zbili, potem nałożyli kajdanki, przełożyli kij między ręce i kolana i powiesili głowę w dół na dwóch zamocowanych krzesłach. Okazało się, że tak im jest wygodniej bić zmoczonym sznurem i gumą po piętach i nogach. Ta tortura nazywała się »wiatrakiem«, bo człowiekiem można było kręcić, jak się chce. Kiedy straciłem przytomność, oblali mnie wodą i odnieśli do celi. Tak się ciągnęło [...] przez pięć dni. Następnej nocy zrobili mi jeszcze jeden »wiatrak«, po którym oprzytomniałem dopiero w celi. Całe ciało miałem w ogniu, odzież mokra od krwi”.

W takim śledztwie nie chodzi o nic innego, tylko o wymuszenie zeznania, przyznanie się do winy, choćby niepopołnionej. Według rewolucyjnej sowieckiej

■ doktryny prawniczej autorstwa naczelnego prokuratora Andrieja Wyszynskiego przyznanie się do winy jest wystarczającym dowodem w sprawie. Jan Kowalczyk, gdy już mu połamano żebra, wiedział, że nie przeżyje, jeśli się nie przyzna do tego, czego wymagano. „Pod dyktando [...] świadomie napisałem kłamstwo, wymyśliłem nazwisko agenta, który mnie »zwerbował« – po prostu wymieniałem nazwisko starszego stójkowego z naszej wsi. Na pytanie, jakie otrzymałem zadanie, odpowiedziałem: »ustalić rozlokowanie obiektów wojskowych«. W śledztwie podpowiedziano mu konkretne szczegóły, obiekty i pseudonim. Uratował życie, na początku 1939 r. dostał dziesięć lat łagrów. W ten sposób wykreowano 58 tys. polskich szpiegów.

DYSPUTA O OCHRONIE GRANIC

Na Białorusi do przeprowadzenia „operacji polskiej” Borys Berman powołał specjalną 400-osobową grupę NKWD, przeznaczoną do ścigania Polaków, ale przy okazji także białoruskiej inteligencji (w końcu 1937 r. rozstrzelano 130 białoruskich działaczy, nauczycieli, naukowców). Grupa ta „utrzymywała w śmiertelnym strachu całą republikę – pisał już współcześnie białoruski historyk Aleksander Wałachanowicz – i powodowała owdnięcie zwierzęcym przerażeniem każdego obywatela, który w każdym czasie mógł być aresztowany i oskarżony bez sądu i śledztwa na karę śmierci lub uwięziony w obozie koncentracyjnym”. Operacja przebiegała sprawnie, po myśli sowieckiego zwierzchnictwa, jednak Jeżow nadal niepokoił się sprawą granicy polsko-białoruskiej. Wezwał na rozmowę w tej sprawie Bermana. Z tego spotkania zachował się osobliwy dokument NKWD. Może on wiele wyjaśniać ze złożonego mechanizmu władzy sowieckiej w czasach wielkiego terroru, gdy Stalin zdobył już władzę absolutną i stał się najwyższą i ostateczną instancją zarówno prawodawczą, jak i karną, egzekucyjną w ścisłym sensie tego słowa, uosabiającą najwyższy wymiar sprawiedliwości sowieckiej. W tle dziwnej rozmowy Jeżowa i Bermana, w której wzajemnie asekurowali się przed najwyższą odpowiedzialnością, jest stale obecna postać Stalina, jego oko, ucho i trudny do przewidzenia wyrok.

„Uciekinier przekracza granice. Co z nim robicie?” – pyta Jeżow. „Gdy uda się go złapać, wsadzamy. Najważniejszych agentów zabieramy do NKWD w Mińsku”



Od lewej: Woroszyłow, Mołotow, Stalin i Jeżow wizytujący Kanał im. Moskwy. FOT. DOMENA PUBLICZNA

– odpowiada Berman zgodnie z instrukcją. „A tu drobny szpieg przekroczył granicę. Co z nim zrobicie?” – pyta znów Jeżow. Berman odpowiada przebiegle: „Przeprowadzamy śledztwo, wysyłamy informację o jego sprawie i czekamy na waszą decyzję”. Jeżow nie jest zadowolony z odpowiedzi, czuje się zmuszony do podpowiedzi: „Ja tu myślę o uproszczeniu całej sprawy: gdy tylko przekroczył, natychmiast rozstrzelać”. Berman niby oponuje: „Nie, Nikołaju Iwanowiczu, nie będzie to prawidłowo. Nie możemy tego robić. Nauczymy naszych żołnierzy strzelać bez zahamowania, na prawo i lewo”. „A po drugiej stronie granicy można strzelać?” – Jeżow chciał zaskoczyć Bermana przewrotnym pytaniem, ale ten odpowiedział przytomnie: „Gdy będzie na to Wasze przyzwolenie”. Jeżow drażył dalej: „A zasięgu strzału karabinów starczy?”. Berman był górą po niedwuznacznej sugestii szefa: „Zasięgu starczy, ale pojawi się pytanie: zabity na obcym terytorium”. Podobny rozkaz mógłby być poczytany za prowokację wobec Stalina.

PRAWORZĄDNOŚĆ SOWIECKA

Sprawa prowadzenia „operacji polskiej” na samej granicy stawała się śliska i niepewna. Nie było wiadomo, jak potraktuje ją Stalin – czy pochwali, czy uzna za prowokację przeciw sobie. Nieustannie rewolucyjny mechanizm sowieckiej władzy napędzanej nieustannym terrorem działał szybko, ale krótko, akcja musiała gonić akcję. Kat musiał zgładzić kata, a jego – następny kat. Wszyscy szefowie NKWD byli gorliwi i asekuuracyjni, a i tak zostali zgładzeni przez następców – Balickij, Leplewski, Uspienski na Ukrainie, Berman, Nasiedkin na Białorusi. W końcu zginął sam

Jeżow, nastał Beria. Stalin jako naczelnny egzekutor nie karał bynajmniej swych wykonawców za okrucieństwo, ale za błędy, zahamowania, awarie systemu.

„Operacja polska” skończyła się tak szybko, jak się zaczęła. Już w 1938 r. jej mechanizm okazał się niewydolny, nie mógł „przerobić” tysięcy aresztowanych Polaków, przepuścić przez pozorowane trybem sowieckiego prawa sądy i szybko ich skazywać. Stalin przerwał operację nie z tego powodu, że uznał ją za wystarczającą, lecz dlatego, że w tym oporze materii dopatrzył się sabotażu, działania sił wrogich przeciw sobie, zdrady, którą tłumaczył panoszącym się szpiegostwem. Mimo to mechanizm ludobójczej zagłady już powstał i został wprowadzony, działał w czasach pokoju. Stał się swoistym precedensem.

Wkrótce po wybuchu wojny został ponownie wykorzystany – po 17 września 1939 r. w masowych deportacjach polskiej ludności z terenów zajętych przez Armię Czerwoną i w operacji „Katyń”. Te wszystkie zbrodnie łączą dosłownie miejsca kaźni, egzekucji i pochówków w zbiorowych mogiłach – w Winnicy i w Bykowni koło Kijowa na Ukrainie, w dołach śmierci w Kuropatach koło Mińska na Białorusi, nad którymi rozstrzeliwano Polaków już przed wojną, w czasie „operacji polskiej” w latach 1937–1938.

Źródła relacji i dokumentów:

„Wielki Terror: operacja polska 1937–1938”,

t. 1–2, Warszawa – Kijów 2010;

Tomasz Sommer, „Operacja antypolska NKWD 1937–1938”, Warszawa 2014;

Anna Zechenter, „Zagłada Polaków w Związku Sowieckim. Od przewrotu bolszewickiego do »operacji polskiej«”, Warszawa 2019



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Mamy tylko siebie

To godne uznania, że IPN coraz intensywniej zajmuje się badaniem dziejów wojennej i powojennej emigracji. W pierwszych latach III RP można było odnieść wrażenie, że to, co działo się na emigracji (oczywiście poza „Kulturą”), nikogo w kraju nie obchodzi. A przecież, gdy Polska znajdowała się w okowach komunistycznego zniewolenia, to tam kwitło nieskrępowane, niezależne polskie życie intelektualne.

W Londynie Grydzewski wydawał swoje „Wiadomości”. Marian Hemar pisał wiersze. W Monachium powieści pisał Józef Mackiewicz. Za oceanem tworzyli Michał K. Pawlikowski i Florian Czarnecki. W Wielkiej Brytanii badania historyczne prowadził Zbigniew S. Siemaszko. Wymieniać by tak można jeszcze długo.

Ale emigracja to nie tylko mężczyźni! IPN przypominał o tym, wydając kapitalny zbiór artykułów o wybitnych Polkach, które odgrywały ważną rolę w emigracyjnym życiu. Najciekawszy jest tekst Agaty Stecewicz o wdzięcznym tytule: „Czyja pisze do Cyzika. Krótka historia długiej miłości Barbary Toporskiej i Józefa Mackiewicza”.

Jako namiętny czytelnik listów Mackiewicza i Toporskiej, a także licznych artykułów pisanych przez sławną parę temat ten znam dobrze. Wielokrotnie zrywał się na to, że tak wybitni twórcy musieli żyć w Monachium w tak skromnych warunkach materialnych. A czasami wręcz w nędzy. Ten obraz – Mackiewicz stukający w maszynę do pisania, a Toporska siedząca obok i naprawiająca pończochy, by zarobić na utrzymanie – ściska serce każdego miłośnika ich twórczości. O ile więcej wspaniałych książek mogliby napisać, gdyby nie codzienna walka i troska o pieniądze!

Agata Stecewicz swój szkic rozpoczyna w połowie lat 30., gdy para poznała się w redakcji wileńskiego „Słowa”. Potem Włochy, Londyn, a wreszcie Monachium. W sumie 50 lat wspólnego życia. „Ostatecznie – napisała w jednym z listów do Józefa Barbara – mamy tylko siebie”.

„Bez Toporskiej – pisze Agata Stecewicz – jej miłości, poświęcenia, wsparcia i wytrwałości nie byłoby Mackiewicza, jakiego znamy, wybitnego powieściopisarza i publicysty”. Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. ©©



★★★★★
ANNA JANICKA,
EWA
ROGALEWSKA,
VIOLETTA WEJS-
-MILEWSKA
„POWRZEŚNIOWA
EMIGRACJA
NIEPODLEGŁO-
ŚCIOWA NA MAPIE
KULTURY NIE
TYLKO POLSKIEJ”,
T. III
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Niedźwiedź a sprawa polska

Niewielkie Niepołomice były ulubioną rezydencją Jagiellonów, a karierę zawdzięczały swojej lokalizacji. Leżą bowiem nieco ponad 20 km od Wawelu, co oznaczało, że dwór monarchy mógł do nich dotrzeć w jeden dzień. W pobliżu rozciągała się potężna puszcza obfitująca w zwierzynę, a wszyscy Jagiellonowie uwielbiali polowania. Zapalonym myśliwym był nawet ascetyczny w swoich upodobaniach Jagiełło. Wprawdzie pierwsza

Dlatego król zarządził wielkie łowy. Nie powinno to specjalnie dziwić, gdyż Bona przywiozła ze sobą nie tylko nowe warzywa czy widelce, lecz także wiele radości życia. Jej dwór zawsze rozbrzmiewał śmiechem, a zabawy były na porządku dziennym. Powstał nawet klub „oźralców i opilców” skupiający najbardziej rozrywkowych dworzan. Zygmunt Stary przyglądał się temu z uśmiechem, chociaż sam nigdy nie przesadzał z trunkami. Zdecydowanie bardziej cenił dobrze zastawiony stół.

Łowy w Niepołomicach zaplanowano na dużą skalę, a ich główną atrakcją miał być wprowadzony z Litwy niedźwiedź. Zwierzę przetrzymywano w skrzyni, a po wypuszczeniu na wolność rozdrażniono. I doszło do nieszczęścia, bo drapieжник zaszarżował na orszak królewski. Spłoszony wierzchołowiec królowej przewrócił się i władczyni przedwcześnie urodziła chłopca, który żył zaledwie kilka godzin. Zdążono go tylko ochrzcić imieniem Olbracht, a Bona nie mogła mieć więcej dzieci. W tej sytuacji jedynym synem Zygmunta Starego pozostał Zygmunt August, który – jak miało się okazać – był bezpłodny.

I chociaż bywają historycy, którzy twierdzą, że pojedyncze decyzje nie mają znaczenia w dziejach, to jednak wypadek w Niepołomicach świadczy zupełnie o czymś innym. Gdyby bowiem Jagiellonowie nie wygaśli, to zapewne losy Polski, Litwy i całej Europy Środkowo-Wschodniej potoczyłyby się zupełnie inaczej. ©©

Gdyby Jagiellonowie nie wygaśli, to losy Europy potoczyłyby się zapewne inaczej

rezydencja powstała jeszcze na polecenie Kazimierza Wielkiego, ale to właśnie Jagiełło uczynił z niej swoją łowiecką stolicę. W Niepołomicach zajmował się jednak także sprawami państwowymi, a powracając spod Grunwaldu, właśnie tutaj 25 listopada 1411 r. zsiadł z konia i w podzięce za zwycięstwo poszedł pieszo na Wawel.

Niestety, Niepołomice zapisały się w dziejach Polski także z powodu tragedii, która odbiła się na losach kraju. Pod koniec lata 1527 r. w Krakowie wybuchła epidemia i dwór królewski przeniósł się na miejscowy zamek. Zygmuntowi Staremu oczywiście towarzyszyła Bona będąca w ostatnich miesiącach ciąży, a zagrożenie epidemiczne nie oznaczało, by miano zrezygnować z normalnych rozrywek.



Maciej Szymanowski

Wprawdzie wybory parlamentarne na Węgrzech odbędą się dopiero na wiosnę, jednak towarzyszącą im podwójną kampanię warto śledzić już teraz. Podwójną, ponieważ nie tylko nad Dunajem, lecz także w Brukseli zapadają właśnie decyzje oraz rozgrywają się wydarzenia, których celem jest odsunięcie od władzy obecnego obozu rządzącego, a być może nawet wypracowanie nowego modelu kampanii wyborczych w państwach członkowskich UE

Podczas zorganizowanego w połowie listopada na terenie budapeszteńskiego HungExpo wyborczego kongresu Fideszu członkowie partii ponownie wybrali na przewodniczącego Viktora Orbána. Kongres stał się jednak przede wszystkim okazją do podsumowania osiągniętych w ostatnich latach sukcesów w polityce prorodzinnej (zahamowanie negatywnych trendów demograficznych, w tym uzyskanie 20 tys. nadwyżki osób powracających rocznie do kraju z zachodniej Europy, do liczby osób wyjeżdżających za pracę i karierą), społecznej – rekordowo niskie bezrobocie 3,3 proc. – czy gospodarczej (7 proc. wzrostu PKB w 2021 r.).

Ze względu na bliskość wyborów parlamentarnych kongres stał się też forum licznych komentarzy formułowanych pod adresem liderów opozycji. Częściowo dotyczących nadburmistrza Budapesztu Gergelya Karácsónya, przedstawianego do niedawna, także u nas (Campus Polska

Przyszłości Rafała Trzaskowskiego), jako przyszłego premiera Węgier. Zderzenie z realiami zarządzania dwumilionowym miastem oraz pasmo wizerunkowych wpadek, takich jak tajne przesiedanie się w drodze do pracy z roweru do limuzyny (i odwrotnie) czy nieuprawnione posługiwanie się tytułem doktora, zachwiało jednak polityczną karierą namaszczonego na anty-Orbána nadburmistrza Budapesztu, który – jak pokazują wszystkie sondaże – dzisiaj już nie wygrałby nawet wyborów w kierowanym przez siebie mieście.

Trwające miesiącami prawyborzy też nie wyłoniły kandydata na premiera. Dopiero niedawne międzypartyjne porozumienie rozstrzygnęło kwestię, kto będzie twarzą węgierskiej zjednoczonej opozycji. Ostatecznie stał się nią Péter Márki-Zay, burmistrz miasta Hódmezővásárhely, doktor ekonomii po Uniwersytecie Katolickim w Budapeszcie, ojciec siedmiorga dzieci, określający siebie jako „rozzarowanego rządami Fideszu konserwatyście”.

Z lektury licznie udzielanych przez wspomnianego wywiadów tak naprawdę trudno wyciągnąć wnioski co do rzeczywistych poglądów tego 49-letniego polityka, ponieważ wypowiada się wyraźnie według schematu „dla każdego coś miłego”. Kandydat zjednoczonej opozycji na premiera definiuje się więc jako konserwatysta, który jednak „serce ma po lewej stronie”. Jest przeciwny adopcji dzieci przez pary homoseksualne, opowiada się jednak za prawnym zrównaniem partnerstwa z małżeństwem, co oczywiście otwiera drogę do adopcji. Jest za wejściem Węgier do strefy euro, ale „na pewno nie w przyszłej kadencji”. „Będziemy lojalnymi członkami UE i NATO, a nie zdrajcami” – zapewniał publicznie podczas mającej miejsce w połowie listopada tury spotkań z brukselskimi politykami, z Manfredem Weberem i Věrou Jourovou na czele.

Cokolwiek pod tymi słowami miałyby się kryć, lider opozycji nie wygląda na zwolennika prowadzenia przez Węgry polityki suwerennościowej. Zmiana polityki zagranicznej wydaje się też głównym wspólnym mianownikiem powstałej lewicowo-liberalno-prawicowej koalicji anty-Fidesz, w której biorą udział zarówno postkomuniści z MSZP, jak i partii Jobbik – autodefiniującej się jako „prawdziwa narodowa prawica”, do niedawna powszechnie określanej przez węgierski i europejski mainstream jako partia neofaszystwska.

W SONDAŻACH ŁEB W ŁEB

Jeśli chodzi o poparcie opinii publicznej, to zjednoczona opozycja ma obecnie



Bruksela robi wiele, aby utrudnić węgierskiemu premierowi Viktorowi Orbánowi wygraną w wyborach parlamentarnych

FOT. BERNADETT SZABO/REUTERS/FORUM

kilkuprocentową przewagę nad Fideszem w sondażach, ale tylko w tych, które są przygotowywane przez pracownie do niej politycznie zbliżone. Badania instytutów identyfikujących się z rządem pokazują z kolei kilkuprocentową przewagę Fideszu. To, co wiemy na pewno, to niewiele ponad to, że różnica między rządem i opozycją w poparciu społecznym najprawdopodobniej nie jest zbyt wielka.

W Polsce dodatkowo powinniśmy pamiętać o tym, że docierające do nas z Węgier sondaże dotyczą ogólnych preferencji, a większość miejsc w Zgromadzeniu Narodowym obsadzana jest w drodze wyborów w okręgach jednomandatuowych, a te rządzą się swoimi prawami. Zjednoczona opozycja przekonała się o tym boleśnie, wystawiając w jednym z takich okręgów w wyborach uzupełniających jesienią 2020 r. znanego ze swoich antyromskich poglądów László Bíró (w Polsce znanego raczej od innej strony, z przedstawiania np. Budapesztu jako Judenpesztu) – który nie zdołał jednak pokonać kandydatki Fideszu romskiego pochodzenia Zsófi Koncz.

Śledząc w najbliższych miesiącach kampanię wyborczą nad Dunajem, warto też mieć w pamięci to, że jednym z jej głównych leitmotywów będzie korupcja na Węgrzech i skorumpowany węgierski rząd, co ma tyle wspólnego z rzeczywistością, ile oplakany ponoć stan praworządności w Polsce. „Dowodem” w sprawie jest pozostająca poniżej unijnej średniej – bynajmniej nie najgorsza – rzetelność w rozliczaniu unijnych projektów przez

Budapeszt, w nieprzystąpieniu przez Węgry do Prokuratury Europejskiej (podobnie jak nie uczyniły tego Polska, państwa skandynawskie oraz Irlandia z odwołaniem na niejasno zdefiniowane kompetencje tego nowego organu UE) oraz – uwaga! – „wielka skala problemu” ukazywana w węgierskiej prasie. Argument przeciekawy, biorąc pod uwagę równocześnie stawiany od lat Węgom zarzut ograniczania, a wręcz braku wolności słowa, jak twierdzi sama komisarz Jourová. Nawiasem mówiąc, pierwszej wiceprzewodniczącej czeskiej partii ANO powierzono w 2012 r. zadanie przejęcia dwóch największych czeskich dzienników („Lidové noviny”, „Dnes”) i dokonanie innych medialnych zakupów, które miały utorować – i utorowały! – drogę do władzy właścicielowi holdingu Agrofert, premierowi Andrejowi Babišowi.

INGERENCJA BRUKSELI

Silne zmęczenie społeczne przeciągającą się pandemią i związane z nią straty, chociażby w turystyce, nieudana reindustrializacja gospodarki, wymagająca pilnego odnowienia sieć dróg i kolei pozostających poza głównymi korytarzami transportowymi i wiele, wiele innych problemów życia codziennego stanowiąc będą nie lada wyzwanie dla przyszłego rządu. O jego składzie zdecydować będą węgierscy obywatele oraz... Komisja Europejska, która postanowiła aktywnie ingerować w przebieg kampanii, a niewykluczone, że także w sam wyborczy wynik. Zablokowanie jakichkolwiek transferów z Funduszu Odbudo-

wy dla Węgier już jest faktem i stan ten do wyborów raczej się nie zmienia.

25 listopada Komisja Europejska zapowiedziała wnikliwą kontrolę środków finansowych przeznaczanych przez węgierskie partie na reklamy, co nie dotyczy już jednak organizacji pozarządowych, nawet tych specjalizujących się tak naprawdę w działalności czysto politycznej. Ba, poprzez European Digital Media Observatory, instytucję niedawno powołaną do życia przez KE w ramach tzw. walki z dezinformacją, pierwsze unijne fundusze popłynęły do popierających opozycję środowisk, takich jak funkcjonująca w formule niepublicznej spółki akcyjnej Magyar Jeti. Spółki będącej właścicielem popularnego antyrządowego portalu informacyjnego 444.hu, a zarazem – jak ujawnił niedawno tygodnik „Mandiner” – wspierającej pracę 100-osobowej specjalnej redakcji powołanej do życia przez francuską agencję AFP, która na mocy umowy zawartej z Facebookiem od marca br. cenzuruje zawartość FB na Europę w sumie w jego 20 wersjach językowych (także polskiej).

Finansowego wsparcia opozycja może się spodziewać także ze strony Parlamentu Europejskiego, o czym wspomniała przebywająca na Węgrzech 29 września delegacja liberalnej frakcji LIBE, wskazując ujęty w budżecie UE fundusz Sprawiedliwość, Prawa i Wartości (1,8 mld euro). Przewodniczącą wspomnianej delegacji – Gwendoline Delbos-Corfield – pozwoliła sobie nawet na publicznie wyrażoną wątpliwość, czy przyszłe węgierskie wybory będą mogły zostać uznane za ważne, skoro opozycja ma utrudniony dostęp do publicznej telewizji.

Tak mocne zaangażowanie się organów UE w kampanię wyborczą świadczy o randze wyborów na Węgrzech w oczach Brukseli. Kto wie, czy ewentualne powodzenie politycznych i pozapolitycznych środków, po które już sięgnięto i po które zapewne jeszcze się sięgnie w kampanii, nie będzie miało faktycznie większego znaczenia dla funkcjonowania UE niż rezultaty trwającej obecnie z inicjatywy Komisji Europejskiej – „Konferencji w sprawie przyszłości Europy” – prowadzonych przez obywateli cyklu dyskusji, które mają umożliwić mieszkańcom całej Europy dzielenie się pomysłami i wywarcie wpływu na kształt naszej wspólnej przyszłości”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Maciej Szymanowski – wykładowca akademicki, dyrektor Instytutu Felczaka.



FOT. ALUSTAR GRANT / POOL / GETTY IMAGES

Burza nad kanałem La Manche



Teresa Stylińska

– Francja jest jednym z najlepszych, najbliższych i najstarszych sojuszników Wielkiej Brytanii – zapewnił brytyjski premier Boris Johnson przed szczytem państw G7 w Rzymie, który stanowił dlań okazję do rozmowy z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem. Ta banalna deklaracja miała złagodzić konflikty, które w ostatnich miesiącach mocno podzieliły Wielką Brytanię i Francję. Czy to się udało? Oczywiście, że nie

Zapewnienia o przyjaźni i współpracy brzmią nie najgorzej, choć można wątpić, czy zawsze są szczere. Zdarzało się, owszem, że zbieżność interesów skłaniała Francję i Wielką Brytanię do zawiązania „entente”, czasami nawet „cordiale”. Najnowsze wydarzenia – a raczej cała ich seria – pokazują jednak, że w stosunkach obu krajów byle powód może się przerodzić w konflikt, znaczone ostrymi, całkiem niedyplomatycznymi wypowiedziami przywódców.

Przeszłe sojusze dobrze się wspominają podczas uroczystości rocznicowych, ale najbardziej wzniosłe deklaracje nie przekładają się na stosunki współczesne. Zresztą nawet wtedy, gdy oba kraje były sprzy-

mierzeńcami, bo wymagała tego sytuacja i ich racja stanu, to trafiały się okazje, by drugiej stronie wbić szpilę. Gdy w 1942 r. gen. Charles de Gaulle pojechał z Londynu do Szkocji, wygłoszone w Edynburgu przemówienie zakończył okrzykiem: „Niech żyje sojusz francusko-szkocki, najstarszy z sojuszy świata!”. Sojusz, zawarty w XIII w., wymierzony był w Anglię, Szkoci więc słowa de Gaulle’a odebrali tak, jak mieli odebrać: jako gest zdystansowania się od Anglii. Anglicy zresztą również.

ANGLIA PRZYCIĄGA JAK MAGNES

W stosunkach brytyjsko-francuskich sporów nigdy nie brakowało, od początku tego roku jednak niesłychanie się zagości-

ły, dając o sobie znać kolejno na czterech polach. Najświeższy i zarazem najostrzejszy dotyczy imigracji – ściślej, nielegalnych przepraw imigrantów przez kanał La Manche, z Francji do Wielkiej Brytanii. Drugie miejsce zajmują spory o prawo do połowów na jego wodach. Trzecie, mniej znaczące pole konfliktów wiąże się z udziałem Wielkiej Brytanii w pakcie obronnym AUKUS, na którym Francja dużo straciła za sprawą pozostałych jego uczestników – USA i Australii. Czwarte wreszcie dotyczy dystrybucji szczepionek antycovidowych. To sprawa z początku roku, dziś nieaktualna, choć wobec niepewności co do rozwoju pandemii może na nowo rozgorzeć.

Problem nielegalnej imigracji nie jest oczywiście nowy, imigranci bowiem od lat próbują dotrzeć do Wielkiej Brytanii, która z wielu powodów (zasiłki socjalne, język, obecność rodziny) bywa atrakcyjniejsza od Francji. Nowością jest jednak droga morską. Europa przywykła do tego, co dzieje się na szlaku śródziemnomorskim, ale zimne, burzliwe wody północne to zupełnie co innego. Cieśnina Kaletańska, najwęższa część kanału La Manche, ma wprawdzie tylko 33 km szerokości, ale ruch morski jest tu ogromny. Dla małych łódek i nadmuchi-

wanych pontonów, a na takich właśnie wyprawiani są imigranci, jest to obszar niezwykle niebezpieczny.

Stało się więc to, co w końcu stać się musiało: w nocy z 17 na 18 listopada pływający ponton się wywrócił, 27 osób utonęło, tylko dwie przeżyły. To wywołało lawinę oskarżeń, które mają pokazać, kto ponosi winę. Według Brytyjczyków – Francja, bo nie dość starannie patroluje wybrzeże i nie potrafi wyłapać wszystkich, którzy szukają się do skoku na Wyspy Brytyjskie. Według Francuzów – Wielka Brytania, bo działa niefrasobliwie, narażając innych na kłopoty. Chodzi nie tylko o zasiłki, które zresztą – jak podkreślają Brytyjczycy – nie są już przyznawane tak hojnie jak dawniej, lecz także o to, że nielegalni imigranci w Wielkiej Brytanii czują się bezpieczniej niż gdzie indziej. Gdyby – dowodzą Francuzi – brytyjska policja bardziej przykładła się do ich wyłapywania, sytuacja wyglądałaby inaczej.

ŁODZIE ZAMIAST CIĘŻARÓWEK

W dodatku problem narasta w zawrotnym tempie. W tym roku przez kanał La Manche dotarło do Wielkiej Brytanii ponad 25 tys. ludzi. To trzy razy więcej niż w roku ubiegłym (blisko 8,5 tys.) i przeszło 13 razy więcej niż w roku 2019 (1835). To nie znaczy, że Wyspy Brytyjskie nie były nigdy szturmowane tak mocno jak teraz, bo oczywiście były. Dawniej jednak imigranci szukali bardziej bezpiecznych dróg i sposobów. Starali się przedostać do pociągów, promów i ciężarówek (co też czasem kończyło się źle, że przypomniemy 39 Wietnamczyków, którzy dwa lata temu zamazali w samochodzie chłodni). Francuska policja i żandarmeria – fakt, że z brytyjską pomocą finansową – zdołały to jednak skutecznie ograniczyć. Gangi przemytników ludzi w desperacji przerzuciły się więc na drogę morską.

Po wypadku na wodach kanału premier Johnson wysłał do prezydenta Macrona pięciopunktową listę z propozycjami, co wspólnie można zrobić, by tragedia się nie powtórzyła. Władze francuskie przyjęły to źle, jako słabo skrywaną sugestię, że winę za wypadek ponosi Francja. Oliwy do ognia dolały dwa pomysły. Propozycja, by Brytyjczycy patrolowali wybrzeże wraz z Francuzami, została uznana za przejaw niewiary w sprawność służb francuskich i nieprzyzwoity zamach na francuską suwerenność. Jeszcze gorzej przyjęto pomysł, by tych, którzy mimo wszystko

zdołają dotrzeć na brzeg brytyjski, można było odsyłać z powrotem.

Awantura o imigrację przyćmiła inne francusko-brytyjskie konflikty, nawet ten o rybołówstwo, grożący niemalże wojną handlową. Spór o prawo francuskich rybaków do połowów na wodach brytyjskich, zwłaszcza wokół wyspy Jersey, to pokłosie brexitu. Umowa brexitowa przewiduje przyznawanie licencji tym kutrom, które prowadziły połowy w ciągu trzech lat poprzedzających brexit. Trzeba to jednak udokumentować, a to bywa trudne. Dlatego Francuzi kwestionują liczbę wydanych zezwoleń, uważając, że jest zbyt mała, i grożą sankcjami. W grę wchodzi ograniczenie dostępu brytyjskich kutrów do francuskich portów (to ważne, bo znaczna część brytyjskich połowów trafia na rynek francuski) i wstrzymanie dostaw prądu na Jersey.

Na takim tle błędą sprawy mniejszego kalibru. We wrześniu, gdy zawieszono pakt AUKUS, Francja wycofała się z rozmów o współpracy w dziedzinie obrony, wcześniej zaś, w marcu, wdała się w spór o szczepionki, domagając się ograniczenia eksportu szczepionek europejskich do Wielkiej Brytanii. Minister spraw zagranicznych Yves Le Drian argumentował wówczas, że Brytyjczycy, chwając się udaną akcją szczepień, przemilczają to, że dzieje się to kosztem mieszkańców Unii Europejskiej. Brytyjsko-szwedzka AstraZeneca dostarczała bowiem Unii tylko 30 mln dawek zamiast uzgodnionych 120 mln.

KAŻDY POWÓD JEST DOBRY

Trudno oprzeć się wrażeniu, że każdy powód jest dobry, by przywódcy Francji i Wielkiej Brytanii skoczyli sobie do oczu. Chodzi nie tylko o treść, lecz także o formę, czyli uchybianie – faktyczne czy domniemane – zasadom, które obowiązują w polityce i dyplomacji. Emmanuel Macron był oburzony, gdy Boris Johnson na Twitterze zaprezentował całemu światu przekazany mu wcześniej pięciopunktowy plan działania. – To niepoważne – oświadczył na konferencji prasowej, dodając, że „w zwyczaju przywódców nie leży kontaktowanie się przez tweety”. Jeden z brytyjskich komentatorów radził na to Macronowi, by zechciał przyjrzeć się temu, co wypisuje na Twitterze Clement Beaune, minister ds. europejskich w jego rządzie.

Zapewne kryzys, nawet o takiej intensywności, łatwiej byłoby rozwiązać czy przynajmniej załagodzić, gdyby w grę nie wchodziły względy polityki

wewnętrznej. Wchodzą jednak, i to bardzo mocno. Boris Johnson doświadcza ostrego spadku popularności. Aż połowa ankietowanych z dezaprobatą przyjmuje jego poczynania, akceptuje je tylko 30 proc. Premier musi więc wykazywać inicjatywę i determinację, nawet jeśli nie ma widoków na to, że jego starania przyniosą skutek.

Emmanuel Macron jest w jeszcze trudniejszej sytuacji. Za niespełna pół roku, w kwietniu, czekają go wybory prezydenckie. Najgorętszym tematem rozporządzającej się kampanii wyborczej staje się imigracja, a na przeciwnika numer jeden wyrasta Éric Zemmour, prawicowy dziennikarz, który właśnie zgłosił swą kandydaturę. Zemmour w swych artykułach, książkach i programach telewizyjnych bez ogródek mówi o negatywnych skutkach masowego napływu ludzi innych kultur, którzy nie chcą się integrować i w dodatku wypierają Francuzów w ich własnym kraju. Popularność Zemmoura rośnie i bardzo możliwe, że to on zmierzy się z Macronem w drugiej turze. Prezydent byłby szaleńcem, gdyby choć słowem podjął kwestię readmisji tych, którzy zdołali dotrzeć do Wielkiej Brytanii, bo mógłby to być jego koniec.

No i pozostaje też styl. Ani francuski prezydent, ani brytyjski premier nie przypominają dawnych polityków, wypracowujących dyskretnie, w zaciszu gabinetów wizję przyszłości swych krajów. Na konto Borisa Johnsona należy oczywiście zapisać skutecznie przeprowadzony brexit. Jak na konserwatystę jednak zbyt łatwo akceptuje to, co współcześnie trzeba akceptować, na polu obyczajowym czy ekologicznym. Choć gdy na fali BLM niszczone pomniki ludzi, którym Wielka Brytania zawdzięczała swą wielkość, Winstona Churchilla wziął jednak w obronę.

Po blisko pięciu latach sprawowania urzędu Emmanuel Macron nie wyrósł na męża stanu. Ciągłe, jak się wydaje, tkwi w nim ów młody stażem szef państwa, który na pierwszym spotkaniu z Donaldem Trumpem demonstracyjnie trzymał jego dłoń, jak gdyby chciał pokazać, kto jest górą. Macron nawiązuje, jak francuscy przywódcy mają w zwyczaju, do idei wielkości Francji, ale kontekst, w którym to osadza – zacieśniającą się integracją europejską, zieloną polityką klimatyczną – jest więcej niż banalny.

Krzykliwa polityka tweetów i briefingów na pewno nie służy uspokojeniu sporów. Problem w tym, że Macron i Johnson taki styl lubią.



Piotr Włoczyk

Amerykański Senat zmusił w końcu Pentagon do poważnego zajęcia się doniesieniami o niezidentyfikowanych obiektach latających. Stworzonej właśnie specjalnej komisji kibicują miliony fanów latających spodków

Dave Fravor i Alex Dietrich to emerytowani piloci US Navy. Obaj lataли m.in. myśliwcami F/A-18F. W maju tego roku wystąpili oni w prestiżowym magazynie reporterskim „60 minutes” stacji CBS. Twórcy „60 minutes” postanowili w tym odcinku przyrzeć się doniesieniom o niezidentyfikowanych obiektach latających (Pentagon nie nazywa ich już UFO, tylko UAP – Unidentified Aerial Phenomena). Ten temat od dłuższego czasu zajmuje coraz większe grono amerykańskich senatorów.

Piloci komentowali w CBS głośne nagranie – od kilku lat dostępne na YouTube – które wykonał Fravor w listopadzie 2004 r. podczas ćwiczeń u wybrzeży Kalifornii. Dowódca lotniskowca USS

„Nimitz” wysłał wówczas dwa myśliwce, by zbadały niezidentyfikowany obiekt, który pojawił się w pobliżu.

Obaj piloci zaobserwowali pojazd wielkości ich myśliwców, jednak nieposiadający żadnego oznaczenia, skrzydeł i widocznego napędu. Według nich wyglądał jak wielki tic tac. Jak relacjonowali Fravor i Dietrich, obiekt zaczął naśladować ruchy ich samolotów, gdy krążyli nad nim, po czym momentalnie wzbił się do góry i w jednej chwili jakby rozplynął się w powietrzu.

„Rozmawiając potem o tym przy piwie, mówiliśmy do siebie: »Stary, gdybym zobaczyła to sama, po powrocie pewnie nikomu bym o tym nic nie wspomniała«. To przecież brzmiało jak opowieść szaleńca” – powiedziała Alex Dietrich.

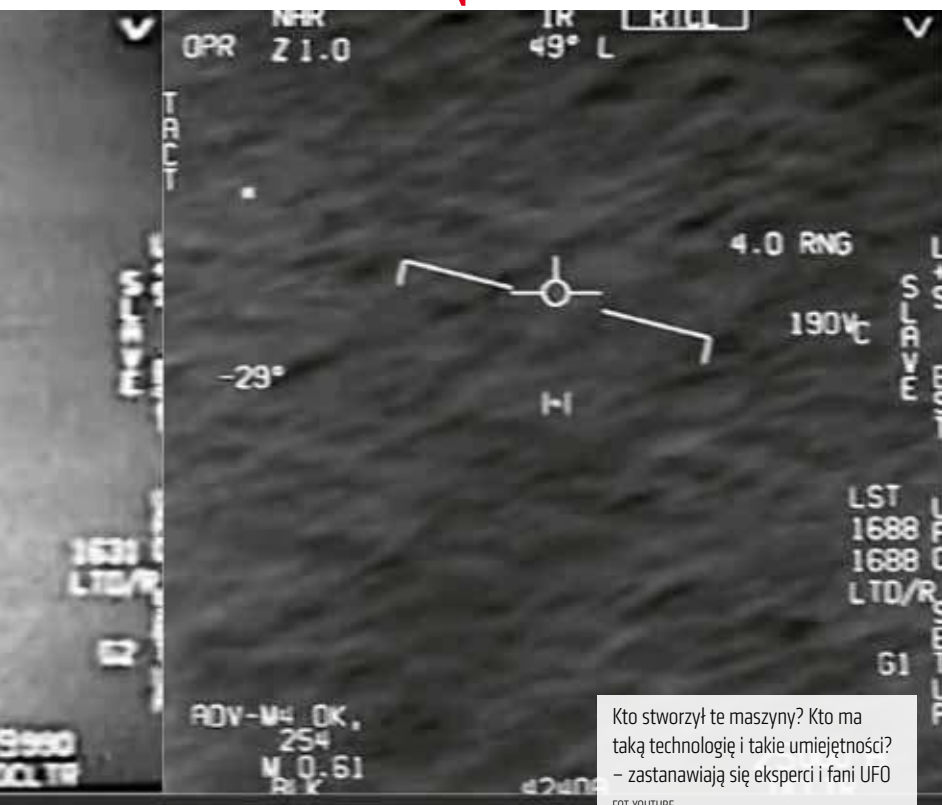
„Na pewno coś tam się dzieje... Nie wiem, kto to buduje, kto ma taką technologię, takie umiejętności. Ale tam jest coś takiego, co było nieporównywalne z naszymi samolotami” – dodał Dave Fravor.

JEDEN ZE 144

Nagranie z tamtego dnia jest jednym z trzech upublicznionych zapisów bliskich spotkań z UAP, którymi już zajmowali się eksperci pracujący dla amerykańskiego rządu. W czerwcu tego roku, na życzenie Kongresu USA, dyrektor Wywiadu Narodowego Avril Haines opu-

likowała raport, w którym przeanalizowano 144 przypadki UAP, zaobserwowane przez pilotów US Air Force i US Navy od 2004 r. W 143 przypadkach eksperci nie byli jednak w stanie wyjaśnić, czym były niezwykle obiekty zaobserwowane na ekranach. Tylko jedno nagranie udało się jednoznacznie opisać – dziwny, chaotycznie poruszający się kształt był po prostu uszkodzonym balonem. Eksperci, którzy liczyli na zdecydowane przecięcie wszelkich spekulacji na ten temat, musieli być załamani brzmieniem raportu. Co innego ludzie wierzący, że odwiedzają nas zielone ludziki.

Avril Haines powiedziała przy okazji sygnowanego przez siebie raportu, że mimo trudności w identyfikacji tych obiektów część z nich to najpewniej bardzo zaawansowane maszyny szpiegowskie przeciwników USA. „Ale mimo wszystko, zawsze pozostaje pytanie, czy tam nie ma czegoś, czego my nie rozumiemy, bo pochodzi spoza naszej planety”. Nietrudno sobie wyobrazić, że takie słowa w ustach dyrektora Wywiadu Narodowego USA doprowadzają do palpitacji niejednego fana latających spodków, który od lat czeka, aż Waszyngton oficjalnie przyzna, że w słynnej Strefie 51 amerykański rząd od lat eksperymentuje na przybyszach z innej planety. Oliwy do ognia dolał tu zresztą Barack Obama, który w maju tego roku przyznał w talk-show Jamesa Corde-



na jakby od niechcenia: „Mamy nagrania pokazujące obiekty latające, które są dla nas tajemnicze. Nie potrafimy wyjaśnić, jak one się poruszają”.

Wreszcie pod koniec listopada grupa wpływowych senatorów z obu partii – m.in. Kirsten Gillibrand, Lindsay Graham i Marco Rubio – wymogła na Pentagonie, by ten przeciął w końcu spekulacje i powołał specjalną grupę ds. UAP.

Kathleen H. Hicks, zastępczyni sekretarza obrony, ogłosiła właśnie, że jednostka ta będzie nosiła nazwę Grupa Synchronizacyjna ds. Identyfikacji i Badania Obiektów Latających. W jej skład mają wchodzić eksperci sił zbrojnych i wywiadu, którzy zastąpią działającą od kilku lat w ramach Pentagonu mniejszą jednostkę nazwaną Zespołem ds. Niezidentyfikowanych Zjawisk Powietrznych. Pierwszym zadaniem nowej grupy będzie oczywiście zajęcie się 143 przypadkami UAP, których nie wyjaśniono w czerwcowym raporcie.

„Spośród nich 21 raportów, obejmujących 18 zdarzeń, potencjalnie prezentuje stopień technologicznego know-how nieznanego Stanom Zjednoczonym, m.in. obiekty, które poruszają się bez widocznego napędu lub mogące momentalnie przyspieszać, co wydaje się poza możliwościami Rosji, Chin lub innych narodów żyjących na naszej planecie” – opisywał wyniki raportu „The New York Times”.

Senator Gillibrand podkreśla, że Amerykanie muszą wiedzieć, czy sytuacje, które opisują świetnie wyszkoleni piloci, elita w swoim fachu, to „technologia, którą posiadają nasi przeciwnicy lub jakiś inny podmiot. Chowanie głowy w piasku nie jest żadną akceptowalną strategią”. Jak mówi demokratka, ten temat nie był dotąd wystarczająco poważnie traktowany w Kongresie. „Mogę policzyć na palcach jednej ręki liczbę przesłuchań, które mieliśmy na ten temat w ciągu ostatniej dekady. To dosyć niepokojące, zważywszy na różne doświadczenia członków naszych sił zbrojnych na przestrzeni ostatnich 10 lat”.

WBREW LOGICE

– Wiemy, że dzieje się coś bardzo dziwnego – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Iain Ballantyne, brytyjski znawca tematyki bezpieczeństwa. – To może być wszystko: maszyny amerykańskie, chińskie, rosyjskie albo... coś jeszcze innego... Mamy tyle nagrań i odczytów z czujników, mamy zeznania świadków – doskonale wyszkolonych pilotów i marynarzy – a potem, gdy sami oglądamy te przedziwne obrazy, to zaczynamy wątpić w logikę. Rosjanie produkują wymiennie samoloty. Ale czy jeżeli stworzyliby tak niesamowitą maszynę, to czy nie chcieliby ogłosić światu, że dysponują tak nieprawdopodobną technologią? To

samo pytanie dotyczy Chińczyków. I dlatego ta sprawa robi się jeszcze bardziej tajemnicza.

Pentagon przekonuje jednak, że te przedziwne latające obiekty na pewno nie są jego sprawką.

Ryan Graves, emerytowany pilot US Air Force stacjonujący na Wschodnim Wybrzeżu USA, mówił w rozmowie z „60 minutes”, że ćwiczący wraz z nim koledzy „bardzo często” widzieli przedziwne latające pojazdy, których sposób poruszania się przeczył prawom grawitacji. Jak powiedział, piloci wojskowi spekulują, że są tu tylko trzy możliwości: to tajna amerykańska technologia, niezwykle zaawansowany obiekt szpiegowski przeciwnika lub coś „z innego świata”.

„Prawdę mówiąc, bardzo mnie to martwi. Jeżeli byłoby to myśliwce należące do innego państwa, które latałyby tak sobie nad naszymi głowami, to mielibyśmy do czynienia z awanturą na ogromną skalę. Ale tylko dlatego, że to coś wygląda inaczej niż zwykły myśliwiec, to nie bierzemy tego zbyt poważnie. Jest nam wszystko jedno, że te obiekty latają sobie i przyglądają nam się każdego dnia.

Starzy fani UFO doskonale pamiętają, że raport dyrektor Wywiadu Narodowego i specjalna jednostka w Pentagonie zobligowana do zbadania UAP to kolejny rozdział w długiej historii wyjaśniania przez amerykański rząd niezidentyfikowanych obiektów latających.

Już w latach 1952–1969 Pentagon prowadził tzw. Project Blue Book. Spośród 12 tys. zgłoszonych wówczas do analizy nietypowych zjawisk zdecydowaną większość wyjaśniono, ale kilkaset najciekawszych uznano za niemożliwe do jednoznacznej oceny. W raporcie końcowym ogłoszono jednak, że żadne ze zdarzeń nie zostało uznane za zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego,

Na razie – dopóty, dopóki Pentagon nie przebadają gruntownie 143 przypadków UAP, którym nie podołał raport dyrektor Wywiadu Narodowego – fani kosmicznego science fiction i tak mają się czym emocjonować. NASA wystrzeliła pod koniec listopada rakietę ze statkiem kosmicznym, który potencjalnie może uratować Ziemię przed uderzeniem asteroidy. Wynik tego eksperymentu poznamy we wrześniu przyszłego roku, gdy „Dart” roztrzaska się o powierzchnię asteroidy Dimorphos.

NIDERLANDY SFINANSUJĄ ABORCJE

Parlament w Niderlandach przyjął uchwałę, dzięki której będzie możliwe finansowanie aborcji kobietom z innych krajów Europy. Środki na to pochodzić będą z Funduszu Praw Człowieka na lata 2022–2027. Uchwałę wnieśli parlamentarzyści liberalnej partii Democraten 66. Napisano w niej m.in., że „wolność w niektórych regionach Europy znajduje się pod silną presją represyjnego ustawodawstwa i kurczącego się społeczeństwa obywatelskiego; ma to nieproporcjonalny wpływ na społeczność LGBTI i kobiety pragnące przerwać ciążę”.

FOT. ADRIEN STOCK



ODSIEDZIAŁ NIESŁUSZNIE 16 LAT

Czarnoskóry Anthony Broadwather z USA został w 1982 r. skazany za gwałt na 18-letniej studentce Alice Sebold. Ta, po napaści, zauważyła go kiedyś na ulicy i uznała, że jest podobny do jej oprawcy. Zgłosiła to policji i Broadwather został zatrzymany. Na okazaniu go jednak nie rozpoznała. Został skazany na 16 lat więzienia na podstawie jej zeznań, jednego świadka i mikroskopowej analizy włosów (metoda ta została potem uznana za niezbyt wiarygodną). Gdy Broadwather odsiadywał niesłusznie karę,

Sebold zdążyła napisać znaną książkę o radzeniu sobie z traumą. Teraz czarnoskóry został zrehabilitowany przez sąd. Pisarka oficjalnie go przeprosiła.

DO KOŚCIOŁA TYLKO Z TESTEM

W ubiegłym tygodniu w Grecji z powodu nowych obostrzeń wierni, którzy chcieli wejść do kościołów na msze, musieli przedstawić negatywny wynik testu na COVID-19. Według tamtejszych mediów na nabożeństwach pojawić się miało w związku z tym mniej osób. Choć – jak wyrzykowo sprawdzali

reporterzy – do sankcji Grecy podeszli „po grecku”. Niemal w żadnym kościele nie sprawdzano testów.

TRZY MILIONY NA ŻETONY

Niejaka Naomi Perri z Australii podczas pracy w Tasmanian Veterinary Hospital przez kilka lat wykonała 475 nieuczciwych transakcji i ukradła w przeliczeniu ok. 3 mln zł. Kradzione pieniądze przepuszczała w symulatorze automatu hazardowego, kupując żetony potrzebne do grania. Ten automat w razie wygranej wypłacał... żetony, które umożliwiały dalszą grę. ©

Lukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Pożegnanie z oszczędnościami



JACEK PRZYBYLSKI

Inflacja z miesiąca na miesiąc bije kolejne rekordy. W Stanach Zjednoczonych ceny rosną w tempie najwyższym od ponad 30 lat. Oficjalny rządowy wskaźnik CPI przekroczył w październiku magiczną barierę 6 proc. i wyniósł aż 6,2 proc. przy celu Rezerwy Federalnej na poziomie 2 proc. Nowe dane potwierdzają prostą diagnozę: inflacja w Ameryce rządzonej przez lewicowego prezydenta Joe Bidena nie jest ani niska, ani przejściowa.

Nie lepiej jest w Europie. Z najwyższą od 30 lat inflacją boryka się Hiszpania (5,6 proc.). Rekorderem

inflacja zapanowała nawet w strefie euro. Z kolei nad Wisłą wzrost cen rok do roku wynosi już według GUS 7,7 proc. W XXI w. tak szybko rosnących cen jeszcze nigdy nie było. Wysokiej inflacji sprzyja polityka polskiego banku centralnego – korzystna dla rządu (który mniej płaci za swoje zobowiązania) oraz eksporterów (którzy korzystają z historycznie słabej złotówki), a jednocześnie fatalna dla Kowalskiego, który zapominając o nauczkach swych dziadków i rodziców, wpadł na naiwny pomysł, aby nad Wisłą oszczędzać. Polityka NBP sprawia bowiem, że realna wartość zaskórniaków Polaków spada szyb-

ciej niż mieszkańców wielu innych krajów UE. Oczywiście są kraje, gdzie jest gorzej. Minimalnie, ale jednak gorzej jest w Brazylii. Dużo szybciej niż w Polsce oszczędności topnieją też w Turcji.

To droga lekcja dla tych Polaków, którzy chcieli sami dbać o swoją przyszłość, nie licząc na to, że w razie kryzysu z tarapatów wyciągnie ich rząd. Nad Wisłą nie warto oszczędzać, a już na pewno nie w bankach i nie w złotówkach. Miejmy nadzieję, że prosty wniosek wyciągną również Amerykanie: socjalizm to zło. I w Europie, i w Ameryce. Dlatego nie głosuje się na demokratów. ©

Biznes potrzebuje paliwa, czyli kapitału



Piotr Hofman

Można mieć świetny pomysł, znakomity biznesplan, mnóstwo zapału i stać w miejscu z rozwojem firmy. Kiedy tak się dzieje? Kiedy nie ma kapitału. To zasada prosta i oczywista dla każdego, kto chciał rozwinąć biznes i zastanawiał się, czego potrzeba, aby to się udało. Oczywiście najważniejsi są ludzie z pasją. To podstawa. Pasja jednak może przerodzić się we frustrację, kiedy odchodzi się od bankowego okienka z kwitkiem. A taki los spotyka wielu, którzy chcieli właśnie tam pozyskać finansowanie swojego projektu. Bank, co do zasady, pożyczka nieswoje pieniądze. Bankierzy zatem, szczególnie w Polsce, działają bardzo ostrożnie. Mają wygodne wytłumaczenie: nie chcą narażać oszczędności swoich klientów. Rozumiem takie podejście. Tyle że nie każda firma ma zabezpieczenia przekraczające wartość zobowiązania, które chce zaciągnąć. Pewnie znaczna część, a może nawet większość, nie ma takich aktywów, przynajmniej nie w zadowalającej dla banków wartości. I wtedy szans na finansowanie przez sektor bankowy nie ma. Pytanie, czy tak to dokładnie powinno wyglądać,

nie znajduje łatwej odpowiedzi. Czy asekuracyjny sektor bankowy daje szansę na rozwój gospodarki? Można się zastanawiać, bo celem samym w sobie nie może być liderowanie w rankingach odporności na sytuacje ekstremalne. To ważne, aby banki były bezpieczne, ale trzeba też uważać, żeby nie przesadzić. Według mnie równie ważne jest, aby sprawnie i bez nadmiernych trudności finansowały krajowych przedsiębiorców.

Pieniądzy na rozwój można jednak szukać gdzie indziej. Gospodarki, które odniosły największy sukces, to te, gdzie działa dobrze rozwinięty rynek kapitałowy. Tak, bez tego elementu nie uda się osiągnąć poziomu rozwoju, który jest udziałem USA czy Wielkiej Brytanii. Spójrzmy na sprawę tak: banki są ostrożne, jeśli chodzi o finansowanie firm. Stawiają na bezpieczeństwo i dokładnie sprawdzają, czy ktoś spełnia wymogi, które wynikają z opracowanych przez dział ryzyka modeli. W wypadku rynku kapitałowego sytuacja wygląda trochę inaczej. Oczywiście tam też brane jest pod uwagę ryzyko. Rzadko jednak zdarza się, że tylko jeden podmiot finansuje dane przedsięwzięcie. Przeważnie inwestorów jest znacznie więcej. Czasami są ich tysiące. To zaś oznacza, że ryzyko rozkłada się na wiele stron, a w związku z tym może być bardziej tolerowane. Dodatkowo rynek sam w sobie dostarcza informacji o potencjale i perspektywach danej firmy. Jeśli jest efektywny oczywiście. Im większa liczba inwestorów na nim działa, tym lepiej. Wtedy informacja, jaką jest cena, jest pełniejsza i bardziej wiarygodna.

Dzięki swoim zaletom rynek kapitałowy daje możliwość finansowania projektów z jednej strony bardziej ryzykownych, a z drugiej takich, które mogą przynieść znacznie wyższą stopę zwrotu. Ma to swoje plusy w wymiarze mikroekonomicznym. Bo firma może przejść dzięki zastrzykowi

kapitału na wyższy poziom, z małej stać się średnią, a ze średniej dużą. Ma to również pozytywne strony w kontekście makroekonomicznym. Tysiące firm, którym się udało (są też oczywiście i takie, którym się nie udało) odnieść sukces dzięki zewnętrznemu finansowaniu pozyskanemu na rynku kapitałowym, to lepiej płatne miejsca pracy, innowacyjne i konkurencyjne produkty i finalnie szybciej rozwijająca się gospodarka.

O perspektywach polskiego rynku kapitałowego rozmawiali goście debaty, którą zorganizowała Rada Gospodarcza Strefy Wolnego Słowa, której jestem prezesem. Swoją obecnością zaszczylili nas wybitni specjaliści w tej tematyce. Byli to:

- Katarzyna Szwarz (pełnomocnik rządu ds. Strategii Rozwoju Rynku Kapitałowego),
- Małgorzata Rusewicz (prezes Izby Zarządzających Funduszami i Aktywami),
- Marek Dietl (prezes Giełdy Papierów Wartościowych)
- Mirosław Kachniewski (prezes Stowarzyszenia Emitentów Giełdowych).

Goście dyskusji zwracali uwagę na liczne wyzwania, które stoją przed polskim rynkiem kapitałowym, ale za szczególnie istotne zagadnienie uznali regulacje. To, jakie będzie prawo i wymagania, które spełniać muszą emitenci, w znacznej mierze decydować będzie o przyszłości polskiej giełdy. Pojawił się także wątek edukacji i tego, jak może ona wpłynąć na większe zainteresowanie inwestowaniem na giełdzie. Wydaje się, że z wiedzą o finansach wciąż jest w Polsce słabo. Nie chcę zdradzać zbyt wielu szczegółów, ale sądzę, że najlepiej samodzielnie zapoznać się z debatą i zobaczyć, jakie wątki się w niej pojawiały. Interesujących treści z pewnością nie zabraknie.

Deбата dostępna jest pod adresem: <http://radagospodarcza-sws.pl/>



**Z Arturem Dziamborem,
posłem Konfederacji**
rozmawia Jakub Woźniński

JAKUB WOŹNICKI: Czym się różni propozycja tarczy antyinflacyjnej Konfederacji od projektu rządowego?

ARTUR DZIAMBOR: Trzeba przyznać, że w propozycji rządowej niektóre rozwiązania są dobre. Można więc powiedzieć, że presja ma sens. Po pierwsze, okazuje się, że podatki można obniżyć. Gdy my mówiliśmy o naszej tarczy antyinflacyjnej, to cała rządowa propaganda głosiła, że Konfederacja mówi o obniżkach podatków, a te są niemożliwe, albo że nie można obniżyć akcyzy, bo wtedy wyjmie się pieniądze z budżetu państwa. Po drugie, rząd obniża podatki na gaz, prąd i paliwo, co jest oczywiście krokiem w dobrym kierunku, ale nie rozumiemy, dlaczego

Rozdawnictwo musi się skończyć



bo rząd powinien po prostu obniżyć podatki, a nie tylko na trzy miesiące.

A czy Konfederacja zgłasza za tarczą, jeśli znajdzie się w niej zapis o dopłatach dla gospodarstw domowych?

I właśnie do tego zmierzam. W rządowym projekcie zapisano, że proponowane zmiany doprowadzą do obniżki ceny paliw o 20–30 gr, a w naszym projekcie było to nawet pięć razy tyle. Znalazła się też propozycja obniżki VAT na gaz ziemny z 23 proc. na 8 proc. – idźmy w to. Ale czemu tylko na trzy miesiące? Jest obniżka VAT na energię elektryczną do 5 proc., w naszym projekcie jest 0 proc., i to na stałe. Oprócz tego jest jeszcze postulat wprowadzenia zmian w handlu zielonymi certyfikatami, który sami zgłaszaliśmy. I w ten sposób dochodzimy do kwestii, którą pan poruszył, czyli dodatku osłonowego nazywanego wcześniej bonami. Dodatek ten podlega jakimś dziwnym kryteriom. W przypadku naszej propozycji na obniżce podatku korzystaliby wszyscy.

Gdyby więc każde z tych rozwiązań było wprowadzane osobno, to Konfederacja na pewno poprze większość z nich, które obniżają podatki, bo jest to kierunek, który popieramy od zawsze. Natomiast będziemy się starali wprowadzać poprawki, żeby zmiany nie obowiązywały tylko kilka miesięcy, ale cały czas. Jeśli jednak wszystkie zmiany zostaną przedstawione jako pakiet, czyli obniżamy podatki, a jednocześnie w tej samej ustawie dodrukujemy pieniądze, żeby zadowolić tzw. najmniej zarabiających, to będziemy się poważnie zastanawiali. Będziemy się starali poprawić tę ustawę w duchu naszych własnych propozycji.

Jakie skutki dla budżetu miałyby tarcza inflacyjna według projektu Konfederacji? Czy budżet na to stać?

W naszej tarczy postulujemy przede wszystkim zatrzymanie dodruku pieniędzy. Chodzi o rozdawnictwo uprawiane przez PiS, które sprawia, że inflacja u nas tak hula. Oczywiście cała Europa i cały świat cierpią przez koronawirusa na inflację, natomiast w naszym przypadku jest to doprowadzone do tak gigantycznej skali, jakiej nikt sobie nie wyobrażał. Do tego od zeszłego tygodnia mamy bardzo niebezpieczne ruchy na rynku

walut. Dodruk pieniędzy tutaj zatem nie pomaga, choć – jak wiedzą oczywiście doskonale rządzący – wysoka inflacja im pomaga, ponieważ zwiększa dochody podatkowe i sztucznie zmniejsza dług.

W naszej tarczy inflacyjnej przyjęliśmy założenie, że jeżeli więcej pieniędzy zostaje w kieszeniach, to zostają one wydawane na inne rzeczy i w ten sposób wpływy do budżetu zostają wyrównane. Na samym początku może to wyglądać na trudne, ale rząd jest sobie w stanie z tym poradzić. Te pieniądze i tak zostaną wydane przez ludzi.

Ile dokładnie zostałyby w kieszeniach Polaków, gdyby przyjąć waszą propozycję?

Mówimy o kwotach rzędu 30–40 mld zł, ale to na zasadzie modelu zakładającego obecną ściągalność podatków.

A ile trzeba by było ograniczyć po stronie wydatków? Zapewne transferów socjalnych...

Przy założeniu, że to trzeba jakkolwiek wyrównywać. A nie ma takiej potrzeby, jeśli chodzi o budżet. W niedawnej interpelacji zapytałem rząd, skąd wzięte zostaną na to pieniądze, jeśli – jak wynika z Polskiego Ładu – 17 mld zł więcej zostanie w kieszeniach Polaków. Znikąd tego nie wezmą, po prostu budżet się dostosuje do tej sytuacji. Natomiast jeśli chodzi o wydatki socjalne, to kwestia jest tylko taka – na które dodatki socjalne się zdecyduje. Czternasta emerytura to jest 15 mld zł, 13. to ponad 20 mld zł. „500+” to jest ponad 40 mld zł – a są to wszystko koszty, których wcześniej nie było. Przy dyskusji o jakichkolwiek projektach socjalnych trzeba brać pod uwagę, że można było przecież wykonać ruchy, które również zapewniłyby ludziom więcej pieniędzy, ale poprzez obniżkę podatków. Wyobrażam sobie projekt „500+”, ale jako ulgę podatkową dla osób, które mają dzieci.

W swoim programie Konfederacja proponuje obniżkę VAT do 15 proc.

W idealnym modelu tak właśnie powinno być, bo w tym momencie efektywny VAT mamy na poziomie 17 proc. (po uwzględnieniu wszystkich stawek i ulg). Gdybyśmy wszystko doprowadzili do idealnego modelu, to mielibyśmy VAT na poziomie 15 proc. na wszystkie towary, czyli tyle, ile wynosi minimalna stawka unijna. Mielibyśmy

tylko na kilka miesięcy. To oznacza, że w maju czy czerwcu wracamy do starych stawek, więc nie rozumiem, co to ma wnieść. Takie zmiany trzeba wprowadzać bezterminowo. Nasze poprawki będą szły właśnie w kierunku, aby to zmienić. Obniżenie akcyzy do minimalnego dopuszczalnego poziomu to dobra rzecz, natomiast jeśli chodzi o zwolnienie z podatku od sprzedaży detalicznej, to chciałbym zauważyć, że jest to podatek wprowadzony przez PiS. Miło więc, że go likwidują, ale to oni sami go wprowadzili. To samo jest z opłatą emisyjną. Partia rządząca najpierw nałożyła nowe podatki, które podniosły ceny, a teraz bohaterstwo z tym walczy. Te czasowe obniżki brzmią trochę dziwnie,

FOT. ANNA REZULAK / KFP/REPORTER

■ wtedy skrajnie ułatwiony system, bo niekoniecznie prawdą jest to, że trzeba likwidować wszystkie podatki – trzeba je uprościć. Dałoby to gigantyczny oddech przedsiębiorcom, bo wiedzieliby, na co się szykować.

Zobaczmy, jak będzie wyglądała sytuacja po 1 stycznia, gdy wejdą w życie te zmiany związane z tarczą antyinflacyjną, bo będziemy mogli zaobserwować, jak to wpływa na ściągalność podatków. Takiego ruchu do tej pory przez wiele lat nie mieliśmy. Jestem przekonany, że te zaoszczędzone przez Polaków pieniądze podreperują sprzedaż w innych gałęziach gospodarki.

Naznaczony wpływ na inflację ma polityka klimatyczna Unii. Czy wobec niemożliwości dokonania w niej zmian Konfederacja dopuszcza myśl o polexicie?

Od początku stoimy na stanowisku, że powinniśmy wypowiedzieć Zielony Ład, że nie powinniśmy wchodzić w „Fit for 55” oraz że powinniśmy zawrócić ten kurs zamykania kopalni. Jesteśmy zwolennikami energii atomowej i dobrze, że rząd jakieś kroki w tym kierunku czyni. Wiemy doskonale, że jest to długi proces. Polityka, którą narzuca obecnie Unia Europejska, przyniesie niestety na dłuższą metę tragiczne skutki. Europa sama siebie ogranicza na siłę. Niemcy nic sobie z tych ograniczeń nie robią, a Chiny, Rosja i Stany Zjednoczone mają to kompletnie gdzieś. Te kraje będą się rozwijały, a Unia Europejska nakładając tego rodzaju ograniczenia, zamyka sobie możliwości rozwojowe.

A co, jeśli Unia powie nam, że jeśli chcemy w niej pozostać, to tylko z „Fit for 55” i całą zieloną transformacją?

Nie sądzę, żeby doszło do czegoś takiego.

Dlaczego?

Unia Europejska nigdy nie narzucała takich rozwiązań, że albo wchodzimy w jakiś projekt, albo się zegnamy. To nie jest traktat lizboński. Poza tym nie jesteśmy jedynym krajem, który będzie chciał to zanegować, więc raczej nie dojdzie do takich kataklizmów. Musimy też poczekać i zobaczyć, jak będzie wyglądała polityka Unii po wymianie kanclerza Niemiec.

Na czym dokładnie polega wasz postulat „zatrzymania dodruku pieniądza”? Czy stopy procentowe powinny wzrosnąć jeszcze bardziej?

Jeśli będzie taka sytuacja, że inflacja dalej będzie się rozkręcać, trzeba będzie te wszystkie programy socjalne zredukować

Niepodnoszenie stóp procentowych w sposób regularny skończyło się tragicznie. Problem polega na tym, że gdy PiS podjął decyzję o uchwaleniu tarczy antykrzysowej po lockdownie, nagle znalazł 220 mld zł i wpuścił je na rynek. Ta tarcza będzie kiedyś jakimś tematem na komisję śledczą, ponieważ to, w jaki sposób były rozdawane te pieniądze, musi zostać opisane i skontrolowane. Wielu przedsiębiorców na tym mocno ucierpiało. Pieniądze, które dostawali, były absolutnie niewystarczające do absolwenta działalności i niedawno okazało się np., że w ciągu roku zamkniętych zostało 10,5 proc. wszystkich lokali gastronomicznych. Ktoś, kto miał 30 tys. zł kosztów miesięcznie, dostawał 5 tys. zł postojowego, i to przez pół roku. Teraz mamy procesy zbiorowe branży gastronomicznej i branży fitness przeciwko Skarbowi Państwa.

Gdy mówię o dodruku pieniądza, to odnoszę się do tego, że PiS najpierw mówi, że budżet jest zrównoważony, potem utrzymuje, iż ma bardzo wielkie dziury, a potem nagle znajduje 220 mld zł na tarczę kryzysową, aż w końcu okazuje się, że jest nadwyżka w wysokości 80 mld zł. To wszystko świadczy o tym, że te ruchy na złotym, które prowadzi NBP, ale też przede wszystkim Ministerstwo Finansów i jego tarcze antykrzysowe, doprowadziły do osłabienia złotych. Gdy mówimy o dodrukowywaniu pieniędzy, to mówimy o wrzucaniu na rynek w ramach programów socjalnych kolejnych kwot, które nie biorą się z tego, że państwo jest takie bogate i ma tyle pieniędzy, tylko dlatego, że je kreuje.

A jeśli te wszystkie propozycje mimo wszystko okażą się niewystarczające dlatego, że inflacja to w tej chwili zjawisko globalne i nie da się jej powstrzymać dostępnymi nam środkami?

Wówczas trzeba będzie uświadomić sobie to, o czym mówimy od samego początku istnienia naszego środowiska. Trzeba będzie zawrócić z tego

socjalistycznego kursu, w którym utrzymujemy gigantyczny aparat państwowy. Mamy miliony pracowników w sferze budżetowej, a państwo zajmuje się tym, czym nie powinno. Mamy ogromne koszty programów socjalnych, które zostały stworzone przez rząd PiS głównie po to, aby utrzymać wysokie poparcie w sondażach. Wszyscy wiemy o tym, że jest to łapówka dla wyborców. Rząd nie powinien nigdy dawać pieniędzy w gotówce, tylko ich nigdy nie odbierać. Byłaby to gotówka zarobiona, a nie wykreowana przez rząd.

Jeżeli będzie taka sytuacja, że inflacja dalej będzie się rozkręcać, a tak najprawdopodobniej będzie – wówczas będzie trzeba te wszystkie programy socjalne zredukować, będzie trzeba się zastanowić, jak zrobić tak, żeby ludzie dostawali więcej pieniędzy, ale własnych pieniędzy. Konieczny będzie także porządny audyt zobowiązań państwa, ponieważ w tej chwili ponad 80 proc. budżetu to są koszty stałe, twarde. Obecny rząd rozdmuchał te zobowiązania do niewyobrażalnych rozmiarów. Nie dość, że zwiększył transfery socjalne, to jeszcze rozdmuchał przywileje dla wybranych grup zawodów. Premier powiedział właśnie, że zamrozą rozwój zatrudnienia w administracji. Ale co to oznacza? Że od jutra nie będą nikogo przyjmować do pracy? Jestem z Gdyni, a w Gdyni największym pracodawcą jest urząd miasta, w ciągu ostatnich 10 lat poziom zatrudnienia w nim wzrósł chyba o połowę. Zatrudnienie w administracji można zredukować na wiele sposobów. Mamy np. powiaty, które można by już dawno temu zlikwidować, gdybyśmy chcieli doprowadzić do jakiejś realnej zmiany. To na pewno nie jest łatwe, ale wszystkie dotychczasowe rządy robiły zawsze wszystko, aby być u władzy. A żeby to osiągnąć, przekupywano jakąś grupę wyborców podwyżkami lub rozdawnictwem. To się musi kiedyś skończyć. Nie chcemy zobaczyć np. chleba za 10 zł, ale żeby do tego nie doszło, trzeba obniżyć podatki i zrezygnować z programów socjalnych lub przynajmniej z ich części, które zostały wprowadzone w ostatnich latach. Rząd PiS musi zrozumieć, że zbłądził, że te sześć lat rozdawania wyborcom prezentów musi się kiedyś skończyć. I dzisiaj się właśnie kończy.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Geniusze od abrakadabry

Niedawno uznałem w tym miejscu, że Polacy żądają wyższej inflacji. Uznałem tak, ponieważ z sondażu pracowni badań społecznych Kantar dla „Faktów” TVN i TVN24 niezbicie wynikało, że nękająca nas od ponad roku inflacja nie martwi aż 21 proc. Polaków – 10 proc. z nas wzrost cen „raczej nie martwi”, 9 proc. „zdecydowanie nie martwi”, a 2 proc. „nie ma zdania w tej sprawie”, czyli szalejący wzrost cen też ich najpewniej nie martwi, bo gdyby martwił, to wskazywałoby na możliwości, które wybrało 79 proc. Polaków: że wzrost cen martwi ich „zdecydowanie” (61 proc.) lub martwi ich „raczej” (18 proc.).

Wszelako, jak się okazuje, jest „jeszcze gorzej”, choć niektórzy – ci mianowicie, którzy marzą, by inflacja na zawsze pozostała niezauważona (a takich nie brakuje, nie tylko wśród rządzących polityków), mogą uznać, że jest „jeszcze lepiej”. Otóż bowiem badanie związku inflacji z wartością nabywczą własnych zarobków, przeprowadzone na potrzeby projektu ciekaweliczby.pl na panelu Ariadna, dowiodło, że 9 proc. Polaków... w ogóle nie zauważyło inflacji! To dopiero cymesik, nieprawdaż?

Ale i na tym przecież nie koniec tego „dobrego” (tego „złego”?), ponieważ 8 proc. badanych uznało, że z powodu inflacji – jeśli odłożą jakąś sumę pieniędzy – za rok będą mieli tych pieniędzy o tyle procent więcej, ile wyniesie inflacja, a kolejne 5 proc. stwierdziło, że wartość ich oszczędności się nie zmieni. Aż 10 proc. przyznało zaś, że

nie ma pojęcia, co się z ich oszczędnościami stanie.

Koniec końców zaledwie 77 proc. badanych – tak, w tych dramatycznych okolicznościach koniecznie trzeba dodać, i to dużymi literami: **ZALEDWIE** 77 proc. badanych – udzieliło odpowiedzi prawidłowych. Przy okazji rzuciło się w oczy, że spośród ni w żąb niepojmujących mechanizmu inflacji 20 proc. to wyborcy PiS, 14 proc. – Polski 2050, a 9 proc. – Koalicji Obywatelskiej.

Innymi słowy: inflacja jest dla niemal co czwartego Polaka niczym abrakadabra – jest dlań czymś, czego nie rozumie ni w żąb, nawet w stopniu elementarnym, a to z pewnością nie utrudnia rządzenia Polakami rządzącym nimi geniuszom.

Geniuszom, którzy nie od dziś, z wiadomym skutkiem, specjalizują się w zalecaniu – w walce z szalejącą inflacją – a to uporczywego utrzymywania stóp procentowych na odpowiednio niskim poziomie, a to ustawicznego nakładania nowych podatków i windowania już istniejących, a to wreszcie zalewania rynku wciąż nowymi falami pieniędzy, rzecz jasna, w znacznej mierze z kredytu – w postaci wszelakich ekstrazasiłków i ekstraemerytur, kosmicznych waloryzacji emerytur, gigantycznych podwyżek płacy minimalnej, tarcz antykrzysowych, itd., itp.

A skoro nadal mogą to robić, bo rządzi abrakadabra – to robią to. Bo czemu mieliby nie robić? I wymuszona chwilowa obniżka niektórych podatków niestety aż tak wiele tu nie zmienia. ©©

NOTATNIK MALKONTENTA

My, Unia Europejska



ŁUKASZ WARZECHA

Jak Państwo sądzą, ile czasu można dyskutować – z autentyczną werwą – na temat rozmiaru, kształtu, czcionki i materiału, z którego powinny być wykonane tablice dokumentujące, że do danej inwestycji dołożyła się Unia Europejska ze swoich funduszy? Górnej granicy czasowej Państwu nie podam, ale na podstawie niedawnych doświadczeń osobistych, zdobytych w Brukseli, mogę zapewnić, że muszą to być naprawdę długie roboczo-godziny (czy może raczej nasiadogodziny), skoro urzędnicy z Komisji Europejskiej są w stanie opowiadać o tym przez kilkanaście minut w czasie ledwie godzinnego spotkania.

Wydawałoby się, że to prosta sprawa: UE się dokłada (ale przecież, pamiętajmy, fundusze spójności pochodzą także z naszych składek!), gdzieś tam się umieszcza stosowną informację i tyle. Otóż nie, sprawa wcale nie jest prosta! Tablica musi być bowiem – zdaniem urzędników – należyście monumentalna, co by wkład unijny nie został pominięty. Musi być także odpowiednio czytelna, aby każdy zainteresowany, mógł sobie przeczytać, że te 150 metrów chodnika położono dzięki przychyłności i dobroci jaśniepaństwa z Brukseli.

Niebagatelną kwestią jest w końcu materiał, z którego tablica zostanie wykonana. Zwykła ocynkowana blacha może przecież zardzewieć. Może zatem mosiądz? Ładnie się prezentuje, jest trwały i elegancki. W niektórych przypadkach mógłby przetrwać dłużej niż sama inwestycja. W wypowiedziach (polskich zresztą) urzędników KE, odpowiadających za fundusze, uderza pewna maniera znamionująca sposób myślenia. Nie ma tam refleksji o tym, że przecież wszelkie unijne pieniądze to są również pieniądze nasze. I że nic, co od UE dostajemy, nie jest „za darmo”. Oni mówią: „daliśmy”, „wsparliśmy”, „przekazaliśmy”, przez „my” rozumiejąc „my, Unia”. My, Unia, wsparliśmy proszących dziadów z Polski, a jak dziady chciały sobie uchwaląć jakieś niepoprawne deklaracje o łamszeniu mniejszości, to dziadów przeczogaliśmy, aż wrócili do nas po prośbie.

A te tablice to ja bym proponował robić z tytanu. ©©

Ćwierkająca zmiana



Jacek Przybylski

Po zmianie kapitana Twitter szykuje się do ofensywy na rynku mediów społecznościowych. Czy ćwierkający serwis ma szansę stać się tak modny jak TikTok, Instagram czy Facebook? I czy wreszcie zaczną przynosić inwestorom sowite zyski?

Ma zaledwie 45 lat. Na pomysł stworzenia platformy typu Twitter wpadł jeszcze w latach 90. jako student na Uniwersytecie Nowego Jorku. Przerwał więc studia i przeniósł się do Kalifornii. W Dolinie Krzemowej Jack Dorsey wraz z Evem Williamsem, Noahem Glassem i Bizem Stonem w roku 2006 założył ćwierkający serwis społecznościowy. Spółką kierował zaś do roku 2008. Na stanowisko dyrektora generalnego jednego z największych gigantów technologicznych na świecie powrócił w roku 2015. Dopiero w 2019 r. Twitter wypłacił mu jego pierwszą roczną pensję. Wynosiła ona wówczas 140 centów (równowartość 57 gr) i w symboliczny sposób nawiązywała do 140 znaków, które nadal obowiązują jako limit długości twitterowego wpisu.

Jack Dorsey nie klepie jednak biedę. I nie musi wcale, tak jak niektórzy polscy celebryci, dorabiać, pozytywnie ćwierkając o dobrych restauracjach czy modnych ciuchach. Miliarderem został, gdy Twitter wszedł na giełdę. Jego majątek – którego większość stanowią udziały w innej znanej spółce: Square – Bloomberg i Forbes szacują obecnie na mniej więcej 12 mld dol. Szału nie ma? To prawda. Dorsey ledwo utrzymuje się w pierwszej dwusetce najbogatszych miliarderów świata, a do najbogatszego człowieka świata – Elona Muska – według ubiegłotygodniowych wycen brakowało mu 285 mld dol.

Biedacek pracować już jednak nie musi. Przeciętny Amerykanin, aby zgromadzić majątek tej wartości, musiałby zaś

odkładać wszystkie zarobione przez siebie pieniądze przez mniej więcej 178 tys. lat. Zresztą przeciętnemu zjadaczowi chleba wystarczyłaby zapewne nawet kwota, którą Dorsey zainkasował, sprzedając swój pierwszy tweet w formie niewymienialnego tokenu NFT. Za opublikowany 21 marca 2006 r. „ćwierk” o treści „Just setting up my twttr” – nazywany już przez niektórych „Mona Lisą tweetów” – współzałożyciel Twittera zgarnął w tym roku 2,9 mln dol. (11,76 mln zł) i przekazał ten dochód działającej w Afryce fundacji charytatywnej.

Sam Dorsey nie bierze bowiem udziału w wyścigu o wejście do pierwszej setki najbogatszych. Dużą część majątku już rozdał – w 2015 r. przekazał pracownikom swojej spółki jedną trzecią własnych udziałów – a do pozostałej zapewne też nie przywiązuje aż tak wielkiej wagi, zważywszy, że sam prognozuje, iż najpierw Stany Zjednoczone, a potem cały świat czeka wkrótce koszmarna hiperinflacja. „Hiperinflacja zmieni wszystko. To już się dzieje” – ostrzegł w październiku współzałożyciel Twittera po tym, jak inflacja w Ameryce osiągnęła najwyższy poziom od trzech dekad, namawiając do kupowania bitcoinów i innych kryptowalut. Wielu ekspertów przestrzega jednak, że polityka agresywnego inwestowania w kryptowaluty może na dłuższą metę okazać się zgubna. Bitcoin i inne kryptowaluty mają co prawda z góry określoną wysokość inflacji i nie można nagle dodrukować ich więcej, ale nie wiadomo, jak będą wyceniane kryptowaluty, gdy największe banki centralne świata zakończą psucie pieniądza i zaczną podnosić stopy procentowe.

Być może właśnie brak wiary w wartość drukowanego pieniądza sprawia, że Dorsey jest też zwolennikiem dochodu podstawowego.

ODEJŚCIE CENZORA

O tym, czy współtwórca serwisu powinien nadal piastować funkcję dyrektora, inwestorzy debatowali już w ubiegłym roku. Dorsey był krytykowany między innymi za to, że stoi jednocześnie na czele dwóch spółek i nie poświęca Twitterowi wystarczająco dużo uwagi.

Pod koniec listopada ostatecznie zrezygnował ze stanowiska prezesa, ale co najmniej do przyszłego roku pozostanie członkiem rady nadzorczej. „Zdecydowałem się odejść z Twittera, bo wierzę, że firma jest gotowa pójść dalej niż jej założyciele” – zaświerkał w serwisie @jack, który wśród pracowników cytowanych przez „Wall Street Journal” miał opinię szefa, który zdecydowaną większość swoich obowiązków delegował na innych, aby samemu móc oddawać się prywatnym pasjom. Współzałożyciel Twittera nadal pozostaje jednak w świecie nowoczesnych technologii. Ciągłe zarządza bowiem istniejącą od roku 2009 spółką Square, która zajmuje się obsługą płatności mobilnych i której przychody w ubiegłym roku wyniosły 9,5 mld dol.

Trudno się jednak dziwić, że na wieść o odejściu współzałożyciela z funkcji prezesa wartość akcji Twittera zaczęła gwałtownie rosnąć. Ćwierkająca platforma, choć od lat jednym tchem wymieniana jest obok innych gigantów mediów społecznościowych, takich jak Facebook czy TikTok, nadal nie ma aż tylu użytkowników jak serwis Zuckerberga ani nie jest tak modna jak założona w 2016 r. chińska aplikacja. Ćwierkający serwis ma jednak to szczęście, że jest popularny zwłaszcza wśród polityków, dziennikarzy i celebrytów. Krótkie informacje są często cytowane w tradycyjnych mediach. Ogromną reklamę serwisowi zrobił w ostatnich latach zwłaszcza były amerykański prezydent Donald Trump, który – paradoksalnie – pod koniec swojej kadencji został przez władze serwisu pozbawiony dostępu do własnego konta, obserwowanego wówczas przez niemal 90 mln osób. Dorsey poparł wówczas decyzję o ocenzurowaniu przywódcy Ameryki, oskarżając Trumpa o „mowę nienawiści” i zupełnie ignorując pierwszą poprawkę do amerykańskiej konstytucji, która gwarantuje każdemu wolność słowa.

Jednocześnie Twitter pozwolił talibom na kontynuowanie ćwierkania pod warunkiem unikania „gloryfikowania przemocy”. Władze amerykańskiego serwisu społecznościowego, cenzurując

Donalda Trumpa, stanowczo potępiły też cenzurę w Ugandzie, gdzie władze zdecydowały o wyłączeniu przed wyborami takich serwisów jak Twitter, WhatsApp czy Signal. Można mieć nadzieję, że następca Dorseya nie będzie aż takim cynikiem, choć i on związany ze spółką jest od 11 lat. Nowy szef Twittera – dotychczasowy dyrektor ds. technologii 37-letni Parag Agrawal – to Amerykanin pochodzenia indyjskiego. Od Dorseya różni się choćby tym, że to człowiek nauczony ciężkiej roboty. Jest pierwszym w historii spółki laureatem nagrody Distinguished Engineer.

To on ograniczył wpływ sztucznej inteligencji na algorytm serwisu, który był odpowiedzialny za przycinanie zdjęć. A także przyczynił się do zwiększenia liczby aktywnych użytkowników serwisu.

CEL: 315 MLN

Agrawal, jeden z najmłodszych prezesów amerykańskich firm technologicznych, ma szansę osiągnąć wyjątkowo ambitne cele, które przed zarządem serwisu stawiają inwestorzy, licząc na to, że wreszcie zaczną osiągać

przywzwoite stopy zwrotu z kapitału. Do końca 2023 r. liczba aktywnych użytkowników dziennie ma wynieść co najmniej 315 mln. Do tego czasu przychody spółki mają zaś ulec podwojeniu. Wyniki nowej strategii już zresztą widać. W lipcu spółka ogłosiła, że przychody Twittera wzrosły do poziomu 1,19 mld dol. i były aż o 74 proc. wyższe w porównaniu z tym samym miesiącem rok wcześniej. Nieźle, zważywszy na to, że przychody w całym roku 2020 wyniosły 3,72 mld dol. Jednocześnie spółka zwiększyła o ponad 10 proc. liczbę aktywnych użytkowników dziennie – na koniec drugiego kwartału było ich już 206 mln. Całkiem przyzwoicie, biorąc pod uwagę fakt, że w 2013 r. – gdy Twitter wchodził na giełdę – aktywnych użytkowników było dziennie ok. 100 mln.

Aby zyskać nowych użytkowników, Twitter przygotowuje się m.in. do wprowadzenia nowych reakcji na posty. Poza serduszkami ma to być ponoć m.in. zamyślona buźka, smutna twarz, rozesmiana buźka oraz okłaski.

W tym roku na terenie Stanów Zjednoczonych i Nowej Zelandii serwis uruchomił już też długo zapowiadaną usługę

Twitter Blue, czyli wersję premium ćwierkającej platformy. W ramach usługi wprowadzono m.in. możliwość edycji wysłanego już tweeta (choć i tak trzeba się spieszyć, bo funkcja działa przez 30 sekund od publikacji), dodatkowe motywy kolorystyczne oraz możliwość lepszej kontroli prywatności i odbierania niechcianym użytkownikom możliwości obserwowania własnego profilu. W płatnej wersji serwisu nie trzeba też oglądać reklam, przeglądając popularne strony na platformie (choć reklamy w aplikacji pozostają). W Stanach Zjednoczonych płatna wersja kosztuje 2,99 dol. miesięcznie (w Polsce ma kosztować 14 zł miesięcznie). Twitter zadeklarował, że podzieli się przychodami z subskrypcji z wydawcami. We wrześniu Twitter ogłosił też wprowadzenie subskrypcji Super Follow, umożliwiającej twórcom udostępnianie części treści tylko tym użytkownikom, którzy za taki dostęp zapłacą.

Od tego, czy próby dywersyfikacji przychodów okażą się skuteczne, zależy to, jak dochodowa będzie platforma w przyszłości. I czy Twitter wreszcie pozwoli zarabiać inwestorom.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

tylko w empi

KEN FOLLETT

NIGDY

KEN FOLLETT

NIGDY

NOWA POWIEŚĆ

KENA FOLLETTA

Dziewięć państw na świecie posiada arsenał nuklearny. Każde z nich może w mgnieniu oka zniszczyć ziemską cywilizację.

To nie powinno zdarzyć się... NIGDY. A jednak niewiele trzeba, by wydarzyło się... WKRÓTCE.

DOSKONAŁY THRILLER, W KTÓRYM LOSY ZWYKŁYCH LUDZI PRZEPLATAJĄ SIĘ Z WIELKĄ POLITYKĄ.

WYBUCHOWA MIESZANKA, RÓWNIE PASJONUJĄCA JAK UPADEK GIGANTÓW.

KENFOLLETT.PL

empik

salony / online / aplikacja

WYDAWNICTWO ALBATROS

6-12 XII 2021 49/2021

eprasa.pl 01277aa98f

81



Łukasz Zboralski

Największa gwiazda polskiego futbolu musi grać z reprezentacją, z której trenerzy nie mogą nic sensownego wykrzesać, i w czasach budzących wątpliwości plebiscytów. To się nazywa pech!

Raz to się może zdarzyć. Raz można było ograć Roberta Lewandowskiego w najśłynniejszym piłkarskim plebiscycie i po prostu nie przyznać Złotej Piłki – bo, wiadomo, pandemia, dziwny 2020 r. Ale zrobić coś takiego po raz drugi, to już jawny afront. To właśnie zaserwowano „Lewemu”. W tym roku najwyższe piłkarskie wyróżnienie po raz siódmy przyznano Lionelowi Messiemu.

Chyba nikt tak nie czeka na Złotą Piłkę, przyznawaną przez „France Football” od 1956 r., jak polscy kibice. Głównie dlatego, że w ubiegłym roku Lewandowski był właściwie pewniakiem do zwycięstwa. Wówczas jednak redakcja francuskiej gazety podjęła nieoczekiwaną decyzję i postanowiła nie przyznać nikomu Złotej Piłki. – Nie byłoby „normalnego” czy typowego zdobywcy Złotej Piłki, a co nas bardziej martwiło – wyróżnienie nie byłoby przyznane sprawiedliwie – stwierdził wówczas redaktor naczelny „France Football” Pascal Ferre. Argumenty? Bo w styczniu i lutym ubiegłego roku wszyscy grali mecze przy pełnych trybunach, a potem już przy pustych. Później zmieniły się zasady zmian i można było dokonywać pięciu zamiast trzech. W dodatku zmienił się format rozgrywek i pojawił się turniej Final Eight w Lidze Mistrzów. Czy to były naprawdę wielkie przeszkody, by przyznać Złotą Piłkę? Chyba nie. Lewandowski – który miał wtedy wspaniały sezon – musiał obejść się smakiem. A wraz z nim polscy kibice.

JAK TO SIĘ MOGŁO STAĆ?

Dlatego w tym roku oczekiwania w Polsce były dwukrotnie większe. I znów nic z tego. Złotą Piłkę podarowano Messiemu. Gorycz tym większa, że Lewandowski przegrał z Argentyńczykiem 33 punktami. Messi dostał ich 613, a Polak – 580 (trzeci w plebiscycie Jorginho tracił do „Lewego” już prawie sto punktów).



FOT. AURELIEN MEUNIER/GETTY IMAGES

To oznacza, że wystarczyłaby zmiana głosów zaledwie sześciu ze 180 dziennikarzy głosujących w plebiscycie, by Polak cieszył się z trofeum. Dlaczego tak się nie stało?

Trochę odpowiada za to „kuchnia” plebiscytu. Najlepszego piłkarza roku wybierają bowiem dziennikarze sportowi z całego świata. Także tacy, którzy niezbyt dobrze znają się na piłce. Najtrafniej ujął to Stefan Szczepłek z „Rzeczpospolitej”: „W tym plebiscycie głos fachowego elektora z Anglii, Niemiec, Hiszpanii czy Włoch ma taką samą wagę jak punkty przyznawane przez mających mgliste pojęcie o piłce dziennikarzy z egzotycznych krajów. Przekonywałem się o tym wielokrotnie podczas swoich dziennikarskich podróży po świecie” – napisał, podsumowując werdykt w sprawie Złotej Piłki. Krótko mówiąc, prawdopodobnie zadziałała magia nazwiska. Messi to widocznie wciąż marka lepiej rozpoznawalna w najdalszych zakątkach globu. I – co trzeba oddać Argentyńczykowi – przecież zasłużenie. To piłkarski geniusz. No i w tym roku wygrał Copa America z reprezentacją Argentyny, a polska reprezentacja narodowa będzie w barażach walczyć, by w ogóle wystąpić na mistrzostwach świata...

Inni z kolei związek porażki „Lewego” widzą w tym, że gra w Bundeslidze. To oczywiście mocna liga piłkarska, ale jednak nie tak gigantycznie rozpoznawalna jak brytyjska, hiszpańska i włoska.

W swoich analizach porażki Lewandowskiego, dziennikarz TVP Sport zauważył, że od dawna

Bundesliga nie jest postrzegana jako ta, w której grają najlepsi piłkarze na świecie. Zdaniem Marcina Iwankiewicza, jeśli gdzieś w odległych krajach ktoś włącza telewizor, by obejrzeć mecz piłkarski, to raczej wybiera nawet przeciętny mecz z Messim i Neymarem w niż ligowe spotkanie Bayernu.

Szczepłek zauważył też, że w takim sezonie, gdy nikt nie dokonał niczego na-

prawdę przyćmiewającego innych na boiskach, pod uwagę wzięto całość kariery. I to też zgadza się z plebiscytową kuchnią. Wyjaśnijmy – głosujący na piłkarzy dziennikarze spośród 30 nominowanych do nagrody wybierają sześciu. I układają od najlepszego do najgorszego. Pierwszy dostaje od nich sześć punktów, ostatni – jeden. Oceniają według następujących kryteriów: obecna forma zawodnika, zdobyte trofea, klasa zawodnika i dotychczasowa kariera gracza.

„PERDÓN, ROBERT”

A jednak nie tylko w Polsce zauważono pewną niestosowność w odarciu Lewandowskiego ze Złotej Piłki. Argentyński dziennik „La Nación” napisał „Przepraszamy, Robercie”, bo uznał, że „France Football” się pomylił. Dziennikarze zauważyli, że Messi po raz drugi przy odbieraniu Złotej Piłki musiał odczuwać pewien dyskomfort. Podobnie jak przy Lewandowskim Messi miał się czuć przy Andrésie Iniesta w 2010 r. Wówczas wybór uznano za tak niesprawiedliwy dla Iniesty, że naczelny „France Football” wyduł się: „Przepraszam, Andre”.

Tegoroczne zmieszanie Messi opanował w inny sposób. Odbierając trofeum, zwrócił się do Polaka: – Uważam, Robercie, że ty zasłużyłeś na Złotą Piłkę w ubiegłym roku. Powinieneś wygrać. Wszystkiemu przeschodziła pandemia, ale uważam, że też powinieneś mieć tę nagrodę u siebie w domu.

Chyba nie tylko on poczuł się źle z tym, co się stało. Ferre przyznał, że sam głosował w tym roku na Lewandowskiego i dla niego to Polak był numerem jeden. Najciekawiej zrobiło się jednak po plebiscycie, gdy portal Sport1.de dopytywał go, czy może jednak zostanie przyznana zaległa nagroda za rok 2020. Redaktor naczelny „France Football” tego nie wykluzył, choć wcześniej gazeta kategorycznie odrzucała takie pomysły. – Myślę, że nie musimy podejmować decyzji bardzo szybko. Możemy o tym pomyśleć, a jednocześnie szanować historię Złotej Piłki, która opiera się na wyborach – powiedział teraz Ferre.

Zanim jednak „Lewy” dostanie ewentualną zaległą Złotą Piłkę, odbierze piłkę... z soli. Bo taką wręczy mu samorząd Wieliczki. Wszystko to efekt nietypowego projektu uchwały rady, który złożył wielicki radny Kamil Jastrzębski z Porozumienia Gowina. Zgodnie z tą uchwałą samorząd oficjalnie nie uznaje wyników plebiscytu Złota Piłka 2021 i stwierdza, że „najlep-

szym piłkarzem świata w roku 2021 jest p. Robert Lewandowski, a nie p. Lionel Messi”.

Projekt uchwały to rzecz oryginalna i zabawna, ale wieliczcy samorządowcy wpadli przy okazji na inny pomysł. I przyznają Lewandowskiemu – jeszcze w tym roku – własną nagrodę nazwaną roboczo Solną Piłką. Wyróżnieniem tym rada miejska Wieliczki ma jednocześnie symbolicznie uznawać „Lewego” za najlepszego piłkarza świata. No i takiej nagrody Messi, choćby nie wiem, jak się starał, na pewno nigdy nie zdobędzie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Złota Piłka 2021 zestawienie po głosowaniu

1. Lionel Messi (Barcelona/Paris Saint-Germain, Argentyna)
2. Robert Lewandowski (Bayern Monachium, Polska)
3. Jorginho (Chelsea, Włochy)
4. Karim Benzema (Real Madryt, Francja)
5. N'Golo Kanté (Chelsea, Francja)
6. Cristiano Ronaldo (Manchester United, Portugalia)
7. Mohamed Salah (Liverpool, Egipt)
8. Kevin De Bruyne (Manchester City, Belgia)
9. Kylian Mbappé (Paris Saint-Germain, Francja)
10. Gianluigi Donnarumma (Paris Saint-Germain, Włochy)
11. Erling Braut Haaland (Borussia Dortmund, Norwegia)
12. Romelu Lukaku (Chelsea, Belgia)
13. Giorgio Chiellini (Juventus, Włochy)
14. Leonardo Bonucci (Juventus, Włochy)
15. Raheem Sterling (Manchester City, Anglia)
16. Neymar (Paris Saint-Germain, Brazylia)
17. Luis Suárez (Atletico Madryt, Urugwaj)
18. Simon Kjær (Milan, Dania)
19. Mason Mount (Chelsea, Anglia)
20. Riyad Mahrez (Manchester City, Algieria)
21. Bruno Fernandes (Manchester United, Portugalia)
22. Lautaro Martinez (Inter, Argentyna)
23. Harry Kane (Tottenham, Anglia)
24. Pedri (Barcelona, Hiszpania)
25. Phil Foden (Manchester City, Anglia)
26. Nicolo Barella (Inter, Włochy)
27. Rúben Dias (Manchester City, Portugalia)
28. Gerard Moreno (Villarreal, Hiszpania)
29. César Azpilicueta (Chelsea, Hiszpania)
30. Luka Modrić (Real Madryt, Chorwacja)

TEST „DO RZECZY”: OCZYSZCZACZ POWIETRZA HAMA SMART

Ciekawy wygląd, wysokiej klasy filtr HEPA oraz możliwość sterowania oczyszczaczem za pomocą aplikacji – to największe zalety oczyszczacza powietrza niemieckiej firmy Hama.

Nasz kraj wciąż należy niestety do niechlubnej czołówki krajów Unii Europejskiej, jeśli chodzi o zanieczyszczenie powietrza. Smog unoszący się nad ulicami miast i miasteczek to niejedyny wróg. Również w mieszkaniu lub w domu trzeba uważać, aby nie zatruwać się szkodliwymi substancjami. Na szczęście oczyszczacze powietrza potaniały już na tyle, że niemal w każdym domu może znaleźć się urządzenie, które usuwa nie tylko szkodliwe pyły zawieszone PM2,5 oraz PM10, lecz także lotne związki organiczne uwalniające się z mebli czy paneli oraz zmniejsza problemy alergików uczulonych na domowy kurz, koty, psy etc.

Testowany oczyszczacz powietrza Hama Smart ma ciekawy, nowoczesny wygląd. Dużym plusem jest również zaawansowany filtr HEPA. W testowanym urządzeniu poza tradycyjnym filtrem wstępnym oraz węglowym producent zastosował również filtr typu HEPA13, który należy do jednych z najbardziej skutecznych na rynku. Teoretycznie całkowita skuteczność filtracji powinna w tym przypadku wynosić nawet 99,95 proc. Tego typu filtry stosowane są więc już np. w szpitalach, zakładach produkujących żywność, a także w markowych odkurzacach i klimatyzatorach. Są oczywiście oczyszczacze, które wykorzystują jeszcze skuteczniejszy filtr HEPA H13, ale są zazwyczaj sporo droższe. Filtr zastosowany



przez Hamę jest zaś tańszy, a powinien już zadowolić większość kupujących.

Urządzenie może automatycznie analizować jakość powietrza w pomieszczeniu i dostosowywać

do wyniku moc pracy. Można też samodzielnie przełączyć tryb na wyższy/nniższy (do wyboru są niski, średni i wysoki) lub zrobić to zdalnie za pomocą aplikacji na smartfonie (wówczas można poprosić o wykonanie tej czynności asystenta głosowego Google lub Alexę). Aplikacja pozwala również na to, aby w czasie rzeczywistym monitorować jakość powietrza, i np. na ustawienie podczas powrotu z biura do domu wyższego trybu oczyszczania, aby po wejściu do domu powietrze było w nim już czyste.

Wygodnym rozwiązaniem jest również funkcja timera, dzięki której urządzenie można zaprogramować na dwie godziny pracy, cztery lub osiem.

Niewielki sprzęt (o wymiarach 24,4 x 24,4 x 54,4 cm) przeznaczony jest do pomieszczeń o wielkości do 65 mkw., ale wydaje się, że w praktyce lepiej ustawiać go w pokojach o mniejszej powierzchni niż 65 mkw. Producent szacuje żywotność filtra na okres od 6 do 12 miesięcy.

Wady? W urządzeniu brakuje rączki bądź uchwyty do przenoszenia podczas sprzątania, a niestety nawet w domu z dobrze oczyszczonym powietrzem odkurzać trzeba. Lepiej mógłby też być sparowany kolor urządzenia i kabla zasilającego, który niepotrzebnie się wyróżnia. Bardziej dopracowana mogłaby być również sama aplikacja (zwłaszcza pod kątem językowym).

Poza tymi drobiazgami stosunek ceny do jakości jest jak najbardziej zadowalający. Za oczyszczacz powietrza Hama Smart trzeba zapłacić 589 zł. ©©

Jacek Przybylski

EFEKTY NATYCHMIASTOWE

Fujifilm Instax Mini Evo na pierwszy rzut oka wygląda na sprzęt mocno zabytkowy. Za designem w stylu retro skrywa się nowoczesny aparat cyfrowy, który łączy możliwości typowej „cyfrówki” z drukarką do zdjęć natychmiastowych. W przeciwieństwie do wcześniejszych modeli aparatów natychmiastowych Instax Mini Evo pozwala przed wydrukiem wprowadzić na wybraną fotografię ponad 100 różnego rodzaju efektów. Producent zapewnia, że zdjęcia z aparatu można również łatwo przesłać na smartfona. Premiera nowego modelu zapowiedziana jest na luty. Fujifilm Instax Mini Evo został wyceniony na 200 dol., czyli równowartość 832 zł.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIRTUALNY TRENER BOKSU

W czasach covidowych ograniczeń coraz popularniejsi stają się trenerzy wirtualni. Na jednym z portali crowdfundingowych pojawił się więc pomysłodawca bokserskiego worka treningowego typu smart, który w połączeniu

z inteligentnymi rękawicami potrafi na bieżąco monitorować szybkość, moc oraz liczbę uderzeń. Wirtualny trener może także poradzić, z którego kierunku i w jaki sposób uderzać, aby poprawić technikę. Cena kompletu treningowego – worek, rękawice i dożywotni dostęp do aplikacji – wynosi 548 funtów, czyli równowartość 3050 zł. ©©

Jacek Przybylski



W KUCHNI WIERSZEM

Uwielbiamy gotować z moimi córeczkami. Często towarzyszy nam moja żona Małgosia, podsuwając nowe pomysły na potrawy, bo jest w tym świetna. I właśnie to wspólne spędzanie czasu w kuchni było inspiracją do napisania książki (i być może kolejnych) z rymowanymi przepisami dla dzieci. Widzimy, jaką radość nam wszystkim to sprawia. Ile satysfakcji ma Kornelia, która przygotowuje jedną z ulubionych potraw, a starsza siostra Adela jej przy tym pomaga. Później razem się zjadamy, wymieniając się spostrzeżeniami i rozmawiając na różne tematy.

Chciałbym, aby dzieci wspólnie z rodzicami spędzały więcej czasu w każdy możliwy sposób, ale także na gotowaniu, bo to bardzo integruje i zbliża. To czas wspólnej zabawy, chwili, którymi możemy obdarować nasze dzieci. To wspólna satysfakcja z tego, co razem stworzyliśmy. Książka zawiera kolorowe ilustracje i przepisy w formie dwojgłównych wierszyków – dzieci będą mogły się przekonać, że przygotowywanie potraw z mamą, tatą, ciocią, siostrą, bratem czy dziadkami może być się niezwykle wyprawą po różnego rodzaju smaki, przysgodą na całe życie. Być może przepisy podane najmłodszym w ten sposób sprawiają, że mały człowiek, w którego ręce trafi ta książka, będzie zajmował się gotowaniem zawodowo w przyszłości.

Smacznego! ©©

oprac. raw

Podkomisarz Robert Koniuszy jest oficerem prasowym KRP Warszawa II, autorem książki

„Kornelia i Adela gotują” z przepisami dla dzieci pisany mi wierszem.



*Gdy będziesz już kulinarnie znudzony,
Ożywić Cię może kurczak pieczony.
Jak chcesz, możesz go upiec w całości
Lub w porcjach – dla siebie i gości.*

*Nie potrzebujesz tu wielu składników,
Przypraw ani specjalnych myków.
Przepis jest prosty i oczywisty,
A kurczak będzie rumiany i soczysty.*

*Mógłbyś go złapać na fermie dalekiej,
Ale najlepiej kup go w sklepie.
Przynies do domu, umyj, osusz
I przyprawami dobrze opróż.*

*Sól oraz pieprz to jest podstawa.
Może też być do kurczaka przyprawa.
Natrzyj go dobrze z każdej strony
Zwiąż nogi i skrzydła, i kurczak zrobiony!*

*Włóż go do naczynia żaroodpornego,
Skrop go oliwą – nie pomiń tego!
Potem wstaw do rozgrzanego piekarnika,
Niech się piecze według minutnika.*

*Tak z godzinę, może półtorej.
Pamiętaj, by wstawić ziemniaki w porę,
Bo będą bardzo dobrym dodatkiem.
Możesz też zrobić do tego sałatkę.*

*Przepisów na nie są wprost tysiące,
Znajdziesz je także i w tej książce.
Ale wracając do Twego dania,
Chyba już nadszedł czas podania.*

*Kurczaka wyjmij z pieca, niech trochę odpocznie.
Już za chwilę uczta się zacznie!
Niech mama pomoże go porcjować
I całej rodzinie zaserwować.*

*Proszę! Kolejne danie za Tobą!
Jesteś bardzo pojętną osobą.*

*Po prostu świetnym małym kucharzem,
Co jeszcze nieraz nam pokażesz.*



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Bułki kanon piękności

Obok wieży Eiffla i granatowego beretu ikonicznym produktem Francji jest bagietka. Do tego stopnia, że Francuskie Stowarzyszenie Piekarzy i Cukierników wywalczyło wpisanie jej na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Obywatele heksagonu rytualnie w porze kolacji ustawiają się w kolejkach do piekarni i nie wyobrażają sobie życia bez bagietki. A jednak nie zawsze są z niej zadowoleni.

We Francji, tak jak wszędzie na świecie, bagietka przestała być produktem wyłącznie rzemieślniczym. Piecze się ją także z zamrożonego ciasta w wielkich zakładach na peryferiach i rozwozi po supermarketach. I to już nie to samo co pieczywo z małej piekarni. Jednak Francuzi walczą o jakość flagowego produktu. Wprowadzie młodsze pokolenie, przejęte nakazami żywieniowców, bardziej ceni „pain de campagne” – chleb z pełnego ziarna – niż pszenne, smaczne pieczywo. Ale ktoś podważy świętość, którą na większości francuskich stołów jest bagietka?

Podobne problemy z jakością mamy w Polsce. Wiadomo, że bułki najlepsze są zaraz po upieczeniu, a jednak wypadłoby, żeby nazajutrz przy śniadaniu także nadawały się do jedzenia. Tymczasem większość z nich po paru godzinach składa się już tylko z twardej i kruszącej się skórki, a w środku zamiast miększego są dziury.

Dlaczego tak jest? I jak odróżnić dobrą od złej? We Francji przepisy kodeksu konsumentów nr 98-405 określają dokładnie, czym jest i powinien być chleb rzemieślniczy – nie przemysłowy. Rośnięcie ciasta musi odbywać się w tym samym miejscu, gdzie się sprzedaje upieczoną bułkę. Za złamanie przepisu grożą kary – nawet 30 tys.



FOT. ADOBE STOCK

euro. Jak twierdzi szef Stowarzyszenia Piekarzy, przepis nie jest często łamany. Zrozumiałe, zważywszy na wysokość kar. Przy czym duże sieci dystrybucji bagietek mają prawo sprzedawać je świeżo po upieczeniu, ciepłe, nawet z zamrożonego ciasta, wtedy jednak produkt musi być inaczej oznakowany. Tak jak znakiem aptek jest krzyż, tak piekarze – „boulangers” – oznaczają swoje prawdziwe produkty literką B. W odróżnieniu od bułek pieczonych z mrożonego ciasta, które są jasne, nawet białe, te prawdziwe, rękodzielnicze mają kolor złoty, ładnie wypieczony. Złoty kolor daje cukier zawarty w mące.

Kanony piękności dla „B” to długość między 55 a 70 cm, w środku mieszanka mąk pszennych, soli, drożdży i zakwasu. Kształt nieregularny, złocisty kolor. No i oczywiście ręka piekacza, nie maszyny. ©©



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zastaw spiski

Uważny obserwator mapy XVII-wiecznej Rzeczypospolitej dostrzeże bez trudu dziwny przebieg południowej granicy państwa. Na południe od Nowego Sącza jej linia wygina się na południe, tworząc wiele malutkich obszarów oderwanych od państwa, a jednak bez wątpienia należących do Korony. Jest to terytorium części Spisza, który do 1412 r. należał do Węgier. W tym bowiem znamienitym roku 8 listopada Zygmunt Luksemburski spotkał się w Lubowli z królem Władysławem Jagiełłą i zawarł pokój. Był to sukces dyplomatyczny, ponieważ Luksemburczyk – dotąd gorliwie, choć nieszczerze wspierający zakon krzyżacki – stał się teraz przedstawicielem Polski i Litwy w dalszych z nim sporach. Jednocześnie Zygmunt uznał polskie prawa do Rusi Czerwonej, Podola i Mołdawii, obiecał pomoc w odzyskaniu Pomorza Gdańskiego, ziemi chełmińskiej i michałowskiej. W zamian za to Polska przyrzekała pomoc przeciwko Turkom, najważniejszym jednak punktem dla wiecznie tonącego w długach Luksemburczyka była pożyczka w wysokości 37 tys. kop groszy czeskich, która wypłacona miała być z odszkodowania uzyskanego od zakonu na mocy pokoju toruńskiego. W zamian król Węgier przekazywał zastaw – część terytorium Spisza znanego od teraz jako właśnie zastaw spiski. Były to: Lubowla razem z zamkiem, Podolaniec, Gniazda oraz 13 innych miast, takich jak Biała Spiska, Nowa Wieś Spiska, Poprad, Spiskie Podgórze i Włochy, oraz 15 wsi leżących przy tych miasteczkach. Zastaw miał być zwrócony po oddaniu pożyczki, jednak ani Zygmunt Luksemburski, ani jego następcy pieniędzy owych nie oddali, nie określili też terminu, pozostał zatem przy Polsce do XVIII w.

Korona utworzyła tutaj starostwo spiskie, którego pierwszym



FOT. DOMENICA PUBLICZNA

starostą został Paweł Gładysz. Powierzono mu je „dla znajomości języka węgierskiego”. Kolejnym, od 1422 r., był sławny Zawisza Czarny z Rożnowa, rycerz, dyplomata i pośrednik pomiędzy Jagiełłą a Zygmuntem Luksemburskim. Po jego śmierci w 1428 r. otrzymał je Piotr Szafraniec, od 1440 r. oddano zaś je w dzierżawę bp. Zbigniewowi Oleśnickiemu. Starostwo spiskie było łakomym kąskiem, gdyż bogate miasta zapewniały dobre dochody, nie było przy tym narażone na najazdy Tatarów i Kozaków. Od 1596 r. znajdowało się w rękach Lubomirskich, z których najbardziej sławny okazał się Jerzy Sebastian, marszałek wielki koronny, najpierw bohater z czasów potopu, potem zdrajca i rokoszanin. W 1655 r., w czasie najazdu Szwedów, ukrył na zamku w Lubowli skarb i klejnoty koronacyjne królów polskich. Proponował też gościnę uciekającemu z kraju królowi Janowi Kazimierzowi, który wszakże udał się na Śląsk, zatrzymał się jednak tutaj rok później, kiedy wrócił do kraju, aby walczyć ze Szwedami.

Nie był to jedyny król, który przebywał w starych murach. W 1683 r. bawił tutaj wracający spod Wiednia król Jan III Sobieski; niestety na zamku zmarł 15 grudnia schorowany hetman polny Mikołaj Sieniawski. Polskie starostwo spiskie wielokrotnie stawało się przedmiotem sporów, gdyż Węgrzy podejmowali próby jego odzyskania. Próbował tego na przykład król Maciej Korwin, jednak w traktacie

w Spiskiej Starej Wsi z 1474 r. tereny te pozostały przy Koronie. Najciekawsze, że – ponieważ był to zastaw – król polski nie wymieniał w swojej oficjalnej tytulaturze miast spiskich. Od 1567 r. sejm postanowił, że w Lubowli stacjonować będzie stała załoga. W 1609 r. Lubomirscy utrzymywali 100 żołnierzy, od 1658 r. podniesiono ich liczebność do 120 piechurów, a Lubowla policzona została pomiędzy najważniejsze pograniczne fortece Rzeczypospolitej razem z Lwowem, Kamieńcem i Krakowem.

Położenie Spisza, a przede wszystkim fakt, że tylko dominium lubowlańsko-podolińskie graniczyło bezpośrednio z Koroną, sprawiało, że było to bezpieczne schronienie dla wszelakich konfederatów i buntowników. Szwedzi w 1656 r. tutaj nie weszli, obawiając się naruszyć granicę z Węgrami. Później chronili się tu konfederaci walczący po stronie Stanisława Leszczyńskiego. Niestety, podobne wypadki stały się przyczyną zagarnięcia Spisza przez Austriaków. W czasie konfederacji barskiej Józef Bierzyński zaatakował przebywającego tutaj Kazimierza Poniatowskiego, brata króla. Uderzył na Lubowlę, został jednak odparty. Poniatowski zaś poprosił o obsadzenie zamku wojskiem austriackim, nie spodziewając się w swej naiwności, że Austriacy raz zagrabionych włości już nie oddadzą. I rzeczywiście Maria Teresa nakazała rozciągnąć kordon wojsk wzdłuż granicy – rzekomo aby chronić miejscową ludność. Jednak zagarniętych terenów starostwa Austria nie oddała już nigdy. Najciekawsze zaś, że w późniejszym narzuconym nam traktacie rozbiorowym pomiędzy Rzeczpospolitą a Cesarstwem nie było mowy o zaborze Spisza, więc teren ten przynajmniej formalnie do dziś przynależy do Polski. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Żegnaj, kolonio kochana?

Francja ma swoje terytoria zamorskie i w dwóch takich na Karaibach – Martynice i Gwadelupie – doszło ostatnio do poważnych zamieszek na tle covidowym. Chodzi o to, że Francja wprowadziła tam takie obostrzenia, które ma u siebie, i kolonie się wzburzyły. Doszło wręcz do rewolucji, gdy wprowadzono na modłę francuską paszporty covidowe i obowiązek szczepień, chociażby dla medyków.

Francja jeszcze latem wysłała tam wojsko i pomoc medyczną, bo sytuacja epidemiologiczna nie była najlepsza. I teraz wojsko ma co robić, ale nie z COVID, tylko z zamieszkami. Francuski lud karaibski nie tylko uważa, że obostrzenia weń godzą, lecz także, że szczepionka mRNA jest trucizną, i protestuje przeciwko temu, by zamorscy fundowali mu tu eksperyment, który wdrażają u siebie. Po zamieszkach nastąpił rozejm i strony dały sobie czas do końca roku na przedyskutowanie. Wywaleni niezaszczepieni medycy wrócili do pracy i otrzymają zwrot zabranych im pieniędzy. Ludność wyraźnie dokształcona medycznie rozróżnia już rodzaje szczepionek i nie chce, by jej podawano te z technologią mRNA, co najwyższej wektorowe. To złe wieści dla Pfizera oraz Moderny.

Ale we Francji to też się odbiło echem. Narasta ruch podobny, uważający, że szczepionki typu mRNA są szkodliwe albo co najmniej nie zatrzymują wirusa. I chcą, wzorem swoich zamorskich kolegów, by rząd zaprzestał szczepienia tymi preparatami.

Pamiętajmy, że we Francji zbliżają się wybory i wszelkie przeostrzenia ze strony władz mogą być bezwzględnie używane w kampanii. Covidowy sanitaryzm jest we Francji ćwiczony na ostro, co wcale nie hamuje transmisji wirusa, ale mocno już dokucza ludności.

Obecny układ francuski zdaje się wychodzić z utartych kolein. Do tej pory gra była powtarzalna: „centrowy” kandydat i ekstremizm à la Le Pen. Wszystkie głosy się ładnie rozpyływały, do drugiej tury dochodziła dwójka centrum vs. prawica, czyli wymarzony układ dla centrum, bo w drugiej turze, przeżywana jako faszystowska, rodzina Le Pen przegrywała. Teraz może być inaczej, bo startuje Éric Zemmour, znany prawicowy dziennikarz. Co prawda, już zaczyna mu się przypisywać wszelkie obrzydliwości, ale ma kampanię świetnie przygotowaną oraz za plecami magnata medialnego Vincenta Bolloré’a. To tak, jakby startował redaktor Lis, gdyby nie był lewakiem, pod egidą pana Waltera, gdyby ten był prawakiem.

Ciekawe, czy temat COVID zagra w tej kampanii? Zobaczymy, jak zachowa się w kwestii obostrzeń prezydent Macron, no bo na razie sanitaryzm francuski nie może się pochwalić sukcesami. Ale jak z nieba spadł nowy wariant koronawirusa – Omikron, na którego teraz wszystko będzie można zwalić. I kolejną falę obostrzeń i to, że się nie udało. Choć próbowaliśmy.

Czyżby, nie pierwszy raz, kolonie pokazały drogę imperium? ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Marian Kołodziej

Wponiedziałek 6 grudnia 2021 r. przypada 100. rocznica urodzin wybitnego plastyka, scenografa i malarza Mariana Kołodzieja. Należał do pokolenia, które później nazwano pokoleniem Kolumbów. Po klęsce września 1939 r. rozpoczął niepodległościową działalność konspiracyjną. Wraz z przyjaciółmi planowali przedarcie się na Zachód, by dołączyć do polskich oddziałów i kontynuować walkę z Niemcami. Po dekonspiracji 14 czerwca 1940 r. pierwszym transportem trafił do KL Auschwitz gdzie dostał numer 432. Podczas jednego z obozowych apeli był świadkiem dobrowolnego zgłoszenia się św. Maksymiliana Kolbego na śmierć zamiast wyznaczonego do egzekucji Franciszka Gajowniczka. Siła tego doświadczenia da o sobie znać dopiero po 50 latach. Kołodziej więziony był później w Buchenwaldzie, Sachsenhausen i Gross-Rosen. Należy do nielicznych, którzy przetrwali obozową gehennę i ocalili życie.

Zaraz po wojnie zdał egzamin na krakowskiej ASP, którą ukończył w 1950 r. Jest autorem ponad 200 projektów scenografii teatralnych realizowanych w Polsce i za granicą. Choć na stałe związał się z Gdańskiem, współpracował z teatrami w całej Polsce, będąc zapraszany przez wybitnych twórców, m.in. Adama Hanuszkiewicza, Zygmunta Hübnera, Jerzego Jarockiego. W dorobku artysty znajdują się też projekty kostiumów do

filmów Kazimierza Kutza, Janusza Morgensterna czy Stanisława Różewicza.

W równoległych biografiach artystów i intelektualistów doświadczenie Auschwitz prowadziło do utraty wiary. Inni zaś przeżyli ukąszenie marksizmem, co niektórych skłoniło nawet do zaangażowania się w działalność partyjną. Kołodziej, choć zanurzony w tym środowisku, zachował chrześcijańską tożsamość, a ślady religijnej postawy są obecne w jego pracach. Swoistą manifestacją wiary były stworzone przez Mariana Kołodzieja monumentalne ołtarze papieskie podczas pielgrzymek św. Jana Pawła II na Wybrzeże.

W 1992 r. artysta doznał udaru mózgu. I wtedy, będąc w stanie bardzo ograniczonej sprawności, następując u niego niezwykle przytyły wspomnień sprzed 50 lat. Choć osłabiony, częściowo sparaliżowany, wyrzuca z siebie z jakąś metafizyczną siłą obozowe przeżycia, przenosząc na wielkie kartony poruszające sceny. Skromną techniką, zwykłym ołówkiem, tworzy monumentalną serię grafik, z których spoglądają wychudłe twarze więźniów. Jedną z centralnych postaci jest Maksymilian Kolbe.

Seria zatytułowana „Klische pamięci” liczy ponad 400 prac i powstawała aż do śmierci artysty w 2009 r. Stała ekspozycja obozowych grafik mieści się w podziemiach klasztoru oo. Franciszkanów w Harmężach koło Oświęcimia. Tam też, zgodnie z wolą artysty, znajduje się jego grób. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Pani sprzątaczką wymiata

Milość społeczną w minionym tygodniu zagarnęła całkiem, ale to całkiem pani Teresa. Skromna, lecz zdecydowana kobieta czynu podbiła serca wszystkich prostą frazą: „Umyć mi to! Ja za darmo nie będę robiła!”. Sugestywny, niezapomniany obraz. A było to tak: Marta Lempart postanowiła zrobić przedstawienie przed siedzibą PiS przy Nowogrodzkiej w Rawie. Jej służby wywiadowcze niestety zawiodły. Nikt jej nie doniósł, nikt jej nie uprzedził, że w tej siedzibie urzęduje nie tylko Jarosław Kaczyński, lecz także pani Teresa. Rozumieją Państwo? Pani Teresa! No i tam nieświadoma tego wszystkiego Marta stanęła przed drzwiami i zakrzyknęła: „Nagrywajcie!”. Towarzystwo kilkuosobowe wyciągnęło komórki i wduśliło czerwone kółka, rozpoczynając zapis. Wówczas Marta wylała czerwoną farbę, która miała symbolizować prawną przemoc związaną z ograniczeniem aborcji i to, że PiS jest w ogóle winny, oraz zaczęła przemowę zaangażowaną. Wtedy na scenę wkroczyła dziarsko, bezkompromisowo kochana pani Teresa. Odziana w służbowy niebieski fartuch sprzątaczkę, uzbrojona w wiadro i mopa wyrzekła słowa proletariackie, celne, a skondensowane, które już stały się legendą: „Umyć mi to! Ja za darmo nie będę robiła!”.

Nastąpiła pewna konfuzja. No bo tych okropnych pisiorów to można ponieważ przynajmniej werbalnie, ale co zrobić z kobietą pracy, której pracy właśnie głupio

przysporzono? Film stał się oczywiście hitem na Twitterze nie tylko z powodu faktu rozbrojenia i wyszydzenia w zasadzie całej akcji, lecz także z powodów ideologicznych, czyli zagwozдки, którą miała lewica. No bo czyją stronę brać? Ludu pracującego zakłętego w zdecydowanym ciebie pani Teresy czy frontłomenki Marty Lempart reprezentującej lewicowe poglądy w pewnym sensie? Węzeł gordyjski...

Człowiek, który zablokował cały Twitter, ale ciągle na nim jest, znów stał się obiektem ataków. Mowa oczywiście o redaktorze naczelnym Onetu Bartoszu Węglarczyku, który dba o etykę w świecie dziennikarskim, blokując wszystkich, jak leci. Jeśli akurat nie blokuje jakiegoś nieszczęśnika, to wtedy poucza. W czasie pewnej tam utarczki o politykę i świat redaktor Węglarczyk zdemaskował PiS-owskiego trolla z Rzeszowa, który zapomniał przy swoim wpisie ukryć adresu, z którego pisał, a był tam pod wpisem zaszyty adres właśnie PiS w Rzeszowie. Niestety, okazało się, że zdemaskowanie było przedwczesne, a właściwie było pułapką zastawioną na redaktora Onetu, w którą redaktor swoim okazałym ciałem wpadł zresztą razem z komputerem, gdyż nieprawdziwy adres umieszczono specjalnie, żeby ktoś się nabrał. Nie sądzę, żeby ta potwarz uszła płazem. Wszyscy zostaniecie przez Bartosza zablokowani! ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Ambasada w śpiączce

Małgośka – mówią mi – reżim pod pretekstem wojny zaciska pętlę. Oczywiście, bo dla ćpunów TVN im bardziej nie widać reżimu, tym bardziej się umacnia i ukrywa represje. Mnie zaś uderza raczej bezradność „reżimu” wobec prawdziwego „ancien régime” odziedziczonych w polskich placówkach dyplomatycznych pomimo „dobrej zmiany”. Rozmowy z Polonią w Hiszpanii i moje obserwacje każą mi z goryczą twierdzić, że rząd Polski od sześciu lat opłaca dyplomatów, którzy po cichu go sabotują.

Hiszpańscy politycy, intelektualiści, z którymi przeprowadzam wywiady, alarmują, że nasza dyplomacja w Hiszpanii po prostu nie istnieje. To dlatego mamy fatalną prasę i można emitować o nas dowolne kłamstwa, na które media hiszpańskie nie pozwolą sobie wobec niepopularnych też Węgier czy Rosji, których ambasady jednak reagują alergicznie na próby zniesławiania. Można pisać w głównych dziennikach, że „reżim Polski zaarrestował najwięcej osób od czasu stanu wojennego, a prezesa chroni 300 wozów policyjnych”, a i tak nie ukaże się żadne sprostowanie. Wystarczy otworzyć stronę Facebooka ambasady w Madrycie i porównać ją z innymi, aby mieć wyobrażenie, jak bardzo ktoś odpuścił sobie pracę na rzecz Polski.

Choć mój hiszpański jest mało „wyjściowy”, bo nigdy dłużej nie mieszkalam w Hiszpanii, to występuję nawet w telewizji i publikuję w hiszpańskich mediach, aby dać odpór kłamstwom i nagłaśniać prawdę, której nie bronią polskie instytucje. Dyrektor stacji Toro TV powiedział mi w przerwie programu: „Zapraszaliśmy nieraz Waszą ambasadę do współpracy, ale nikt nie chciał się pojawić, aby przedstawić polski punkt widzenia”. Na wysłane przeze mnie zarzuty odnośnie do wybranych problemów funkcjonowania ambasady odpowiedziała mi listem, w którym znać jedynie dobre samopoczucie. Felieton jest za krótki, aby opowiedzieć o wszystkim, o czym dowiaduję się ze skarg Polonii, która mi ufa, bo zna moją pracę tam. Owszem, może personel dyplomatyczny jest mały, ale też zdaje się, że w przeciwieństwie do mnie pracuje do godz. 16, a potem idzie na ośmiorniczki. Muszę wyznać, że nie dostaję centa za publikację i występy w Hiszpanii, choć wymagają ode mnie mnóstwo nakładów i poświęcenia. Ostatnim razem miałam dylemat: pogadać o roli Putina w nowej TV czy zdążyć na lotnisko. Wtajemniczony taksówkarz prul przez Madryt, abym zdążyła wskoczyć do samolotu. Mąż nie poznał mnie na Okęciu, bo nie miałam czasu zmyć telewizyjnego makijażu. „Dobra zmiana” też ma świetny makijaż, nijak nie można jej rozpoznać w polskich ambasadach. ©©

WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Proszę nie lekceważyć mionów

Historyk niemal zawodowo interesuje się tym, co było, a nie tym, czego nie było. Dlatego naturalne jest dlań także pytanie, co istnieje, a co nie istnieje. To zaś nieuchronnie prowadzi nas do fizyki kwantowej. Nie będę udawał, że mam wykształcenie fizyczne ani że wszystko z tej dziedziny nauki pojmuję w lot. Natomiast teksty osób, które się na tym znają i potrafią o tym pisać ludzkim językiem, zawsze budzą moje żywe zainteresowanie. Tak jest z artykułem Marceli Careny,

wówczas, że „bozon Higgsa” jest swego rodzaju kreatorem innych cząstek. Jak stwierdza prof. Carena, Model Standardowy ma jednak braki, nie wyjaśnia bowiem, czym jest ok. 85 proc. materii we Wszechświecie, nazywanej „ciemną materią”. O jej istnieniu przekonano się, gdy stwierdzono niewyjaśnione efekty grawitacyjne. Uważa się obecnie hipotetycznie, że jest to materia nieemitująca i nieodbijająca promieniowania elektromagnetycznego, czyli na swój sposób „utajniona” przed badaczami. Model Standardowy

nazywa się precesją spinu. Eksperyment Muon g-2 wykazał, że precesja spinu jest statystycznie większa, niż można by oczekiwać, uwzględniając oddziaływanie znanych dotąd cząstek. Powstaje więc pytanie, co powoduje ową „nadprogramową” precesję spinu mionów. Badacze podejrzewają, że może to być skutek oddziaływania cząstek „wirtualnych” spoza Modelu Standardowego, na przykład występujących w owej tajemniczej „ciemnej materii”. Jeśli tak, to mielibyśmy kolejny wielki przełom w poznaniu struktury Wszechświata. Na okładce tego numeru „American Scientific” widnieje w związku z tym nagłówek „Nowa fizyka?”.

Racjonalne podejście do świata wymaga więc jeszcze raz przypomnienia. Fenomen związany z badaniem Muon g-2 nie podważa dotychczasowych stwierdzeń fizyki kwantowej, ale otwiera nowe pole dociekań. Oznacza, że w wyjaśnianiu natury Wszechświata posuwamy się na drodze asymptotycznej. Pokazuje, że na początku badania jest hipoteza, którą bada się eksperymentalnie, aby uzyskać jakiś stopień pewności, ale uzyskany dowód nigdy nie wyjaśnia wszystkiego. Stale pozostaje wielki obszar nieznanego, który usiłujemy pokonać, stawiając nowe hipotezy, lub – jak powiada Kurt Gödel – nowe założenia, oparte na wierze i intuicji. Czy ten łańcuch hipotez i dowodów kiedyś pokonamy? Czy uzyskamy pewność co do całości? Historia nauki pokazuje, że jesteśmy nadal od tego bardzo dalecy. Może więc po śmierci? ©©

Jeśli tak, to mielibyśmy kolejny wielki przełom w poznaniu struktury Wszechświata. Na okładce tego numeru „American Scientific” widnieje w związku z tym nagłówek „Nowa fizyka?”

amerykańskiej profesor fizyki z University of Chicago, w ostatnim numerze „American Scientific”. Na ile potrafię odtworzyć jej myśli, wydaje mi się, że dotknęła ona tematu wręcz fascynującego.

Otóż przez ostatnie kilkadziesiąt lat fizycy kwantowi konstruowali Model Standardowy, w którym teoretycznie założono istnienie pewnych rodzajów cząstek elementarnych i stopniowo potwierdzano ich istnienie. W lipcu 2012 r., dzięki Wielkiemu Zderzaczowi Hadronów, jako ostatnia taka cząstka odkryty został tzw. bozon Higgsa, dzięki któremu, jak tłumaczy Wikipedia, „bezmasowe cząstki Modelu Standardowego nabierają masy”. Uznano

nie wyjaśnia też, dlaczego we wczesnym okresie istnienia Wszechświata materia uzyskała przewagę nad antymaterią, której istnienie stwierdzono już eksperymentalnie. Tymczasem badania z Fermi National Accelerator Laboratory w stanie Illinois, nazwane eksperymentem Muon g-2, doprowadziły do zaskakujących rezultatów.

Eksperyment Muon g-2 jest dość skomplikowany, więc wydaje się, że można opuścić jego szczegóły. Jego istota dotyczy cząstek zwanych mionami, posiadającymi masę ok. 200 razy większą od elektronów. Miony poruszają się w polu magnetycznym w jedną stronę, co nazywa się spinem. Od czasu do czasu spin zmienia jednak kierunek, co



FOT. W. CIEROMSKI / LUDY JAROSŁAW SCISNIA

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Dawno temu Polska dostała w prezencie LEWAR. Za jego pomocą jesteśmy w stanie szachować Chiny, Rosję, UE. To, że nikt z tego lewara nie korzysta, jest zaskakujące. Moglibyśmy załatwić dla Polski każdą sprawę międzynarodową – na podobnej zasadzie, na której Rosja załatwia swoje sprawy za pomocą rury (z gazem i ropą).

Uważam, że rządzą nami osobniki niekompetentne i dlatego nawet nie wiedzą, że mają pod ręką ten lewar, nie wiedzą, bo się nie znają na niczym, a na gospodarce wcale, a na międzynarodowej jeszcze mniej, ale... Może jestem naiwny, może to są jednak osobniki wyrachowane, które pracują dla innych i ci inni im mówią: „Tylko, broń Boże, nie sięgać po lewar! Broń Boże, nie informować społeczeństwa, że ten lewar w ogóle istnieje”.

Posłuchajcie...

Pamiętaj Państwo, jak jeden statek zablokował Kanał Sueski? Nie wiadomo, czy to był przypadek czy ustawka, ale mogliśmy się przekonać, że coś takiego to potencjalny lewar do regulacji światowego handlu. Całego silnika światowej ekonomii ten jeden lewar nie zatrzyma, ale zablokowanie jednej przepustnicy, gdy jest ich tylko kilka, to ciężkie obciążenie i machina się dławi

po całości. Część statków nie czekała wtedy na odblokowanie kanału i zaczęła opływać Afrykę starą trasą – na Kapsztad i Przylądek Dobrej Nadziei – bo to im wychodziło taniej niż czekanie w kolejce na odblokowanie kanału.

Kanał Panamski to kolejne takie miejsce. (Skraca drogę z Nowego Jorku do San Francisco o 14,5 tys. km). Wystarczy zepsuć jedną śluzę i wszystko stoi. Dlatego Chińczycy przejęli zarządzanie Kanałem Panamskim i teraz trzymają za lewar. Poszerzyli i pogłębili trasę, tak aby mogły tam pływać większe statki, a pierwszym statkiem, który przepłynął po remoncie, był kontenerowiec chiński.

Jak to Chińczycy? Przecież Kanał Panamski zbudowali i zarządzali nim Amerykanie. Owszem, zarządzali i mogliby kontrolować do dziś, i byłoby lepiej, ale beznadziejny prezydent USA, Jimmy Carter, postanowił nie odnowić dzierżawy, lecz oddać strefę kanału w ręce Panamczyków. To tak, jakby oddać komuś zarządzanie własną flotą wojenną. Panama z kolei była zbyt biedna na inwestowanie w pogłębianie, poszerzanie i odmulanie, poszukiwała więc sobie inwestorów zagranicznych i tak to Chiny chwyciły LEWAR. (J. Carter był do niedawna najgorszym w historii prezydentem USA, tę różgę pierwszeństwa przejął po nim

J. Biden, a nie rządzi jeszcze nawet roku).

Nasz lewar to „suchy port” przeładunkowy Małaszewicze – ogromna stacja kolejowa o znaczeniu międzynarodowym. Na tej stacji przeładowuje się 90 proc. wszystkich towarów sprowadzanych z Chin do Europy koleją. Bingo! Po wschodniej stronie tory szerokie, czyli ruskie, po naszej stronie tory normalne, europejskie. Trzeba kontenery przeładować.

Gdyby tylko Polska potrafiła posługiwać się tym lewarem, potrafiła i chciała, to ten lewar mógłby zgasić europejską ekonomię, a potem włączyć. W dowolnym momencie korzystnym dla nas. Można by na przykład decydować, że kontenery do Francji mają czasowo pierwszeństwo, a kontenery do Niemiec muszą trochę poczekać. LEWAR.

Ta stacja to cud od Boga i zanim się zrobi przekop Mierzei Wiślanej, zanim się wybuduje wielkie lotnisko pod Łodzią, należałoby zainwestować więcej w Małaszewiczach.

Przed wojną było tam potężne lotnisko wojskowe dla naszych najcięższych samolotów. Wraz z zapleczem i infrastrukturą: hangary, zbiorniki paliwa umieszczone w jednym z fortów Twierdzy Brześć.

W czasie wojny Niemcy rozbudowali lotnisko. Po wojnie usadowili się tam Ruscy i też budowali. Pasy startowe i zabudowania zachowały się do dziś i w to należało zainwestować co najmniej tyle, ile w pomysł Centralnego Portu Lotniczego pod Łodzią. Ogromna stacja przeładunkowa, a do tego duże lotnisko towarowe i już istniejąca największa w Polsce strefa wolnocłowa. Na tym można zarabiać już dziś, a poza tym... trzymamy LEWAR.

No, chyba że jakiś głupek pójdzie po inwestorów chińskich i wtedy nasz lewar będą trzymać żółte dłonie – tak jak to się stało w Panamie.

Mieliśmy szczęście, że coś takiego wylądowało na naszych rękach. Mieliśmy szczęście, że UE nie wybudowała sobie więcej takich „suchych portów”, lecz wciąż polega na naszym. Czas jest krótki – kiedyś pewnie wybudują kolejne, ale na razie wciąż mamy ten lewar. A czasy takie, że transport morski się zatkał. Krajów Unii nie stać na dodatkowe opóźnienia w dostawach na kolei. Więc nie stać ich na podskakiwanie Polsce. To znaczy... nie BYŁOBY ich stać, gdyby polska władza wiedziała, jakie narzędzie ma pod ręką. I nie chodzi zaraz o szantaż, lecz o jasne stawianie spraw.

Nie chcecie wpuszczać naszych tirów na równych zasadach? No to my nie musimy przepuszczać waszych kontenerów na równych zasadach. Chcecie nas karać za prąd z Turowa? A nam jest prąd potrzebny, bo w Małaszewiczach cała masa elektrowozów ciągnie całą masę wagonów.

I z Chinami też mogłaby być zupełnie inna rozmowa – przez Małaszewicze kontenery hulają w obie strony. Owszem, z Europy do Chin wywozi się dużo mniej towaru niż w drugą stronę, ale w związku z zatorym na morzu w Chinach brakuje teraz pustych kontenerów do pakowania towaru. No i my możemy zdecydować, czy w Małaszewiczach skupimy się bardziej na przepychaniu pełnych kontenerów na zachód do Europy, a puste do Chin niech chwilowo czekają, czy może na odwrót.

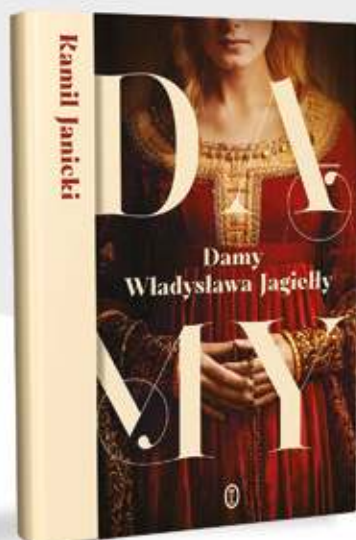
Sprawę tej przeklętej niemiecko-rosyjskiej rury Nord Stream 2 mogliśmy rozegrać, siedząc na torach, po których jadą prezenty od Świętego Mikołaja. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~919~~ zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KAMIL JANICKI

„DAMY WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

336,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 583 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 01277aa98f



ROAMER
OF SWITZERLAND

7 YEAR
WARRANTY

